

Wszystkie tu opisane osoby oraz fakty i zdarzenia są fikcją literacką, ale wcale nie wyklucza to możliwości, że niektóre fakty i zdarzenia miały miejsce w rzeczywistości.

ROZDZIAŁ I

Feldwebel Hans Jurgen stał w postawie zasadniczej przed biurkiem hauptmanna Kurta Naumana, komendanta obozu pracy przymusowej. Z coraz większym niepokojem słuchał wydawanych rozkazów. Miał 43 lata i był weteranem wojennym. W 1933 roku, zaraz po dojściu Hitlera do władzy, powołano go do Wehrmachtu. Wtedy nawet mu się to podobało. Łachmany bezrobotnego zamienił na czysty mundur budzący szacunek u jego ziomków, a rodzina miała co włożyć do garnka. W glorii i chwale odwiedzał swoje rodzinne miasteczko po kolejnych militarnych sukcesach Wehrmachtu realizującego szaloną wizję Adolfa Hitlera. Brał w tym udział od samego początku. Przyłączenie Nadrenii i Westfalii, Anschluss Austrii i podbicie Czechosłowacji wspominał jako przyjemną wyprawę turystyczną. Później było już gorzej. We wrześniu 1939 roku Polacy nie byli już tak gościnni. Twardo walczyli z niemieckim agresorem. Nie szarżowali z szablami na ich czołgi, jak to pokazywała ich propagandowa kronika filmowa. Bili się zawsze do końca i nieraz popędzili im kota. Tam też, pod Warszawą, został po raz pierwszy ranny. Kampanię we Francji przeszedł bez żadnego draśnięcia. Było nawet łatwiej niż w Polsce. Francuzi jakoś nie zdradzali większej ochoty do walki. Stacjonował w jakiejś zapadłej dziurze na francuskiej prowincji, ale mile wspominał ten prawie rok wygnania na francuskiej ziemi. W 1941 roku ruszył do Rosji. Führer wytyczył nowy cel, a on poszedł posłusznie go zrealizować. Tam początkowo wszystko zapowiadało świetlaną przyszłość. Później jednak zaczęły się schody. Pod Kurskiem został ciężko ranny i ledwo uszedł z życiem. Do dzisiaj miał to w pamięci.

Pancerny walec rosyjskich czołgów przetoczył się przez pozycje ich plutonu i pozbawił życia ponad połowę jego towarzyszy broni. Błyska-

wiczny kontratak pancernej kompanii SS uratował ich od niechybnej śmierci. Ratunek był chwilowy, bo Rosjanie nie zamierzali rezygnować. Rosyjskie czołgi po raz drugi rozjechały ich pozycje. Rozpaczliwie walczyli o życie. O odwrócenie nie było mowy. Za sam zamiar była kula w łeb. Esesmani nie wahali się i strzelali do swoich bez skrupołów, jeżeli żywili takie podejrzenie. Wtedy właśnie po raz pierwszy zastanowił się, kto jest kim i co on tam właściwie robi.

Ostatnie, co zapamiętał, to był moment, gdy zastąpił zabitego celowniczego esesmana przy działach przeciwpancernym. Trafił dwa kolejne T-34. Jeden zapalił się na wysokości pierwszej linii ich zasieków z drutu kolczastego, a drugi zamarł bezradnie niecałe 50 metrów od ich pozycji. To był ostatni z tej rosyjskiej pancernej fali. Prawie widział jak podkalibrowy pocisk z jego działka znika pod podstawą wieży T-34 i wpada do środka czołgu. Masa rozpalonego metalu wpadła do stalowego kadłuba czołgu i rozpadła się na setki metalowych, gorących odłamków. Załoga czołgu zginęła w jednej chwili. Odłamki latające w metalowym pudle czołgu zadziały jak dobrze naostrzona kosiarka. Pocięły ludzi na strzępy.

Wydawało się, że i tym razem udało mu się przeżyć. Wtedy za wzgórza po prawej stronie wytoczyły się kolejne czołgi z rosyjską piechotą na pancerzu. Zdążył jeszcze wycelować w kierunku nowego zagrożenia, ale błyski wystrzałów pojawiły się pierwsze u wylotu luf czołgowych. To był ostatni obraz, jaki zarejestrowała siatkówka jego oka. Później był już tylko czarny mrok ciemności. Wybuchających pocisków z dział czołgowych już nie usłyszał. Dopiero w szpitalu dowiedział się, że kolejny kontratak pancernego oddziału SS odrzucił Rosjan na ich pozycje wyjściowe. Z resztek jego plutonu i esesmanów broniących wtedy tego odcinka frontu nie ocalał nikt prócz niego. Rosyjski desant piechoty wystrzelał pozostałych żywych obrońców i dobił wszystkich rannych. Jego widocznie uznali za zmarłego i dlatego przeżył.

Okazało się, że działko przez niego obsługiwane było ostatnim, które strzelało do końca. Na jego konto, jako jedyne, który przeżył ten rosyjski tajfun, zaliczono 11 zniszczonych rosyjskich T-34. Został przedstawiony do odznaczenia Krzyżem Żelaznym I Klasy za bezprzykładne męstwo i poświęcenie na polu walki. To miał być jego drugi krzyż, bo pierwszy Krzyż Żelazny otrzymał za kampanię w Polsce. We frontowym

szpitalu dopadł go reporter filmowej kroniki wojennej. Podoficer odznaczony podwójnie Krzyżem Żelaznym, to była wiadomość na czołówkę kroniki Zrobił z nim wywiad. Wiadomość poszła w świat.

Przypadkiem kronikę obejrzał Martin Bormann, osobisty sekretarz Adolfa Hitlera. Zażądał pełnej dokumentacji w tej sprawie i podsunął wiadomość swojemu pryncypałowi. Führer był zachwycony. Po raz kolejny mógł utrzyć nosa swojemu korpusowi oficerskiemu. On sam zakończył karierę wojskową podczas I Wojny Światowej w stopniu kaprała, a teraz kolejny podoficer pokazywał jak należy walczyć na froncie wschodnim. Musiał to wykorzystać. Osobiście skreślił we wniosku o odznaczenie słowa „Krzyż Żelazny I Klasy” i zadekretował na „Krzyż Rycerski z Mieczami”. Mało go obchodziło, że takie odznaczenie nie może być przyznane podoficerowi. On tu był panem i władcą. Kazał ściągnąć feldwebela do kliniki w Berlinie i sam osobiście wręczył mu odznaczenie na szpitalnym łóżku.

Hans Jurgen miał wątpliwości, czy dokonał dobrej wymiany. Był jedynym podoficerem w Wehrmachcie odznaczonym takim orderem, ale zapłacił za to trwałym kalectwem. Goebbels też nie mógł przepuścić takiej propagandowej okazji. Niemcy na gwałt potrzebowały żywych bohaterów i nie pozwolono mu odejść do cywila. Przez kilka miesięcy był wykorzystywany przez propagandę na wszelkie możliwe sposoby. Trwało to do momentu, gdy nieopatrznie powiedział o jedno słowo za dużo na temat sensu wojny. Tylko odznaczenie uchroniło go przed plutonem egzekucyjnym. Nikt nie odważył się postawić pod ścianą podoficera odznaczonego tak wysokim orderem przez samego Führera. W konsekwencji trafił tam, gdzie się obecnie znajdował.

Teraz jego podoficerski nos starego weterana wyraźnie mu mówił, że za chwilę wdepnie w największe gówno w swoim życiu. Klęska III Rzeszy wisiała w powietrzu i nie widział obecnie żadnego sensu w oddaniu życia za Wielką Rzeszę i Führera. Doszedł do wniosku, że człowiek jest jedynym stworzeniem, które za nędzną opłatę pomaszeruje, by mordować nieznanym sobie ludzi. Ludzi, którzy mu nic złego nie uczynili i z którymi nie ma żadnych sporów. Był Niemcem, który zaczął myśleć, a to zmieniało wiele rzeczy.

*

Z kamienną twarzą słuchał tego buca w oficerskim mundurze, któ-

ry miał wysoko rozwinięty talent do unikania służby na froncie. Od samego początku wojny skutecznie dekował się na zapleczu. Gotów był wykonać każdy rozkaz, zrobić każde świństwo, aby tylko nie trafić na front. Wojnę znał tylko z opowiadań frontowców i kroniki filmowej. Zapach prochu wąchał jedynie na strzelnicy, jeżeli w ogóle tam chodził. To z kolei przekładało się na nietajoną niechęć z jego strony do wszystkich niższym stopniem od niego, którzy walczyli na froncie. Był zwykłym dekownikiem i tchórzem, ale winni byli ci, co nie bali się frontu.

Feldwebel zdawał sobie doskonale sprawę z tego stanu rzeczy i dlatego jego niepokój wzrastał w miarę, jak ten oficerski bufon z widocznym zadowoleniem wydawał kolejne dyspozycje. Minę miał przy tym jak zadowolony kot, któremu trafił się wyjątkowy okaz szperki. Właśnie to ostatnie wzbudziło jego czujność. Niemniej, był to jego aktualny przełożony i musiał wykonać otrzymane rozkazy. Te zaś były jednoznaczne.

Jutro o godzinie 6.00 ma załadować 50 wyznaczonych więźniów na samochody ciężarowe, które zostaną podstawione z pobliskiej jednostki SS. On i 10 ludzi eskorty pojedzie ciężarówką obozową. Punkt docelowy zaznaczony jest na mapie, którą otrzyma przed wyjazdem. Po dotarciu na miejsce zgłosi się do dyspozycji SS-Standartenführera Franza Bredowa. Ma wykonywać wszystkie jego rozkazy. Do obozu wróci ciężarówką obozową po wykonaniu zadania. To było wszystko.

Feldwebel trzasnął obcasami i odmeldował się. Idąc na kwaterę intensywnie myślał. Po pierwsze – więźniowie nigdy nie jeżdżą samochodami do pracy. Normalnie pognano by ich do pracy na piechotę. Nawet jakby musieli wstać kilka godzin wcześniej, aby dotrzeć na miejsce w wyznaczonym terminie. Po drugie – dotychczas każde zapotrzebowanie na siłę roboczą zawsze podawało miejsce i czas. Po trzecie – obóz dysponował własnym transportem i nie było potrzeby korzystania z innego. Po czwarte – nigdy nie wyznaczano imiennie więźniów do pracy, a delegowano określone komando. Po piąte – maczało w tym wszystkim palce SS i to było najbardziej zastanawiające, bo ludzie z tej formacji bardzo nie lubili świadków swoich wyczynów. Zbyt dużo grzybków w barszczu jak na moje wyczucie – pomyślał. Tak duże odstępstwa od normy musiały budzić niepokój. Coś tu straszliwie śmierdzia-

ło, a feldwebel doskonale to wyczuwał. Zastanawiał się, co może zrobić w tej sytuacji. Wielkich możliwości tu nie było. Zrobił więc to, co mógł.

Sprawdził harmonogram wart i pozamieniał niektóre z nich tak, aby rano mieć do dyspozycji w konwoju czterech żołnierzy, którzy walczyli na froncie. Miał nadzieję, że w podbramkowej sytuacji będzie mógł liczyć na ich doświadczenie i wojenne obycie. Co prawda stan ich zdrowia pozostawiał wiele do życzenia, ale było to lepsze niż nic. Zrobił to zresztą dla uspokojenia swojego sumienia, aby odepchnąć kielkujące w głowie podejrzenia. Coś tu było nie tak, a jemu wcale nie uśmiechała się rola kozła ofiarnego.

*

Nazajutrz rano wszystko przebiegło zgodnie z planem. Ciężarówki przyjechały na czas. Więźniowie bez specjalnego zdziwienia załadowali się na nie. Jednak coś go zaskoczyło. Zgłosił się po odbiór mapy do hauptmanna, a tam czekał już na niego kurier z załakowaną kopertą. Zauważył, że spod mało sfatygowanej celty kuriera wystawały wyłogi esesmańskiego munduru. Samo przekazanie koperty odbyło się w tak nieprawdopodobny sposób, że aż zatkało go ze zdumienia. Motocyklista wyjął kopertę i pokazał komendantowi obozu, że pieczęcie są nienaruszone. Kazał sobie pokwitować odbiór i schował ją do kieszeni. Oświadczył, że on będzie pilotem kolumny i mają jechać za nim. Nie zdziwiło go już dalsze zachowanie jego przełożonego, który przyjął to jak najbardziej oczywistą rzecz pod słońcem i pożegnał ich w postawie na baczność z prawidłowo wyciągniętą ręką w hitlerowskim pozdrowieniu. Wyraźnie widać było, że ten kto zapotrzebował więźniów, dysponował potężną władzą budzącą lęk i strach.

Feldwebel Hans Jurgen dał znak i kolumna ruszyła za pilotem. Po niecałych dwóch godzinach dotarli na miejsce przeznaczenia. Od obozu w linii prostej nie było więcej niż trzy kilometry, ale aby tu dotrzeć musieli pokonać górkami drogami o wiele większą odległość. Dodatkowo droga była wyjątkowo śliska i ciężarówki wlekły się w ślimaczym tempie. Ich pilot dojechał w końcu do sztabowego łazika stojącego na poboczu górskiej drogi i dał znak do zatrzymania się. Ze stojącego terenowego samochodu wysiadł SS-Standartenführer w nienagannie skrojonym mundurze. Z wyraźnie poirytowaną miną czekał na meldunek.

– Czemu tak późno? – warknął, patrząc tak wypranymi ze wszelkich emocji oczami, że aż go przeszły ciarki. Lustrujący wzrok wpił się w baretkę jego odznaczenia. Ze względów propagandowych był obowiązany nosić ją stale, gdy obwożono go jak małpę do pokazywania. Ten rozkaz nie został nigdy cofnięty i obowiązywał go nadal, mimo że uważał to za szczyt głupoty. Wzrok esesmana wrócił do jego oczu i dostrzegł w nim jakiś ślad litości czy też współczucia. Bez dalszego komentarza wysłuchał meldunku i wydał swoje polecenia. Jego ludzie zostaną ustawieni w odstępach co 80 metrów. Ostatni posterunek ma być ustawiony przed zakrętem drogi. Do każdego żołnierza został przydzielony do „pomocy” jeden esesman. Więźniowie zajmą się wyładunkiem i transportem sprzętu, jaki za chwilę zostanie dowieziony. Należy wykonywać wszystkie polecenia wydawane przez żołnierzy SS bez żadnej dyskusji i zwłoki. Ta przydzielona „pomoc” dla jego ludzi podniosła mu włosy na głowie. Czuł, że zaczyna się dziać coś niedobrego, a on jest bezradny. Zasalutował i odszedł wykonać otrzymany rozkaz. Mroźny podmuch wiatru uderzający go w twarz przywrócił mu zdolność normalnego myślenia. Nagle nabrał pewności, że bierze udział w niebezpiecznej grze. Stawką mogło być jego życie. Musiał szybko coś wymyślić.

*

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to uzbrojenie esesmanów. Każdy był uzbrojony w pistolet maszynowy Schmeissera i pistolet przy pasie. Wszyscy mieli noże szturmowe i granaty. Wyglądało to tak, jakby wybierali się na wojnę, a nie do zabezpieczenia jakiegoś transportu sprzętu. Znał wszystkie regulaminy uzbrojenia armii niemieckiej i żaden nie przewidywał takiego wyposażenia. Chyba, że miało być użyte w czasie akcji specjalnej. To spostrzeżenie wcale nie podniosło go na duchu. Na poboczu drogi zauważył dwa motocykle z przyczepami. Esesmani siedzący w koszach mieli wprowadzone taśmy z nabojami do karabinów maszynowych. Widać było, że są gotowi do otwarcia natychmiastowego ognia, jeśli tylko padnie taki rozkaz.

Widział też, jak odjeżdża ciężarówka z saperami SS. Przed jej odjazdem dowódca saperów złożył meldunek SS-Standartenführerowi i wręczył mu jakiś przedmiot. Później zaczęły nadjeżdżać ciężarówki ze skrzyniami o różnych wymiarach i wadze. Zauważył, że na podstawie oznakowań na skrzyniach esesmani przydzielali określoną ilość

więźniów do ich niesienia i kierowali we właściwym kierunku. Skrzynie miały zrobione uchwyty jak w skrzynkach amunicyjnych, co ułatwiało ich transport. Były drewniane, impregnowane jakimś preparatem i smołą, a parę sztuk było obitych blachą. Widział też parę skrzynek niewielkich rozmiarów wykonanych ze srebrzystego metalu. Widać było, że wszystko to zostało przygotowane znacznie wcześniej.

Około godziny 15. rozładowano ostatnią ciężarówkę i SS-Standartenführer wezwał go do siebie. Oświadczył, że zadanie zostało wykonane. Ma zabrać swoich żołnierzy i wracać do obozu. Jeńcy zostają zatrzymani do jego dyspozycji. Czegoś podobnego mógł się spodziewać, bo ciężarówki SS, które przywiozły jeńców, odjechały zaraz po ich wyładowaniu. Jego obawy pogłębiły się, ale rozkaz to rozkaz.

Hans Jurgen odmeldował się i ruszyli w drogę powrotną. Przed odjazdem zauważył, że zniknęły obydwa motocykle i esesmani przydzieleni do „pomocy” jego ludziom. Pomimo, że cała operacja przebiegła w miarę sprawnie i bez żadnych zgrzytów, to złe przeczucia nie opuszczały go nadal. Chodziły różne słuchy o wyczynach esesmanów przy realizacji tajnych zadań z ich udziałem. On zaś miał pewność, że uczestniczył w czymś takim.

Wierząc w swojego nosa okłamał swoich ludzi. Powiedział im, że dostał informację, iż w pobliżu może operować rosyjska grupa zwiadowcza. Mają trzymać broń w pogotowiu i mieć oczy szeroko otwarte, dopóki nie wrócą do obozu. Przejechali kawałek drogi powrotnej i nic się nie działo. Zaczął już myśleć, że tym razem pomylił się w ocenie sytuacji, gdy stało się to, czego podświadomie oczekiwał.

Dojeżdżali do podwójnego zakrętu, z których pierwszy zakręcał prawie o 90 stopni i każdy pojazd musiał tu maksymalnie zwolnić prędkość. Z lewej strony górskiego zbocza przed zakrętem zobaczył błyski wystrzałów z karabinu maszynowego. Wydawało mu się, że wydał kierowcy komendę „Stój!”. Sięgnął ręką do klamki otwierającej drzwi kabiny ciężarówki. Kątem oka zauważył, że pierwsza seria z karabinu maszynowego mierzona w kabinę ciężarówki, która stała się teraz prawie nieruchomym celem, była śmiertelnie skuteczna. Pociski z broni maszynowej przeszły na ukos kabinę i kilka z nich zmieniło głowę kierowcy w krwawą miazgę. Ten opadając na kierownicę w przedśmiertnym skurczu skrzył ją w prawo i tył ciężarówki uderzył lewą stro-

ną w skałę na poboczu drogi. Samochód stał teraz w poprzek drogi. Hans Jurgen w momencie uderzenia trzymał w ręku klamkę otwieranych drzwi i wstrząs wyrzucił go na prawe pobocze drogi z takim impetem, że zsunął się kilkadziesiąt metrów w dół po górskim zboczcu. Zatrzymał się przy dużym głazie i mimo szoku miał pełną świadomość tego, co się dzieje. Słyszał teraz drugi MG-42 strzelający z tyłu ciężarówki. Ten charakterystyczny warkot najlepszego niemieckiego karabinu maszynowego był mu doskonale znany. Nawała ognia maszynowego trwała może dwie albo trzy minuty. Ze strony ciężarówki padły w tym czasie trzy strzały. Później zapanowała dzwoniąca w uszach cisza. Za chwilę usłyszał głosy zbliżających się ludzi. Zauważył, że szarość zimowego zmierzchu nad nim zaczęła się jakoś przejaśniać. Zrozumiał, że któryś z pocisków przebił zbiornik z paliwem ciężarówki i zaczęła się ona palić.

Przesunął się na drugą stronę głazu, aby mieć osłonę przed obserwacją z drogi. Za chwilę usłyszał szum jadących samochodów z tej strony, z której i oni jechali. Domyślił się, że to wraca reszta oddziału SS. Samochody dojechały do palącej się ciężarówki i zatrzymały się. Usłyszał trzask otwieranych drzwiczek samochodu i meldunek, że rozkaz został wykonany. W szarym zimowym zmierzchu, w panującej ciszy, przerywanej tylko trzaskiem palącej się ciężarówki, słyszał każde słowo. Głos pytający, czy policzono zlikwidowanych żołnierzy Wehrmachtu, należał do SS-Standartenführera Franza Bredowa. Dźwięki w górach niosą się daleko, bezsensowna w tej sytuacji myśl przemknęła przez jego głowę.

Jego uwagę zwrócił narastający świst. Dźwięk był mu doskonale znany z frontu i zawsze poprzedzał wybuch bomby lotniczej. Pamiętał z frontu ryk silników bombowców, narastający świst bomb i potężne wybuchy. Teraz, co prawda, słyszał jakieś mruczenie silników wysoko w górze, ale do tej pory nie zwracał na to uwagi. Nalot bombowy tutaj to niemożliwe, pomyślał, ale potężny wybuch na zboczcu nad drogą wstrząsnął skałami. Druga bomba eksplodowała na drodze, gdzie stali esesmani. Kolejny wybuch zdawał się eksplodować w jego czaszce. Poczul jak jakaś przemożna siła odrywa go od podłoża, unosi w powietrze a potem ogarnęła go ciemność. Pozostałych wybuchów już nie słyszał.

Ocknął się lazarecie wojskowym. Nikt nie potrafił mu wyjaśnić,

jak tam się znalazł. Podobno przywiózł go jakiś folksdojcz w mundurze leśnika. Dowiedział się też, skąd wzięło się to niedorzeczne według niego bombardowanie. Wyjaśnił mu to leżący obok ranny żołnierz z obrony przeciwlotniczej. Otóż zdarzało się, że bombowce amerykańskie, latające na dużych wysokościach w przypadku awarii pozbywały się swego ładunku bomb, gdzie popadnie. To właśnie jego spotkał taki przypadek. Później ruszyła rosyjska ofensywa. Udało mu się przeżyć kolejne etapy odwrotu. Moment kapitulacji zastał go w Bawarii.

Taka była beletrystyczna wersja wojennych przypadków feldwebela Hansa Jurgena opisana przez Andrzeja Dytrzaka po przeczytaniu jego wojennego pamiętnika.

*

Andrzej Dytrzak był historykiem z zamiłowania i powołania. Tytuł doktora habilitowanego przed jego nazwiskiem pachniał jeszcze świeżością. Należał do tej grupy historyków, którzy pisząc o przeszłości, nie myślą przy tym o własnej przyszłości. Zajmował się historią gospodarczą Polski ze szczególnym uwzględnieniem okresu II Wojny Światowej. Jego osoba stanowiła żywe zaprzeczenie utartego stereotypu historyka. Był mężczyzną wzrostu ponad 190 centymetrów, słusznej budowy ciała. Bujna czupryna i równie okazała, starannie przystrzyżona broda dopełniała obrazu jego postaci.

Odłożył na biurko napisaną przez siebie wersję wojennych wspomnień feldwebela Hansa Jurgena. Nie był z tego zadowolony, ale na dzisiaj musiało to wystarczyć. Na razie nie był w stanie dodać do tego nic więcej. Skala zniszczeń gospodarki narodowej, jej grabież, wykorzystywanie więźniów do prac przymusowych i ich eksterminacja dokonana przez hitlerowców w Polsce - były tematami doskonale mu znanymi. To też nie dziwił się, gdy Marek Dąbrowski, jego stary przyjaciel jeszcze z czasów studiów, zwrócił się do niego może z nieco dziwną prośbą, ale jak najbardziej leżącą w jego kompetencjach. Chodziło mu mianowicie o to, aby w trakcie swoich badań zwrócił uwagę na fakt zniknięcia ze stanu obozu dużej ilości więźniów w jednym momencie. To powinno być odnotowane w skrupulatnie prowadzonych przez Niemców ewidencjach obozowych, z którymi miał do czynienia. Powszechnie wiadomo, że Niemcy mają hopla na punkcie porządku. Właśnie ta prośba doprowadziła go do opisanego swoimi słowami tego, co udało mu się

jeszcze znaleźć i ustalić. Uważał za całkiem prawdopodobne, że opisy z pamiętnika mogą mieć coś wspólnego z wydarzeniami w obozie Gross-Rosen.

*

Przeglądając dokumentację jednej filii obozu Gross-Rosen natknął się na notatkę, że w ciągu jednego dnia ze stanu 5800 ubyło 5200 więźniów. Próbując to wyjaśnić, znalazł przypadkowo w jednym z archiwów przesyłkę od niemieckiego notariusza adresowaną do byłej filii obozu Gross-Rosen. Koperta była podpisana co prawda do zupełnie innej sprawy, ale adres nieistniejącego podoboju i stempel niemieckiego notariusza nie jest czymś, co spotyka się codziennie. Jego ciekawość wzrosła jeszcze bardziej, gdy stwierdził, że koperta nie była nigdy otwierana. Z adnotacji na kopercie wynikało, że przeszła ona przez dwie poważne krajowe instytucje i żaden z urzędników nie zadał sobie trudu, aby przeczytać korespondencję. Odsyłał ją dalej według kompetencji do załatwienia. Kolejny, chcąc pozbyć się kłopotu, podpisał ją do już zamkniętej i wyjaśnionej sprawy.

Na liście widniała data z sierpnia 1985 roku. W piśmie przewodnim notariusz wyjaśniał, że wykonuje ostatnią wolę Hansa Jurgena, emerytowanego pracownika pocztowego z Bawarii, zmarłego bezpotomnie, który ustanowił go swoim pełnomocnikiem do likwidacji wszystkich jego doczesnych spraw. Wykonując jedno z poleceń, niniejszym przesyła część jego wspomnień wojennych wraz ze szkicem, który był do tego dołączony. Brak zwrotu listu będzie uznany przez niego, że prawidłowo wywiązał się z nałożonego na niego obowiązku.

Wniosek, jaki z tego wypływał, był jednoznaczny. Informacja dotyczyła bez wątpienia jednej z wielu nie wyjaśnionych do tej pory tajemnic II Wojny Światowej. Śmierć ponad pięciu tysięcy więźniów nie była przypadkowa. Musiało się za nią kryć coś bardzo istotnego dla Niemców. Nie zamordowaliby tylu ludzi dla zabawy. Oznaczało to praktycznie likwidację całego podoboju. To, że dokonano tego w tym samym czasie, którego dotyczyła relacja Hansa Jurgena, musiało budzić zastanowienie. Wyglądało na to, że ktoś wydał rozkaz pozbycia się wszystkich świadków jakiegoś zdarzenia. Swoich i obcych. Co było tego warte?

*

Dokonana przez niego weryfikacja osób i zdarzeń wypadła pomyśl-

nie. Wynotował nawet pewne dane dotyczące podoboju. Te były dostępne w polskich archiwach zawierających dokumentację z czasów hitlerowskiej okupacji. Fakty historyczne były jednoznaczne. Tyle i aż tyle udało mu się ustalić w tej sprawie. Minęło przecież prawie pół wieku od tamtych wydarzeń.

Tak po prawdzie, to trochę go zżerała ciekawość. Był cholernie ciekaw, co tym razem wymyślił Marek. Ekonomista interesujący się mordami popełnionymi przez hitlerowców. Dosyć nietypowe połączenie. Chyba, że chodziło o rozwiązanie jakiejś zagadki. Znał jego niekonwencjonalne podejście do wielu spraw, to mogła być zapowiedź jego kolejnego zwariowanego pomysłu. Jeśli i tym razem tak było, to nie miał nic przeciwko temu, aby wziąć w tym udział. Niesamowite pomysły Marka bardzo często skutkowały wieloma niespodziankami w trakcie ich realizacji. On zaś miał ochotę na krótki odpoczynek po wyczerpującym okresie pracy nad swoją pracą doktorską. Chociaż z tym odpoczynkiem to mogło być różnie. Już nieraz przekonał się, że Marek potrafił się zachowywać jak poganiacz białych niewolników. Potrafił wykrzesać wszystkie możliwości z ludzi, którzy pracowali z nim przy realizacji jego pomysłów. Miał nadzieję, że już niedługo przekona się, o co chodzi tym razem. Byli umówieni na spotkanie w jego gabinecie po zakończeniu przez niego oficjalnego dyżuru w katedrze historii.

*

W zamyśleniu patrzył na odłożone kartki papieru. Jego znajomość z Markiem miała też swoją historię. No, może liczyła trochę mniej lat niż ta dotycząca Hansa Jurgena, ale też było co wspominać.

Poznali się na drugim roku studiów. Dorabiał sobie wtedy w Spółdzielni Pracy „Akademik” i tam poznał Marka. Ta dodatkowa praca pozwalała im poprawić finanse w czasie studiów. Nauka to potęgi kluczy, ale życie studenta i młodość też ma swoje prawa. Każdy dodatkowy zaskórniak miał wtedy swoją wymowę. Po drugiej wspólnej pracy zdecydowali, że zakładają nieformalną spółkę. Od tego momentu, wszystkie dobre fuchy, które im się trafiły, robili wspólnie. Nigdy nie żałował tej decyzji. Marek miał wręcz niesamowity nos do wynajdywania najbardziej intratnych zleceń. Najważniejsze jednak było to, że zawsze znalazł sposób na wykonanie zleconej roboty najmniejszym wysiłkiem, ale na poziomie odpowiadającym zleceniodawcy. Z

tym najmniejszym wysiłkiem, to też nie tak do końca była prawda. Zawsze znalazł sposób na ułatwienie sobie roboty, ale na tym kończyły się plusy. Później nie było limitu czasu pracy i wysiłku, jaki należy włożyć w wykonanie roboty. Sam zapieprzał jak mały traktor i wymagał tego samego od tych, którzy pracowali razem z nim. Do dzisiaj nie mógł zrozumieć, jak udawało mu się połączyć ullańską fantazję z wręcz niemiecką precyzją i systematycznością, gdy pracowali razem.

Właśnie częsta wspólna praca, pokrewne kierunki studiów, on historyk, Marek ekonomista, spowodowały, że znajomość się zacieśniła. Kiedy odkryli, że mają też wspólne zainteresowania, z czasem przerodziła się w autentyczną przyjaźń. Poznał wtedy doskonale mocne i słabe strony Marka. Do tych pierwszych należał zmysł organizacyjny, opowanie, odwaga i umiejętność myślenia. Do tych drugich szczerłość, skłonność do zamordyzmu w stosunku do głępszych od siebie i dobrze rozwinięta pamięć w stosunku do tych, którzy zrobili mu jakieś świństwo.

*

Rozległo się pukanie do drzwi i Andrzej spojrzał na zegarek. No tak! Zaczynał się jego dyżur. – Proszę! – rzucił w kierunku drzwi i o mało się nie skrzywił na widok wchodzącej osoby.

W drzwiach stał młody, a już „wybitny” działacz polskiej prawicy. Pamiętał, jak na początku roku akademickiego wezwał go do siebie jego profesor i powiedział: – „Panie kolego, dopilnuje pan, aby ten „wybitny” działacz w miarę bezproblemowo skończył studia i nie narobił nam w tym czasie kłopotów”. „C`est la vie!* – stwierdził wtedy Andrzej i wpisał go na listę seminarzystów, którzy mieli pisać pracę magisterską pod jego kierunkiem. Szybko się okazało, że profesor wiedział, co robi, gdy podrzucał mu to kukułcze jajo. Zasób wiedzy historycznej faceta kwalifikował go raczej do powtórzenia matury z tego przedmiotu, a nie do pisania magisterium. Na dokładkę był też całkowicie na bakier z podstawowymi zasadami gramatyki języka polskiego, ale gadane miał jak „mały führerek”.

– Proszę! Niech pan siada – powiedział z rezygnacją i wskazał na krzesło stojące przy biurku.

Spokojnie wysłuchał tego, co jego gość miał do powiedzenia na temat drugiego rozdziału swojej pracy magisterskiej i pomyślał, że zaro-

C`est la vie!* –(fr.) – takie jest życie

zumiałość rośnie zwykle proporcjonalnie do ułomności myśli. Nie był snobem, ale zagraniczni idioci byli mu miłsi, bo żyją za granicą.

– Wie pan – Andrzej zaczął i zastanowił się jak powiedzieć w dyplomatyczny sposób, że te wypociny jego gość może sobie potłuc o kant dupy – szlachetnie jest być dobrym, ale uczyć innych, jacy oni powinni być dobrzy, jest jeszcze szlachetniejsze i nie wymaga tyle wysiłku.

– Nie rozumiem – młody polityk wybałuszył na niego oczy.

– Nie szkodzi. Nie pan pierwszy i nie ostatni. – Młody człowiek spiekl widocznego raka, a Andrzej przyglądał mu się z uwagą biologa badającego nader interesujący preparat pod mikroskopem i dodał:

– Spróbuję to powiedzieć inaczej. Żyjemy w czasach przepracowania i niedokształcenia. W czasach, w którym ludzie są tak zajęci, że głupieją zupełnie.

Kandydat na stopień magistra był wyraźnie zdezorientowany. Zazwyczaj to on nadawał ton rozmowie, a inni mieli słuchać jego racji i przytakiwać. Teraz to wszystko brało w łeb.

– To co pan doktor proponuje? – spytał z nagłą rezygnacją małego balonika, z którego ktoś raptem spuścił całe powietrze.

– Dobrze by było, żeby pan przeczytał parę pozycji – tu wymienił autorów i tytuły – i skonfrontował to z tym, co zamierza panu umieścić w swoim drugim rozdziale pracy.

Ku jego zaskoczeniu zostało to skrupulatnie zapisane. Do tej pory, młody polityk zazwyczaj zbywał takie rady machnięciem ręki lub kwitował niedbałym skinieniem głowy. On wiedział wszystko lepiej. Umiał już mówić, ale to jeszcze nie świadczyło o inteligencji. „Może coś z tego będzie i jeszcze uda mu się samemu napisać pracę magisterską. W końcu, jeśli ćwierćinteligent będzie nad sobą pracował, ma szansę zostać półgłówkiem” – pomyślał Andrzej żegnając się ze swoim podopiecznym.

Patrzył za wychodzącym i zastanawiał się, czemu wiecznie tak jest w Polsce, że wiedza o historii pada ciągle ofiarą aktualnych zabiegów politycznych. Nie służy to przecież niczemu dobremu. Niestety, historią rządzą ci, co ją piszą na zlecenie polityków, a wobec chorobliwej wyobraźni, dowody nic tu nie wskórają. Sprawa nie musi być koniecznie słuszna tylko dlatego, że ktoś oddał za nią życie. A ponadto, kto zna tylko jedną prawdę, musi wiele kłamać. Dlatego też, głównym zajęciem

płatnych służalców w polityce jest przerabianie głupoty swych panów na mądrość, podłość – na uczciwość, tchórzostwa – na odwagę i cuchnących słów na pachnidła. Jemu jak dotąd udało się tego uniknąć.

Pukanie do drzwi przerwało jego rozmyślanie. Spojrzał na zegarek. Trzy minuty do końca dyżuru. To na pewno Marek – pomyślał. Otwierające się drzwi potwierdziły jego przypuszczenie. W drzwiach stał jego przyjaciel z czasów studiów Marek Dąbrowski. To spotkanie miało być przyjemnością, a nie przykrym obowiązkiem jak poprzednie.

*

Na powitanie Marek wręczył mu małą paczuszkę. – Ciekawe, czy zgadniesz kraj pochodzenia – zapytał z uśmiechem.

Opakowanie było nietypowe. Andrzej uznany koneser i smakosz herbaty miał problemy z identyfikacją. Po drugiej próbie poddał się i usłyszał, że jest to prezent od jego gruzińskich znajomych. Będąc przejazdem zostawili mu taki „gościniec”. A na gruziński koniak to zapraszał w sobotę, jeżeli Andrzej będzie miał czas. Żona miała babskie wychodne. Córka ze swoim chłopakiem jechała na ślub koleżanki. Syn wyjeżdżał na obóz sportowy i cała chata nasza, jeśli mu to pasuje.

Andrzejowi pasowało. Tym bardziej, że zżerała go wręcz niezdrówka ciekawość. Co też Marek wymyślił na stare lata. Wyciągnął to, co sam napisał i skserokopie oryginalnych dokumentów. Krótko i treściwie opowiedział, jak odnalazł dokumenty. Uważał, że mimo tej niecodziennej sytuacji, treść wojennych wspomnień niemieckiego sierżanta jest wiarygodna. Dobrze zdążył poznać mentalność i zwyczaje Niemców w czasie swoich wyjazdów naukowych do Niemiec. Nie bardzo jednak mógł zrozumieć i wyjaśnić motywy postępowania niemieckiego sierżanta. Możliwości było wiele. Poczynając od wyrzutów sumienia po nawrócenie się na „prawdziwą” wiarę katolicką.

Tok jego rozważań przerwał dzwonek telefonu komórkowego Marka. Ten, po krótkiej rozmowie, przeprosił go. Wyskoczyło coś bardzo pilnego i musi skrócić ich spotkanie. Nadal podtrzymuje zaproszenie na sobotę z gwarancją, że nikt nie będzie im przeszkadzał. Pożegnali się i Marek zniknął z plikiem papierów, które dla niego przygotował.

W chwilę potem wzrok Andrzeja padł na niedawno otrzymany prezent. Właśnie, będzie okazja poruszyć temat Gruzji, bo pretekst leżał przed nim. Kiedyś, będąc u niego w starym domu, na honorowym

miejsu w pokoju, zauważył pięknej roboty kindżał. Odruchowo wziął go do ręki i mimo że nie był znawcą białej broni, to docenił mistrzostwo ręcznie robionej broni.

– Ostrożnie, nie skalecz się – usłyszał. – To nie jest kopia.

Rzeczywiście, ostrze klingi było ostre jak brzytwa. Widząc nieme pytanie w jego wzroku, Marek wyjaśnił, że dostał to w prezencie od znajomych Gruzinów, gdy odmówił przyjęcia zapłaty za jakąś sprawę, którą dla nich załatwił. Sprawa była interesująca. Kiedyś wspomniał o tym swojemu koledze z katedry orientalistyki. Było to przy okazji wymieniania uczelnianych plotek. Ten wydobyl z niego dokładny opis broni. Sam kolekcjonował podobne rzeczy i zrobił mu mały wykład na ten temat.

Ormianie, Gruzini i inne ludy etniczne zamieszkujące tamte tereny do dzisiaj pielęgnują i kultywują system klanowy. Zgodnie z ich tradycjami i niepisanim prawem wręczenie takiego daru, a nie prezentu, jak podkreślił, oznacza, że dana osoba została przyjęta w poczet honorowych członków danego klanu. Sytuuje go to bardzo wysoko w ich hierarchii, gdzieś w pobliżu starszego rady, a jego głos, opinie i życzenia są traktowane z najwyższym poważaniem. Oznacza to również, że wszyscy mają obowiązek go chronić i udzielić mu zawsze każdej pomocy, jakiej zażąda, bez żadnego pytania o powód tej prośby. Gdy stwierdzają, że takiej osobie grozi niebezpieczeństwo, to rozwiązują problem radykalnie i skutecznie. Idą i podrzynają gardło przeciwnikowi. Zdarzają się tam takie przypadki i to najczęściej w sytuacji, gdy ktoś pomógł komuś walczyć z jego wrogiem. Jednak przypadek, gdy obdarowanym jest cudzoziemiec, jest bardzo rzadki. W ogóle ta tradycja wymyka się naszym wyobrażeniom o solidarności, honorze i wierności. Tam te wartości są mierzone inną miarą, często dla nas trudną do pojęcia. „A tak przy okazji to chętnie bym poznał tego twojego znajomego” - powiedział. Później jeszcze parokrotnie nagabywał go o zorganizowanie spotkania. W widoczny sposób interesowała go opisana przez niego broń i osoba jej posiadacza.

*

Tak więc sobotni wieczór zapowiadał się interesująco. Krótko po godzinie 18. podjechał taksówką przed nowy dom Marka. Był tu po raz drugi. Pierwszy raz był tu zaproszony na „parapetówkę”, ale wte-
Signum temporis* (łac.) – znak czasu

dy było sporo ludzi. Nie lubił nadmiernego tłoku, więc w miarę szybko się zmył. Położył rękę na dzwonku. Teraz na spokojnie przyjrzał się otoczeniu. Spokojna ulica, niby na uboczu, ale do centrum 10 minut samochodem. Zabudowa wolnostojąca. Działki średniej wielkości w granicach 1000 metrów kwadratowych. Domy pobudowane bez specjalnych fanaberii. Wrócił wzrokiem do domu dzisiejszego gospodarza spotkania. Jednopoziomowy, kryty dachówką, jasna elewacja, duże okna z żaluzjami i ładnie utrzymany trawnik. Po prawej stronie na granicy z działką sąsiada duży garaż na dwa lub trzy samochody i jakiś dziwny podjazd do garażu z metalowej kratownicy jak mu się wydawało. Trochę to kosztowało, ale widać stać go na to.

Sam wyznawał zasadę, że pieniądze są rzeczą nabytą i dobrze, jak są, ale nie to jest najważniejsze w życiu. Z tą dewizą szedł przez życie i nie narzekał, mimo że na uniwersytecie nie zarabiał kokosów. Prestiż i znaczenie nauki spadało coraz niżej w miarę jak bezsensowna prywatyzacja i komercjalizacja obejmowała coraz to nowe dziedziny życia. „Signum temporis”* – pomyślał. Wrócił na ziemię, bo Marek stał już u furtki.

– Na wstępie uprzedzę twoje pytanie o te kratownice, bo każdy o to pyta. Otóż nie chcąc zimą bawić się w odśnieżanie podjazdu wymyśliłem, że można wymurować takie korytka, a na wierzch położyć prostokąty z kątownika i w środek, co parę centymetrów, wspawać pręty ze stali zbrojeniowej. Wygląda to jak drabina, ale śnieg pada do środka korytka. W ten sposób zawsze mam czysty wyjazd z garażu.

Andrzej zaczął się śmiać. – Marek nie byłby sobą, gdyby nie dołożył czegoś od siebie. Gospodarz prowadził do drzwi wejściowych. W drzwiach powitał go piękny wilczur. Poznał się z nim już poprzednim razem i został zaakceptowany jako swój. Nie było w tym nic dziwnego, bo obydwoj lubili zwierzęta, a one potrafią to bezbłędnie wyczuć.

Dom był o wiele większy niż można było sądzić po zewnętrznym wyglądzie. Około 300 metrów kwadratowych. Urządzony ze smakiem, ale widać było, że pierwszeństwo ma wygoda mieszkańców, a nie wygląd na pokaz. Przeszli do gabinetu gospodarza. Duży pokój o powierzchni 40 metrów był tym, czego Andrzej mu zazdrościł. Wszystkie ściany były obstawione regałami na książki. Wolne miejsce zostawiono tylko na drzwi i pod oknem, gdzie stało biurko. Zbiór był imponu-

jący. Szacował, że jest tego ponad 10 tysięcy pozycji. Prawdopodobnie więcej niż w niejednej gminnej bibliotece. Zakres tematyczny był szeroki i odzwierciedlał zainteresowania gospodarza. Większość stanowiły pozycje dotyczące II Wojny Światowej i historii wojskowości na przestrzeni wieków. W tematyce sensacyjnej widać było, że dokonano selekcji. Były tu tylko pozycje tych autorów, którzy mieli coś sensownego do powiedzenia. To samo dotyczyło fantastyki naukowo - technicznej, ale ewidentnie rzucał się w oczy brak jakiegokolwiek pozycji fantasy. Jeden regał wypełniały same pozycje z literatury polskiej i widać było, że jego dzieci nie musiały korzystać ze szkolnej biblioteki aż do matury, aby przeczytać zadane lektury. Historia chrześcijaństwa sąsiadowała z monografiami innych wyznań. Zbiór encyklopedii obejmował pewnie cały zakres wiedzy ze wszystkich dziedzin. Monografie z różnych dziedzin, wspomnienia znanych polityków i wojskowych, chemia organiczna, mineralogia techniczna, geologia, ochrona środowiska, wytrzymałość materiałów i wiele innych nieraz wysoce specjalistycznych wydawnictw dopełniały obrazu zainteresowań gospodarza.

Wiedział z własnego doświadczenia, że każda pozycja była przez niego przeczytana albo tylko ten fragment, który go interesował. Nie było tu nic na pokaz. I właśnie tego mu zazdrościł. Że mógł sobie pozwolić na kupno tylu książek i miał dosyć miejsca, aby je ulokować. Ten rozrzut zainteresowań jego przyjaciela powodował, że był on wszechstronnym dyletantem na pograniczu genialności. To była jego ocena i wydawała mu się nader trafna.

Marek potrafił drażnić tak długo temat, który go interesował, że w krótkim czasie osiągał taki poziom wiedzy w tym wąskim zakresie, iż potrafił nawet zaskoczyć specjalistę z danej dziedziny. Miał umiejętność wykorzystania posiadanej częściowej wiedzy z innych dziedzin przy realizacji pomysłu w zupełnie innej branży, co dla postronnego obserwatora mogło sprawiać wrażenie, że ma czynienia z zadufanym bufonem, który pozjadał wszystkie rozumy. Jak mówi stare porzekadło – pozory często mylą.

Zaparzona herbata w wydaniu gospodarza była na niezłym poziomie, co zresztą poczytał jako ukłon w swoją stronę. Marek był nałogowym kawiarzem i tylko w jego towarzystwie uważał herbatę za napój godny uwagi. Na stoliku pojawiła się zapowiedziana wcześniej butelka konia-

ku. Jej wygląd ani siermiężna etykieta nie zapowiadały wcale jakiś specjalnych doznań. Marek odkorkowywał butelkę i postawił ją na stoliku, aby chwilę pooddychała.

Za chwilę Andrzej poczuł, że coś pachnie. Doznanie było niesamowite. Zapach wypełniał cały pokój. Nie potrafił zidentyfikować bukietu. Czuł smak winogron dojrzewających w pełnym słońcu, zapach wiatru i słońca, zapach drewna, w którym napój dojrzewał i inne, których nie mógł porównać do czegokolwiek mu znanego. Odczucie było irracjonalne, ale tak właśnie czuł. Z szacunkiem spojrzął na płyn nalewany do pękatych kieliszków.

– Ten koniak ma dwanaście lat i nie kupisz go w żadnym sklepie – odezwał się Marek. – Gruzini robią go według specjalnej starej receptury. Praktycznie tylko na własny użytek i na ewentualne prezenty. Normy unijne na pewno by go nie dopuściły do sprzedaży.

Andrzej przymknął oczy smakując i delektując się pierwszym łykiem. Wiele razy, wiele różnych markowych koniaków w różnych ilościach już pijał, ale czegoś takiego nigdy nie smakował. To była ambrozja! Teraz mógł poruszyć temat Gruzji.

– Musisz mieć u nich dobre notowania, skoro tak pamiętają o tobie – zaczął. – Powiedz coś więcej o tym.

Marek przez chwilę milczał i widać było, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Jak zapewne wiesz – zaczął – ich historia walki o niepodległe państwo jest podobna do naszej. Od wielu pokoleń próbowali wywalczyć sobie niezależność. Pierestrojka Gorbaczowa dała im kolejną szansę. Nasza spółdzielnia rzemieślnicza, w której byłem prezesem od 1982 roku handlowała też ze Związkiem Radzieckim. Tak prawdę mówiąc, to ja przekonałem członków spółdzielni, że warto postawić na tamten rynek. Strzał był w dziesiątkę. W ciągu trzech kolejnych lat zdobyliśmy tamten rynek i prawie całość produkcji dostarczaliśmy na Wschód. To był solidny płatnik i praktycznie nieograniczony rynek zbytu. W ich centralach handlu zagranicznego pracowało wtedy wielu Gruzinów i Ormian. Stąd się wzięły te znajomości. Po „pierestrojce” Gorbaczowa przyjechali wtedy do Polski szukać wsparcia u nas, bo przecież to od nas zaczęła się cała zawierucha dziejowa pod przewodnictwem „Solidarności”. Wydawało im się, że mogą oczekiwać pomocy z naszej strony dla podobnej sprawy u siebie. Nie wiedzieli tylko, że urzędni-

cy u nas są jak książki w bibliotekach, najmniej potrzebni są najwyżej ustawieni. To była delegacja rządowa z oficjalnymi pełnomocnictwami i uprawnieniami. Jak się zorientowali w Warszawie, że są po prostu spławiani przez urzędników Wałęsy, to normalną koleją rzeczy zaczęli szukać każdego możliwego wsparcia, aby załatwić swoją sprawę. – Marek upił łyk koniaku i ciągnął dalej:

I tak znajomy Gruzin trafił do mnie. Sprawa była „delikatna”, ale jak najbardziej do zrealizowania u nas i to tym bardziej, że był to moment kiedy nasza gospodarka zaczynała ledwie dyszeć i każdy kontrakt płatny w twardej walucie oznaczał dla wielu naszych fabryk „być albo nie być”. Znałem paru ludzi z poprzedniej ekipy rządzącej i miałem wcale niezłe stosunki z rządząca prawicą, więc dosyć szybko udało się załatwić dla nich audiencję u prezydenta. „Wielki Elektryk” oświadczył mi mniej ni więcej, że on dał słowo Jelcynowi i nie może z nimi rozmawiać. Chamstwo, głupota, arogancja – trudno wybrać na to określenie. W każdym bądź razie nie miało to nic wspólnego z elementarnymi zasadami dyplomacji. Wtedy przypomniał mi się znajomy Czech, który był kiedyś radcą handlowym w ich ambasadzie w Warszawie i pomógł mi zrobić parę kontraktów na Czechosłowację. Zadzwoiłem do niego do Pragi. Po krótkiej rozmowie zostałem zaproszony do złożenia wizyty. Na następny dzień byłem już u niego. Zreferowałem, o co chodzi i po południu miałem już odpowiedź. Mogą przyjechać. Umowa będzie podpisana. Wróciłem i jak im to powiedziałem, to nie chcieli wierzyć. Był problem z samochodem, więc wzięłem sobie wolne, załadowałem ich do swojego BMW i zawiozłem do Pragi. Tam zostawiłem ich pod opieką znajomego Czecha. Po trzech dniach dzwoni „mój” Gruzin i prosi o podanie numeru konta, na który chcą przelać należną mi prowizję, bo podpisali kontrakt. Było mi głupio za te poprzednie numery, co miały miejsce u nas i powiedziałem, że nie zrobiłem tego dla pieniędzy i niech nie sądzą, że wszyscy Polacy podzielają poglądy panujące obecnie u nas prezydenta. Jakies pół roku później zadzwonił jeszcze raz mówiąc, że będzie przejazdem i czy może złożyć wizytę. Umówiliśmy się i faktycznie przyjechał. On w garniturze, a jego towarzysz w galowym stroju ludowym. Widząc moje zdziwienie dosyć mętnie wyjaśnił mi, że wymaga tego ich tradycja. Chcą mi podziękować za to, co zrobiłem dla nich. Dlatego przywieźli mi w darze kindżał, który został

specjalnie wykonany dla mnie. Wtedy nie miałem bladego pojęcia, co to znaczy i nie wiedziałem, jak wiele dla nich znaczyło to, co tak od ręki załatwiłem. Zresztą kiedyś byłem w tamtych stronach i złożyłem im wizytę. Wtedy zrozumiałem, jak to było dla nich ważne. Do dzisiaj ta znajomość jest kultywowana przez obydwie strony. Od tamtej pory zawsze co jakiś czas ktoś przyjeżdża z wizytą i suwenirem. Teraz już znasz całą albo prawie całą historię. Jak sam widzisz, było tu więcej przypadku niż celowego działania.

– Przypadki mają to do siebie, że lubią się materializować i zdarzają się tym osobom, które są we właściwym miejscu i o właściwej porze i potrafią im pomóc – skonstatował Andrzej. Do tej pory ten epizod w życiu jego przyjaciela był mu nieznanym.

– Powiedz w takim razie, co ci chodzi po głowie w związku z tym co znalazłem w archiwach i opisałem na tych paru kartach papieru. Chyba nie zamierzasz tropić hitlerowskich zbrodniarzy albo szukać skarbów? – Andrzej był wyraźnie poruszony tym, co usłyszał dotychczas.

– I tak, i nie – Marek uśmiechnął się i zaraz spowaźniał. – Wiesz doskonale, że II Wojna Światowa to moje hobby. Dorobiłem się dużej literatury w tym zakresie i mam u siebie pozycje, których nie znajdziesz nawet w renomowanych bibliotekach. Z innymi moimi notatkami i zdobytymi dokumentami stanowi to już pokaźne archiwum. Oczywiście moja zbieranina nie może się równać z twoim profesjonalnym zbiorem dokumentów. Niemniej jednak jakbyś przeczytał niektóre z nich, to nawet tobie, jako rasowemu historykowi, zjeżyłby się włos na głowie. Otóż zauważyłem, że istnieje pewna prawidłowość. Są tematy i miejsca, które osłania zмова milczenia i kompletnej ignorancji. Tak jakby w ogóle nie istniały. Mało tego, wygląda to tak, że obecnie rządząca prawica postępuje dokładnie w taki sam sposób, jak rządząca poprzednio ponad pięćdziesiąt lat lewica. Decydenci poszczególnych ekip rządzących udają po prostu, że tematu nie ma i kropka. Wyjaśnię to na przykładzie jednej miejscowości i historii jednego człowieka jak to działa.

*

Lubiąż to miejscowość w gminie Wołów w województwie dolnośląskim. W latach 1936 – 1942 Niemcy zbudowali tu podziemną fabrykę i bardzo dobrze ją zamaskowali. Obecnie znane są jedynie te fragmenty, które mieszczą się w piwnicach klasztoru. Pozostała i najważ-

niejsza część podziemnej fabryki nie jest znana do tej pory. A fabryka nie należała do małych obiektów. Pracowało tu kilkanaście tysięcy więźniów zaliczonych do kategorii „Geheimstrager” czyli wtajemniczonych. Dla więźniów oznaczało to, że do końca wojny nie wolno im opuścić terenu podziemnej fabryki. Po wojnie nie odnaleziono żadnego żywego więźnia z tak ogromnej rzeszy pracujących pod ziemią. Głównie byli to Francuzi, Rosjanie i Polacy. Prawdopodobnie zostali żywcem pogrzebani w którymś z podziemnych tuneli.

Podstawą do takich działań był zbrodniczy rozkaz Reichsführera Heinricha Himmlera, który nakazywał likwidację więźniów dla zachowania w tajemnicy prowadzonych badań naukowo-technicznych i rodzaju wytwarzanej produkcji. Rozkaz ten był skrupulatnie wykonywany i znany jest tylko jeden przypadek odmowy jego wykonania. Wiele wskazuje na to, że Lubiąż jest właśnie takim miejscem, gdzie dokonano masowej zbrodni. Jest rzeczą niemożliwą, aby z tak ogromnej liczby zatrudnionych tu ludzi nikt nie ocalał i nie pozostał po nich żaden ślad.

W 1990 roku „Gazeta Robotnicza” ujawniła zeznania pewnego świadka. Był nim Polak, który dopiero tyle lat po wojnie odważył się powiedzieć, czego był tam świadkiem. Ciekawe, czego tyle lat się obawiał i dopiero teraz powiedział, co widział. Przecież był u siebie i Niemcy nie mieli już nic do gadania na tamtym terenie. Widocznie do teraz musiał mieć jakieś uzasadnione obawy. Jego zeznania wyjaśniły, co się działo ze zwłokami więźniów zmarłych w podziemiach fabryki i dlaczego nie było ich mogił na miejscowym cmentarzu. Zwłoki przesypane wapnem umieszczano w dużych skrzyniach po 12-15 w jednej. Ładowano na barkę i spławiano w dół Odry do Bałtyku. Na otwartym morzu skrzynie były zatapiane. Jednorazowo barka zabierała 400 zwłok.

Takie postępowanie było jednym z elementów maskujących tutejszą podziemną działalność. Usuwano w ten sposób ślad, jakim mogły być ludzkie szczątki pochowane na tutejszym cmentarzu w tak znacznych ilościach. W niewielkiej miejscowości musiałyby się to rzucić w oczy. Postronnego obserwatora mogło to zastanowić. Na powierzchni nie prowadzono takiej działalności, która by to usprawiedliwiała. Mógłby zacząć szukać innych wyjaśnień tego stanu rzeczy, a do tego Niemcy nie zamierzali dopuścić. Ten element maskowania okazał się skuteczny, bo ujrzał światło dzienne dopiero po 45 latach. Nawet taki

detal był chroniony tajemnicą. Nic nie zostawiono przypadkowi.

Wiadomo, że fabryka składała z części naziemnej i podziemnej. Część naziemna, do której należały zabudowania klasztoru i częściowo budynki dzisiejszego szpitala, psychiatrycznego jest dosyć dobrze znana i opisana. Na nieznaną część podziemną składają się trójpoziomowe piwnice klasztoru, a szczególnie poziom drugi i trzeci, o których nie wiadomo nic.

Dziwnym trafem zachowała się tylko szczegółowa dokumentacja architektoniczna części nadziemnej klasztoru, a ta dotycząca części podziemnej zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Pewnie rąbnęły ją krasnoludki dla wiadomych tylko sobie celów. Winnego nie możemy wskazać palcem, ale nie musimy rozwiązywać kwadratury koła, aby mieć pewność komu na tym zależało. Niemcy i tym razem zadbałi o swoje tajemnice skryte pod ziemią.

Nieznaną część podziemną to tereny pod szpitalem psychiatrycznym, sieć tuneli i podziemna fabryka położona na głębokości kilkunastu metrów pod pobliskimi polami uprawnymi. Najwięcej wiemy o sieci tuneli. Najstarsze z nich są dziełem cystersów. Zakonnicy budowali je równocześnie z klasztorem. Nie ma w tym nic dziwnego. Krzewiąc „prawdziwą wiarę chrześcijańską” używali nie tylko słowa bożego, ale sprawnie posługiwali się mieczem i podstępem wobec swoich oponentów. Ci nie pozostawali im dłużni. Nikt przecież nie lubi, gdy pozbawia się go dóbr materialnych na tym doczesnym świecie w imię obojętnie jak szczytnych celów. Możliwość skrytego opuszczenia klasztoru ukrytym podziemnym przejściem w podbramkowej sytuacji mogła być na wagę złota lub nawet życia. Dlatego też przygotowali sobie dobrze zaplanowaną i równie perfekcyjnie wykonaną drogę odwrotu. Niemcy wykorzystali istniejące tunele i przystosowali je do swoich celów. Poszerzyli je i obudowali betonem lub żelbetem, dodając do istniejącej sieci nowe odcinki.

Jeden tunel biegnie od browaru klasztorowego, wzdłuż skarpy nad Odrą, do szpitala. Drugi ciągnie się pod ogrodami klasztorowymi od głównej bramy klasztornej do Wzgórza Trzech Krzyży. Trzeci przebiega pod Odrą z okolic szpitala w kierunku zamku w Prochowicach. Istnienie i przebieg dwóch pierwszych tuneli zostało potwierdzone i w miarę dokładnie zbadane. Wykorzystano tu metody radiestezyjne, magnetyczne i elektrooporowe. Wykonano również lotnicze zdjęcia

podczerwieni. Próbnymi odwiertami potwierdziły te dane. Najmniej wiemy o trzecim tunelu. Wiarygodne są tu zeznania naocznych świadków gdy pogłębiano koryto Odry. Czerpak koparki na całej szerokości rzeki natrafiał na opór w tym samym miejscu. Za każdym razem na jego zębach widniały ślady czerwonej cegły. Szkoda tylko, że uzyskane wyniki nigdy nie znalazły się jednym ręką. Nasza wiedza o tym terenie byłaby zapewne dokładniejsza i pełniejsza. Niewykluczone, że ktoś zadbał aby tak się stało.

Coś niecoś wiemy o części podziemnej fabryki, która mieściła się w podziemiach klasztoru. Komunikację z podziemiami zapewniały cztery windy. Zamontowane były w starych pocysterskich szybach. Nawet dzisiaj można zobaczyć jedno z kół napędowych poruszających windy na strychu klasztoru. Były też inne wejścia dla pieszych i wjazdy dla samochodów. Te pierwsze znajdowały się przy windzie w pałacu opata, koło windy przy wieżach kościelnych i paru innych miejscach. W stronę drogi na Gliniany był wjazd dla samochodów. Drugi wjazd w postaci betonowej prostokątnej bramy w głębokim wykopie istniał prawdopodobnie przy drodze z Lubiąży do wsi Krzydliny. Zostało ono zasypane gruzem i ziemią przez Niemców zanim opuścili ten teren. W tym miejscu okoliczna ludność urządziła sobie wysypisko śmieci. Ciekawe, kiedy i kto im podsunął taki pomysł. Niemcy celowo rozebrali i zniszczyli utwardzoną drogę tu prowadzącą, aby nic nie przyciągało uwagi ewentualnych poszukiwaczy do tego miejsca.

Wentylację i dopływ świeżego powietrza do podziemi rozwiązano również skutecznie i pomysłowo. Czerpnie powietrza zlokalizowano w terenie zadrzewionym, aby osadzający się na nich w okresie zimowym szron nie był widoczny dla obserwacji z powietrza. Takie zjawisko na zimowej fotografii rozpoznania lotniczego nie wzbudzi podejrzeń żadnego analityka wywiadu. Znajdują się one pod stacjami Drogi Krzyżowej, przy skrzyżowaniu dróg prowadzących do Wołowa i do klasztoru w barokowej kaplicy przydrożnej i zapewne w wielu innych miejscach, na które do tej pory nikt nie zwrócił uwagi.

Budowę rozpoczęto wiosną 1936 roku. Rozciągała się ona na dwa kilometry na północ i północny-wschód od klasztoru. Podziemny rurociąg dostarczający wodę do fabryki miał średnicę prawie jednego metra. Zużywano tam olbrzymie ilości prądu i wody. Znany nam zakres i wielkość produkcji nie tłumaczy tak wielkiego zużycia. Musiano tam

robić jeszcze coś innego na wielką skalę i o tym nie mamy na razie blado pojęcia. Oficjalna nazwa fabryki brzmiała: „Schlesische Werkstätten, dr Fürstenau und CO GmbH”. Początkowo inwestycję prowadziło Ministerstwo Lotnictwa Rzeszy i wykonawcą były służby budowlane tego ministerstwa, a później przejęła to Organizacja Todta. Od 1942 roku badania i produkcję nadzorował gen. Walter Dornberger. Bezpośrednio obiektem zainteresowany był marszałek Hermann Göring i feldmarszałek Erhard Milch.

Co ciekawe, Lubiąż odwiedził podobno osobiście sam Adolf Hitler. Ciekawe, co tutaj oglądał, bo przecież nie przyjechał na zwiedzanie starego klasztoru w tak zapadłej miejscinie. Zainteresowanie innych znaczących hitlerowskich bonzów też świadczy o tym, że działy się tutaj ciekawe i interesujące rzeczy. Coś na ten temat wiadomo na pewno, a reszty można się tylko domyślać ze strzępków przechwyconych do tej pory informacji.

Badano tu i testowano różnego typu radary. W 1943 roku z bombardowanego Berlina przeniesiono tu zakłady zbrojeniowe GEMA-Werke, w których opracowywano super tajne programy z zakresu radiolokacji. Pracowano tu również nad bronią elektromagnetyczną czyli próbowano skonstruować urządzenia emitujące wiązki fal radiowych, które z uwagi na moc i częstotliwość powodowały uszkodzenia układów elektrycznych lub przerwę w ich pracy w samolotach i samochodach. Opowiadał o tym świadek, który widział tam takie próby. W czasie ich prowadzenia samochody jadące drogą Lauban-Goerlitz stawały. Po zakończeniu prób ruszały dalej. Najciekawsze jest jednak to, że stawały też samochody z napędem Diesla, a tego już nie można w żaden sensowny sposób wytłumaczyć.

Pracowano tu również nad czymś w rodzaju lasera promieniowania rentgenowskiego lub gamma, które przy dużych natężeniach jest zabójcze dla organizmów żywych. Do super tajnych projektów zaliczono też projekt „der Kelch”, którego celem było opanowanie zasad i metod generowania antygravitacji. Olbrzymie zużycie prądu i wody byłoby dla dzisiejszego agenta wywiadu sygnałem, że może tu chodzić o badania związane z techniką jądrową. Jedno z możliwych przypuszczeń jakich wiele można snuć na podstawie naszej cząstkowej wiedzy o tym obiekcie.

Montowano również silniki do dwóch typów Messerschmittów, raket V-1 i V-2. W 1944 roku wytwarzano prawdopodobnie również inne detale na potrzeby innych projektów badawczych. Produkowano również części do samolotów, samochodów i różne części radiotechniczne. Wygląda to na spory kompleks naukowo-badawczy połączony z konkretną produkcją na potrzeby wojska. Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe.

Do maskowania fabryki Niemcy przystąpili w grudniu 1944 roku. Zniwelowano wówczas Wzgórze Trzech Krzyży, a teren wokół wzgórza, kilka kilometrów kwadratowych nadsypano ziemią. Analiza warstwicowa map rejonu Lubiąża przeprowadzona w 1986 roku przez Państwowe Przedsiębiorstwo Kartograficzne w Warszawie wykazała, że w stosunku do stanu sprzed 1932 roku, kulminację zniwelowano o 2,8 metra, a w niektórych miejscach wzgórze nadsypano ziemi na ponad 5 metrów.

Tak tytanicznej pracy nie wykonuje się dla zwykłego maskowania, nawet jak ma się do dyspozycji darmową siłę roboczą w postaci więźniów. Ponadto stosowano tu najnowocześniejsze wówczas sposoby maskowania. Wykorzystano do tego celu wysoko wydajne generatory dymu. Powodowały one, że w ciągu paru minut zadymiony obiekt stawał się niewidoczny dla obserwacji z powietrza. Ponadto istnieją zeznania świadków twierdzących, że w normalny dzień klasztor po prostu zniknął, a później pojawił się tak samo niespodziewanie, jak zniknął. Aż ciśnie się na usta porównanie do amerykańskiego eksperymentu w Filadelfii.

Zastosowano tu zasadę podwójnego maskowania. Istniała legenda na zewnątrz i legenda dla instytucji i firm niemieckich. Zrobiono wszystko, aby legendy były wiarygodne i skutecznie maskowały to, czym był ten obiekt i co tu robiono. Skuteczność tych działań potwierdzili Rosjanie swoim zachowaniem.

Ofensywa rosyjska rozpoczęła się 12. stycznia 1945 roku. W ciągu 11 dni Niemcy ewakuowali cały swój personel naukowo-techniczny w tym także laborantów i techników, a ślad po tych ludziach urywa się na jednym z punktów tranzytowych na terenie Polski. Po wojnie nie znaleziono nikogo żywego z tych, którzy byli ewakuowani. Najpierw zginęli więźniowie, a później niemiecki personel techniczny. Ciekawe, jakie tajem-

nice zabrali ze sobą do grobu. Musiało to być coś cholernie ważnego, skoro dla utrzymania tej tajemnicy zabito tylu ludzi. Decyzja o likwidacji personelu niemieckiego musiała zapaść na najwyższym szczeblu w Berlinie. Nikt nie morduje swojego średniego personelu technicznego dla zabawy.

23. stycznia Niemcy ostatecznie opuścili Lubiąż. W dniu 26. stycznia Rosjanie zajęli klasztor. Niemcy przed opuszczeniem klasztoru odcięli i zamaskowali wejścia prowadzące do podziemi drugiego i trzeciego poziomu piwnic. W naziemnej części klasztoru i na pierwszym poziomie piwnic zostawili trochę maszyn, co utwierdziło Rosjan w przekonaniu, że zdobyli całe wyposażenie fabryki. „Trofejnij” sprzęt wywieziono na Wschód i dalszych poszukiwań już nie prowadzono.

Rosjanie urządzili tu obóz dla uwolnionych z niemieckiej niewoli swoich jeńców wojennych. Z tysięcy jeńców tylko niewielu przeszło weryfikację, a pozostali, potraktowani paroma gramami ołowiu zostali pogrzebani w lochach klasztoru. Później urządzono tu szpital wojenny.

Rosjanie zauważyli wtedy jakieś źle zamaskowane wejścia do tuneli. Gdy na minach zginęło paru ich żołnierzy szukających skarbów, komendant szpitala kazał zasypać wszystkie niebezpieczne miejsca. Zrobiono to nad wyraz skutecznie. Ot, taka ironia losu. Rosjanie sami poprawili niemiecką fuszerkę w maskowaniu tajemnic Lubiąża.

Żołnierze rosyjscy mogli tam faktycznie szukać wtedy skarbów, bo tajemnicą poliszynela było, że pod koniec wojny zwożono do Lubiąża i ukrywano w lochach klasztoru skrzynie o nieznannej zawartości i depozyty ludności z gminy Wołów. Widzieli to mieszkańcy Lubiąża. Równie dobrze mogła to być kolejna niemiecka próba odwrócenia uwagi od czegoś znacznie ważniejszego. Czegoś tak ważnego, że nie można było tego zniszczyć, a wywiezienie tego było też niemożliwe. Trzeba pamiętać, że Niemcy te tereny uważali za swoje i liczyli się z tym, że tu później wrócą. Jeżeli tylko część z poprzednio wymienionych prac była tu rzeczywiście prowadzona, to naprawdę było to warte dobrej ochrony. Nawet dzisiaj może mieć to ogromne znaczenie. Niebezpieczna wiedza istniała zawsze. Istnieje też i dzisiaj.

W latach 1981-1984 pracownicy Wojewódzkiego Ośrodka Archeologiczno Konserwatorskiego we Wrocławiu przeprowadzili w rejo-

nie Lubiąża badania elektrooporowe i magnetyczne, które wykazały na tym terenie istnienie podziemnych próżni. Pokrywało się to z ustaleniami radiestety, który określił przebieg podziemnego korytarza z klasztoru do wjazdu w rejonie Wzgórza Trzech Krzyży. W korytarzu miał się znajdować tor kolejowy. Ustalono także położenie szeregu innych korytarzy i dwóch obiektów o znacznie większych wymiarach czyli prawdopodobnie hal fabrycznych. Pierwszą próbę dotarcia do obiektu podjęto w listopadzie 1982 roku. Miała tego dokonać specjalna grupa poszukiwaczy, utworzona dużo wcześniej przez generała Kiszczaka, kiedy był on szefem Wojskowej Służby Wewnętrznej. Grupa wzmocniona saperami Ministerstwa Obrony Narodowej otrzymała zadanie odnalezienia wejść do podziemnej fabryki w Lubiążu. Wojewódzki konserwator zabytków zdecydowanie odmawia wydania pozwolenia na usunięcie ziemi z piwnic klasztoru uzasadniając to tym, iż może to spowodować osłabienie fundamentów (sic!). Traci w ten sposób możliwość usunięcia ziemi zalegającej piwnice klasztoru i osuszenia odsłoniętych ścian piwnicznych. Mogli tego dokonać fachowcy, których posiadało wojsko i to pod jego nadzorem. Usunięto by zagrożenie, jakim jest zawilgocona ziemia w piwnicach, a tymczasem wykorzystano ten argument, aby uniemożliwić dostęp ekipie, która mogła tam wejść i wyjaśnić skrywane tajemnice obiektu. Ciekawe, kto stał za konserwatorem, że nawet ówczesny szef kontrwywiadu nie był w stanie wpłynąć na zmianę tak bezsensownej decyzji.

Przeprowadzono więc prace w terenie, które zostały storpedowane równie skutecznie i dowcipnie. Dokonano wierceń i wykonano głęboki wykop w okolicach Wzgórza Trzech Krzyży w miejscu, gdzie według ustaleń, na głębokości trzech metrów pod ziemią miał się znajdować wjazd do podziemi. Nie znaleziono niczego i jakoś to nikogo nie zastanowiło. A powinno. Czterej wyżsi oficerowie kierujący ekspedycją korzystający z pomocy i doradztwa dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Archeologiczno-Konserwatorskiego z Wrocławia tak dali sobą pokierować, że źle zorientowali mapę w terenie. Prace zostały wykonane w odległości około 100 metrów od właściwego punktu. Trudno spotkać zawodowego oficera, który by nie potrafił czytać mapy. A jeżeli byli tam tacy, to może ich specjalnie wyszukano i zlecono to zadanie. Jeżeli tak było, to zasadne będzie pytanie – „Kto za tym stał?”

Podobnym wynikiem zakończyły się wiercenia wykonane w ogro-

dach klasztornych. Tam według sprawdzonych informacji na głębokości 8-10 metrów miał przebiegać tunel z torem kolejowym. Na głębokości 8 metrów natrafiono na grubą warstwę płytek żwiru, którą oceniono jako warstwę pierwotną i nienaruszoną. Uznano więc, że pod spodem nie może przebiegać żaden tunel.

Argumentów do takiej oceny dostarczył, jak nie trudno zgadnąć, zawsze obecny i chętny do pomocy wyżej wspomniany dyrektor. Wojskowi po powrocie do koszar zorientowali się, że niemiecka metoda budowy sztolni zalecała wypełnianie pustych przestrzeni między szalunkiem a gruntem kamieniem łamanym lub innym kruszywem, na przykład grubym żwirem. Prace przeprowadzone przy użyciu sił i środków całkowicie wystarczających do odkrycia i wejścia do podziemi zakończyły się totalną kląpą z powodu dyletantyzmu osób odpowiedzialnych za realizację tego przedsięwzięcia. Nasuwa się tylko pytanie, czy tych ludzi dobrano właśnie pod takim kątem, aby efekt był zerowy i równocześnie ośmieszył wojsko szukające „skarbów”.

Wojsko jednak nie zrezygnowało. W 1985 roku Państwowe Przedsiębiorstwo Geodezyjno-Kartograficzne dokonało analizy zdjęć lotniczych tamtych terenów i wyniki potwierdziły istnienie podziemnych korytarzy pod Wzgórzem Trzech Krzyży i w rejonie Krzydliny. Na tej podstawie grupa saperów z Nadwiślańskich Jednostek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dokonała wierceń w miejscach przebiegu tuneli. Na głębokości 12 metrów dotarli do dwóch równoległe biegnących tuneli o szerokości 5 metrów każdy. Ustalono ich przebieg na długości około 150 metrów. W marcu 1986 roku wykonano dodatkowe zdjęcia lotnicze w paśmie podczerwieni uzyskując dodatkowe potwierdzenie posiadanych już danych. Zlokalizowano jakieś nieokreślone okrągłe obiekty o średnicach 10 i 15 metrów. W końcu 1986 roku minister spraw wewnętrznych gen. Kiszczak wydał pisemne polecenie wejścia do obiektu Jednostkom Nadwiślańskim Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nadzór nad operacją powierzono oficerowi służb specjalnych – majorowi Stanisławowi Siorkowi.

Operacja rozpoczęła się 3. grudnia 1986 roku. W ciągu trzech dni uzyskano bardzo obiecujące rezultaty i wtedy żołnierze otrzymali niespodziewany rozkaz powrotu do koszar. Rozkaz ten nie był wydany z inicjatywy gen. Kiszczaka. Pochodził z obcego ośrodka decyzyjnego i

generał był tylko jego wykonawcą. Kto był na tyle silny, aby wydać taki rozkaz, można tylko zgadywać, ale pod uwagę można brać tylko naszych największych sąsiadów i „brata” zza oceanu. W demokratycznym i podobno niepodległym państwie szef WSW, a później minister spraw wewnętrznych nie ma mocy sprawczej, aby odsłonić tajemnice pogrzebane w ziemi ojczystego kraju. Dziwne, a jednocześnie prawdziwe i straszne.

Major Stanisław Siorek, oficer służb specjalnych, stanowczo protestujący przeciwko tak bezsensownym rozkazom, został skierowany na przymusowe badanie lekarskie. Jakie musiało być jego zdziwienie, gdy stwierdził, że badającym go jest lekarz psychiatra. Lekarz nie wykonał otrzymanego polecenia. Kiedy stwierdził, że pacjent jest zdrowy, nie zamknął go w pomieszczeniu bez klamek. Miał zresztą z tego tytułu nieprzyjemności. Stanisław Siorek dożył późnej starości, ale to nic dziwnego, bo ludzie jego branży potrafią się skutecznie zabezpieczyć przed przypadkowymi i nieszczęśliwymi wypadkami. Do końca swojego życia zbierał informacje na temat podobnych spraw w kraju i zupełnie możliwe, że jako fachowiec mógł mieć wartościowe archiwum. Kto ma nad tym teraz kontrolę – nie wiadomo. Jego rodzina milczy na ten temat, a „nasza” prasa kontrolowana przez kapitał niemiecki jakoś nie zauważa takich sensacyjnych tematów. Woli raczej dawać na czołówki temat: „Człowiek ugryzł psa” i dalej robić wodę z mózgu naszemu społeczeństwu.

Te informacje, nie stanowią żadnej tajemnicy. Są znane wielu ludziom. Pisali o tym różni ludzie i na różnym poziomie. Często są to opisy pełne fantazji i niesamowitych przypuszczeń, ale i tam można nieraz znaleźć ziarenko prawdy. Są autorzy, których należy cenić za ich rzetelność i fachowość. Oni wiedzą, co piszą i o czym piszą, a to czy piszą wszystko, co wiedzą, to już zupełnie inna sprawa. Za dużo „grzybków w barszczu” musi budzić zastanowienie. Jedna ingerencja to może być przypadek, drugą można potraktować w kategoriach błędu statystycznego, ale trzecia pachnie już pewną prawidłowością. Można tu śmiało mówić o przyjętym sposobie ingerowania w sprawy, o których mówimy. Bez specjalnego trudu i błędu można wytypować komu i dlaczego może na tym zależeć.

Po pierwsze – Niemcy. Od nich wszystko się zaczyna. Już na początku lat trzydziestych prowadzili w laboratoriach uniwersyteckich wiele interesujących prac teoretycznych i doświadczeń z zakresu matema-

tyki i fizyki. Środki jakie na to przeznaczano nie były oszalałymi, a jednak w niektórych dziedzinach osiągnęli wyprzedzenie rzędu 30-50 lat.

Już samo to jest niewiarygodne. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że dokonano się to skokowo i w stosunkowo krótkim czasie, to rodzi się pytanie: „Skąd wiedzieli na jakie kierunki postawić?” Ówczesne światowe prace akademickie nie mogły dostarczyć tego typu informacji. Ponadto, już po wojnie, okazało się, że wiedza ta była w wielu dziedzinach stosunkowo kompletna.

Musimy też pamiętać, że był to okres w Niemczech, gdzie oficjalnie zanegowano słusność „żydowskiej” teorii względności Einsteina i wkrótce znalazła się ona na partyjnym indeksie. Wielu czołowych naukowców pochodzenia żydowskiego zmuszono do opuszczenia kraju lub zesłano do obozów. Czy Niemcy wiedzieli coś, o czym inni nie mieli pojęcia i korzystali z tego źródła? Nieprawdopodobne!? Wcale nie!

Możliwe, że prawdziwa odpowiedź na to pytanie zburzyłaby dotychczasowy utarty porządek świata. Tego postępu nie tłumaczy bowiem metoda, jaką przyjęli i konsekwentnie stosowali w odniesieniu do wszystkich zgłaszanych projektów i pomysłów. Każdy otrzymywał szansę na sprawdzenie się i udowodnienie swoich racji. Nie miało znaczenia, czy było to zgodne z aktualnym stanem wiedzy i czy było bardziej lub mniej niedorzeczne. Obrazowo mówiąc, to gdyby ktoś przyszedł z projektem sześciokątnego koła udowadniającym, że jest to lepsze rozwiązanie niż stosowane do tej pory okrągłe, to nie wyrzucono by go na zieloną trawkę ani nie zamknięto w szpitalu psychiatrycznym. Dostałby tylko mniej lub więcej środków finansowych i szansę na udowodnienie tego. Gdzie indziej na świecie takie podejście do tematu było w tym czasie niemożliwe.

Były też dziedziny, gdzie nauka niemiecka pozostawała nieco w tyle jak na przykład technika jądrowa. Chociaż chyba nie jest to tak do końca prawdą, jak usiłuje się to nam wmówić. Tutaj jednak sami sobie byli winni. W latach trzydziestych mieli wspaniałą kadrę naukową, którą sami zniszczyli i rozpędzili na cztery strony świata. Z drugiej strony ich rakiety balistyczne i okręty podwodne typu XXI reprezentowały wręcz niewyobrażalne wyprzedzenie w wykorzystaniu nowych

rozwiązań technicznych.

Ciekawą opinię wyraził amerykański generał piechoty morskiej w liście pisanym pod koniec 1945 roku do swojego odpowiednika w siłach powietrznych:

„Uzyskanie kontroli nad niemieckim establishmentem naukowym i przemysłowym uświadomiło nam, że jesteśmy niebezpiecznie zacofani w wielu dziedzinach badań i jeśli nie skorzystamy z okazji do wykorzystania umysłów, które to stworzyły, to pozostaniemy wiele lat w tyle, a jednocześnie będziemy prowadzić prace, które już zostały dokonane. Na to zaś nie możemy sobie pozwolić. „

Z tego stanu rzeczy doskonale zdawali sobie sprawę również Rosjanie. Wiadomo, jakie były tego skutki. Rozpoczął się wyścig, kto więcej i szybciej przejmie niemiecką kadrę naukowo – techniczną. Nie miało znaczenia czy, ktoś był zbrodniarzem wojennym i miał krew na rękach. Liczyło się tylko to, co wie i co można z niego wycisnąć.

W tym wyścigu bezsprzecznie wygrali Anglosasi. Proponowali pełną abolicję, dawali bezpieczne schronienie i proponowali godziwe wynagrodzenie. Rosjanie mieli do zaoferowania tylko przedłużenie życia i bezimienny pochówek, gdy delikwent przestawał być dla nich użyteczny, bo obietnica darowania winy była czystą fikcją. Nic więc dziwnego, że wszyscy Niemcy, jeżeli tylko mieli możliwość, to wybierali kierunek zachodni. Ponadto alianci mieli inny problem, z którym praktycznie nie uporali się nigdy do końca.

Niemcy prowadzili bardzo często swoje badania na zasadzie puzzli. Poszczególne problemy były rozwiązywane przez powołane do tego zespoły, ale nigdy nie miały one wglądu do całości projektu. Oczywiście istniała grupa osób koordynująca całość i mająca kompletną wiedzę o całym projekcie, ale było to tylko parę osób z najwyższej półki. Ochronę i zabezpieczenie kontrwywiadowcze powierzono ideowo oddanym fachowcom, głównie wojskowym z SS, którzy dla utrzymania tajemnicy gotowi byli dopuścić się każdej zbrodni. I robili to. Dla zachowania tajemnicy zabito dziesiątki tysięcy więźniów i tysiące Niemców średniego personelu technicznego pracujących przy tych projektach. Osiągnęli przy tym jeszcze jedną korzyść. Złapani potem niemieccy oficerowie z zabezpieczenia kontrwywiadowczego nie posiadali kwalifikacji naukowych i ich zeznania wprowadzały dodatkowy zamęt. Ich niesamo-

witych nieraz opisów nie można było jednoznacznie zinterpretować, gdyż nie przypominały one czegokolwiek znanego do tej pory i zupełnie nie pasowało to do stanu wiedzy, jaki był wtedy dostępny.

Mimo zdobycia dużej ilości informacji tego typu przez wywiady zwyczajnych państw i przekazania ich swoim wojskowym i naukowcom nic na tym nie zyskano. Nie potrafili się oni do nich ustosunkować i nadal nie było wiadomo o co tak naprawdę chodziło w tych badaniach i dlatego roztoczono nad tym tak szczelny parasol tajemnicy. Na wszelki wypadek utajniono całą dokumentację dotyczącą tych spraw i odesłano do archiwum. Nie dość, że Niemcy skutecznie zatarli wszystkie ślady, to tym pociągnięciem zablokowano na dziesiątki lat możliwość wyjaśnienia tych tajemnic. Stara metoda – nie wiesz, co z tym zrobić, to postaw stempel „Tajne”, odeślij do archiwum i po kłopotcie.

Zapewne, niektóre z tych zdarzeń sprzed pół wieku, nie są wygodne dla obecnych władz niemieckich. Czym innym są domniemania i przypuszczenia o tym co było, a czym innym fakty, poparte autentycznymi dokumentami. Żadna władza w jakimkolwiek systemie politycznym nie może sobie pozwolić na to, aby informacja o mordowaniu swoich własnych obywateli w imię obojętnie jak wysokich i szczytnych celów ujrzała światło dzienne. Wszyscy zdają sobie doskonale sprawę jakimi to reperkusjami może grozić. Niemcy konsekwentnie do dzisiaj milczą na te tematy. Z nikim i nigdy nie rozmawiają na temat prac naukowych prowadzonych w tamtych latach. Podobnie zachowują się w sprawie zrabowanych dóbr kultury i wartości materialnych. A jest o czym mówić. Obrabowali przecież całą Europę. Mówimy o miliardach dolarów ukrytych na terenach, nad którymi stracili kontrolę.

Teraz sytuacja się zmienia. Wraz z poszerzeniem Unii Europejskiej o nowe państwa tereny te znajdą się ponownie w ich zasięgu. Jest jeszcze jedna rzecz, na którą warto zwrócić uwagę. Ukrytych skarbów, a szczególnie tych z okresu II wojny, szuka i szukało wcale pokaźne grono osób. Nieraz nawet było głośno o tym w prasie. Są nawet tacy, którym udało się coś znaleźć, ale należą do tej mądrej grupy ludzi, którzy oficjalnie nic nie znaleźli. Nasze przepisy w tej materii są tak idiotyczne, że lepiej jest coś zgubić niż faktycznie coś znaleźć. No...., można znaleźć stary hełm, zardzewiały bagnet, ale nigdy nic wartościowego, bo to

grozi poważnymi kłopotami.

Narzekano może często i gęsto, może i były faktycznie próby, by zniechęcić daną osobę do poszukiwań, ale generalnie pozwalano szukać skarbów przyklejając temu łatkę nieszkodliwego szaleństwa. Sytuacja jednak ulegała diametralnej zmianie, gdy zaczynano szukać miejsc i dokumentacji naukowo – technicznej badań prowadzonych przez Niemców w tym okresie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki mnożyły się trudności formalno – prawne. Wyszukiwano najdziwniejsze preteksty, aby to storpedować. Ośmieszano w prasie. A jeżeli ktoś był nadal upierdliwy, to stosowano bezpośrednią ingerencję jak w przypadku majora, o którym była mowa.

Możliwe, że to wszystko nie jest wcale takie przypadkowe. Obecna nowelizacja przepisów zmierza w tym kierunku, że jak wejdzie w życie, to za samo wyjście z wykrywaczem metalu byle stójkowy może zamknąć takiego delikwenta do pierdła. Czyli – przedtem skarbów można było szukać, ale od techniki wara. Teraz, w przededniu naszego wejścia do Unii nie będziemy mogli niczego szukać.

Wygląda na to, że nasi nowi sojusznicy czyszczą sobie przedpole. Jeszcze chwila i przyjdą po to, co zostało ukryte w 1945 roku jak po swoje. Tym razem nie będą musieli używać do tego czołgów i żołnierzy. To przecież teraz nasi sojusznicy z NATO. Trudno powiedzieć ile może kosztować przepchnięcie ustawy w Sejmie, która to umożliwi. Wydatek na pewno opłaci się tym, którzy za tym będą stali. Przecież już teraz niewiele brakuje, abyśmy znali oficjalny sejmowy cennik za takie usługi. Metoda stara jak świat, ale nad wyraz skuteczna i często nie pozostawiająca żadnych śladów.

Wiemy, że Niemcy mieli w tamtym czasie różne pomysły. Choćby to niekonwencjonalne podejście do nauki zapoczątkowane zaraz po dojściu Adolfa Hitlera do władzy. Prawdę mówiąc, to do dzisiaj nie wiemy, skąd czerpali inspirację do badań naukowych i rozwoju nowych technologii. Można odnieść wrażenie, że ktoś im dał cynk w tej sprawie. To może rodzić kolejne pytanie – kto, kiedy i w jaki sposób to im przekazał. Bardzo wątpliwym jest, aby wpadli na to sami. Może znaleźli coś, o czym nie wie cały świat do dzisiaj. Podziw musi budzić ich determinacja z jaką bronią dostępu do tych wiadomości mimo wpływu tylu lat. Śmiało można przyjąć, że niektóre badania mają swoją

SUUM CUIQUE* (łac.)– każdemu to, co mu się należy

wartość i w dniu dzisiejszym. To, że z jednakową konsekwencją bronią dostępu do wszystkich badań prowadzonych w tamtym czasie nie pozwala ewentualnym poszukiwaczom na wytypowanie tych najbardziej znaczących i skoncentrowanie się na nich.

Weźmy na przykład ich badania nad grawitacją i antygravitacją. Mamy strzępki informacji na ten temat, z których tak na dobrą sprawę to nic nie wynika i możemy tylko stwierdzić, że prowadzili takie badania. Taki jest koniec naszej faktycznej wiedzy w tej materii. Temat jest cholernie interesujący, a implikacje jakie mogły wynikać wtedy z tego są wręcz niewiarygodne i nawet w dniu dzisiejszym mogą mieć niebagatelne znaczenie.

Powszechnie wiadomo jak potoczyła się niemiecka ofensywa w Ardenach. Niemcy wygrywają ją aż do chwili, gdy następuje zmiana pogody i nad ich kolumnami pancernymi pojawia się lotnictwo sprzymierzonych. Literalnie rozstrzeluje niemieckie czołgi pozbawione ochrony lotnictwa. Do tego Niemcy mają poważne problemy z dostarczeniem paliwa dla swoich czołgów. Następuje masakra niemieckiej piechoty i doborowych wojsk pancernych. Losów wojny już nic nie jest w stanie odwrócić. Tak było naprawdę.

Wyobraźmy sobie, że w połowie roku 1944 rok udało się im opanować technologię napędu antygravitacyjnego. Rzecz, o której nie śniło się wtedy, nawet wielu pisarzom fantastyki naukowej. Losy wojny były niby już przesądzone. I wtedy ich lotnictwo zyskuje nowy napęd do samolotów. Samoloty aliantów nie mogą nawiązać żadnego kontaktu bojowego z przeciwnikiem, bo jest dla nich nieuchwytny. Ich samoloty za to są zestrzeliwane jak kaczki. Niemieckie maszyny nie potrzebują paliwa i lotnisk do prowadzenia działań wojennych, a ich zasięg operacyjny jest limitowany jedynie fizyczną wytrzymałością pilota. W krótkim czasie lotnictwo sprzymierzonych przestaje istnieć. Niemieckie aparaty powietrzne niepodzielnie panują nad polem walki. W Ardenach nie pojawia się lotnictwo sprzymierzonych, na niebie królują niemieckie maszyny.

Przy potencjale wojennym jakim dysponowały obie strony w tym momencie, Niemcy szybko spychają sprzymierzonych do brzegów Atlantyku. Tym razem jednak nie popełniają błędu spod Dunkierki i na plażach Atlantyku niszczą całą siłę żywą i sprzęt aliantów. Inwazja zostaje

odparta i nie ma żadnej szansy, że zostanie powtórzona. Teraz zwracają się na Wschód. Sytuacja się powtarza. Zdobywają panowanie w powietrzu. W międzyczasie udoskonalają napęd antygravitacyjny i zaczynają go stosować w broni pancernej. W niespełna rok Rosja przestaje istnieć, a wojska niemieckie stają na granicy chińskiej. Zamiast obecnej współczesnej Unii Europejskiej mielibyśmy hipotetyczną unię niemiecką sięgającą granic Chin. Czy ten wynalazek mógłby zapewnić im podbój całego świata? Na to pytanie przy obecnym stanie wiedzy nie może być jednoznacznej odpowiedzi.

Napęd grawitacyjny ma zastosowanie nie tylko militarne. Możemy oderwać się od Ziemi i zacząć podróżować w Kosmosie. Znika bariera oddzielająca ludzi od Wszechświata. Spełniłoby się marzenie światłej części ludzkości. Przełom w dziejach ludzkości, którego nie można porównać z niczym, co do tej pory wytworzyły umysły i ręce ludzi. Czy warto chronić taką tajemnicę? – pytanie więcej niż retoryczne, gdy jesteśmy świadomi implikacji jakie z tego mogą wynikać. Nie ma więc w tym nic dziwnego, że Niemcy zachowują się w taki, a nie inny sposób. Wiedzą, że nic nie wiedzą, ale znają wysokość stawki, o jaką idzie gra.

Jako drugich mamy Rosjan. Przejęli to po Niemcach. Wywieźli to, co znaleźli. Prawdopodobnie mordowali tam swoich żołnierzy. Równie poważne motywy jak poprzednio. Niewykluczone, że mimo propagandowej wrogości działali tu ręka w rękę, albo nie wchodzili sobie w drogę, przy milczącej akceptacji decydentów politycznych. Od wieków wiadomo, że państwa nie mają przyjaciół, a tylko prowadzą interesy. To też wygodniej jest spuścić na to kurtynę milczenia i uniemożliwić dostęp do prawdy.

Należy dołożyć do tego jeszcze trzeci element. Amerykanie. Jako jedyne państwo wyszli z tej wojny jako mocarstwo ekonomiczne i dodatkowo pławili się w sławie humanitarnego i militarne zwycięzcy. Wiemy, że największa część niemieckich naukowców i personelu naukowo – technicznego trafiła w ich ręce. Tysiące ton dokumentacji technicznej zostały wywiezione za ocean i wiele z tego zostało wykorzystane. Chociażby początkowe sukcesy w podboju Kosmosu. Początki ich programu kosmicznego to ewidentna zasługa von Brauna i jego ekipy. Korzystają z badań, na których jest krew dziesiątków tysięcy nie-

winnych więźniów.

Mało tego, może się okazać, że odkryte dokumenty zaprzeczają ich prawom własności do patentów i technologii, z których korzystają i przedstawiają jako własne osiągnięcia. Może wyjść na jaw, że je sobie przywłaszczyli, czyli po prostu ukradli. Jaka skaza i plama na obrazku modelowej demokracji. A może wiedzą, że są jeszcze inne materiały sprzed pół wieku, które mogą mieć istotne znaczenie jeszcze teraz, ale są jeszcze chwilowo dla nich niedostępne.

Często liczy się sama idea pomysłu czy inne podejście do rozwiązania problemu i to decyduje o sukcesie przedsięwzięcia. Motywy też dobre jak dla pozostałych. W takiej sytuacji – siła złego na jednego – żaden Polak nie ma szans, aby zgłębić te tajemnice. Niby jesteś u siebie, ale o zgodę musisz zapytać sąsiada. Tak to wygląda obecnie i warto się chyba zastanowić: - „O co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.”

*

Usłyszana opowieść cofnęła myśli Andrzeja do czasów studenckich. Jednym z ich wspólnych pomysłów było napisanie powieści kryminalnej. Szybko ustalili, że prawidłowa konstrukcja powieści zamyka się w sześciu słowach – kto, co, gdzie, kiedy, dlaczego, jak. Obydwaj posiadali łatwość przelewania swoich myśli na papier i pełni zapału ruszyli, aby urzeczywistnić ten pomysł, ale los chciał inaczej. Nigdy go nie zrealizowali, ale tutaj był gotowy sensacyjny materiał i brakowało tylko odpowiedzi na pierwsze „kto”, bo „dlaczego” leżało w sferze w miarę prawdopodobnych przypuszczeń. Reszta odpowiedzi już była gotowa. Nie sądził, aby dzisiejsze spotkanie miało coś wspólnego z tym, co teraz przyszło mu na myśl o niedokończonych książce. Chociaż z drugiej strony nie mógł tego wykluczyć, gdyż wiedział, że Marek był konsekwentny i nigdy nie zostawiał za sobą niedokończonych spraw. SUUM CUIQUE* – to była jego zasada postępowania i gwarantowała tym, którzy z nim pracowali, że doceni ich wysiłki i starania. Dla przeciwników było to ostrzeżeniem, że prędzej czy później odpłaci im tą samą monetą. Marek jakoś nie był gorącym zwolennikiem chrześcijańskiej zasady nadstawiania drugiego policzka.

*

Na stole stanęła druga butelka i bursztynowy płyn napełnił ponownie kieliszki.

- Sąsiedzi grają w brydża? - Pytanie Andrzeja zabrzmiało nostalgią dawno minionych studenckich lat, gdy nie było prawie tygodnia, aby nie zaliczyli paru robaków. Dopracowali się nawet własnego systemu licytacji i stali się tak dobrzy, że w pewnym momencie nie było chętnych przeciwników do gry w parach, gdy grali razem.

– Niestety, tylko jeden i tak prawdę mówiąc to nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz grałem i chyba nieprędko uda się coś zorganizować na stałe. Ale do dzisiaj pamiętam brydża u Krzysztofa.

– Tak, tak – przytaknął Andrzej z uśmiechem – To było coś niesamowitego.

Zaczęli wzajemnie sobie przypominać, jak to było. A zaczęło się całkiem niewinnie. Kolega Andrzeja z roku, syn wojskowego, miał w sobotę wolną chatę, bo jego rodzice wyjechali w piątek do rodziny i mieli wrócić w niedzielę wieczorem. Mieszkał w wojskowym bloku na drugim piętrze. Po godzinie 19. zameldowali się u Krzysztofa, każdy z przepisowym pół litrem na głowę i zrobili dodatkową zrzutkę na litra ekstra, gdyby gra miała się przeciągnąć dłużej. Wszystko było normalnie do północy, dopóki Krzysztof nie zaczął używać gruszek w charakterze przekąski. Gdzieś koło drugiej nagle pobladł, pozieleniał i stwierdził: – Będę rzygać!

Najbliżej było do otwartego okna. Wstał, zatoczył się nieco, a oni zerwali się i podtrzymali go. Najbliżej było do otwartego okna. Mimo niewielkiego wzrostu i wagi niecałe 50 kilogramów, w pełni ich zaskoczył. Paw, którego puścił godny był olbrzyma, a odgłos jaki wydał przy tym, odbił się rykiem tura na uśpionej ulicy. Jakby tego było mało, to obsunęła mu się ręka i powoli zaczął wypadać za okno. Opatrzność jednak czuwa nad pijakami. Bo mimo tego, że obaj mieli też już co nieco „wzięte”, to udało się im złapać w ostatniej chwili jego nogi. Kiedy stopy znalazły się w ich rękach upadek został zahamowany, ale delikwent wisiał na zewnątrz okna. W jednej chwili byli trzeźwi jak nowo narodzone niemowlęta i odgięci nieco do tyłu, aby zrównoważyć trzymany ciężar. Zastanawiali się gorączkowo, co dalej. Trwało dobrą chwilę, zanim czwarty do brydża, Janusz, który został przy stoliku zorientował się w grozie sytuacji i pospieszył z pomocą. Razem wciągnęli z powrotem Krzysztofa i bardzo długo w pokoju panowała cisza. Napięcie rozładował Krzysztof.

– Już nigdy nie będę rzygał! – oświadczył. – A teraz napijmy się!
– Dodatkowy literek wpłynął kojąco na wszystkich.

Pewnie wszystko na tym by się skończyło, gdyby nie to, że zaistniała sytuacja miała świadka i dalszych uczestników. W momencie, gdy Krzysztof zaczynał swój występ, dołem przechodził starszy pan z psem na smyczy. Źle sypiał i często o najdziwniejszych porach brał psa i szedł na spacer. Podniósł głowę i w zielonej poświacie ujrzał sylwetkę mężczyzny, który najwyraźniej rzygał na ulicę, a potem wypadł z okna i wisi. Potrząsnął głową i spojrzał jeszcze raz. Nic się nie zmieniło. Facet wisiał nadal. Niczego się nie trzymał i nie spadał. To niemożliwe. Żałował, że nie miał przy sobie okularów żeby dokładniej ocenić sytuację, ale nadal był pewny tego, co widzi. Coś trzeba było zrobić. Tylko jedno przyszło mu na myśl. – Milicja!

Niedaleko była budka telefoniczna, więc udał się tam i wykręcił 997. Opowiedział, co widział i zapytał, co ma robić.

– Czy pan coś dzisiaj pił? – zapytał dyżurny oficer.

– Nie.

– Jak się pan nazywa?

– Jan Rybczyński.

– Gdzie pan mieszka?

– Ulica Bystra 4.

– Gdzie małe miejsce zdarzenie?

– Ulica Cudna 8.

– Proszę czekać na miejscu zdarzenia. Wysyłam radiowóz.

Rozmowa nie bardzo się podobała starszemu panu, ale posłusznie wrócił na wskazane miejsce. Za chwilę faktycznie przyjechał radiowóz. Trzasnęły drzwiczki samochodu i wysiadł sierżant milicji z kapralem. Sierżant zasalutował i zapytał.

– To pan dzwonił?

– Tak.

– Dowód osobisty proszę.

– Nie mam.

– Jak to pan nie ma?

– Na spacer mam chodzić z dowodem?

– Każdy obywatel powinien mieć przy sobie dowód tożsamości.

– Mam legitymację emeryta.

– Proszę okazać.

Sierżant wziął podaną legitymację, obejrzał i schował do kieszeni.

– Niech pan jeszcze raz opowie, jak to było.

Relacja jeszcze raz została powtórzona i sierżant przez chwilę się zastanawiał. – „Facet wygląda na normalnego, legitymacja w porządku, zdarzenie trochę dziwne, ale może ktoś chciał wypchnąć kogoś przez okno i świadek nieco je ubarwił. Trzeba sprawdzić.”

– Które to okno? – zapytał.

– Tamto oświetlone na drugim piętrze. Przedtem była zielona poświata, ale teraz świeci na białą.

– No dobrze, idziemy sprawdzić, a pan zaczeka tu do naszego powrotu i wtedy oddam panu legitymację.

Szybko odliczyli z kapralem okna, aby na podwórzu trafić do właściwej klatki schodowej i poszli. Według ich wyliczeń była to druga klatka schodowa. Weszli na drugie piętro i sierżant zawahał się. Mieszkania na tym piętrze były usytuowane lewo – prawo i nie było środkowego jak się spodziewał, bo na mijanym parterze i pierwszym piętrze tak właśnie było. Musi być większy metraż pomyślał i to będzie po prawej stronie. Podniósł rękę i delikatnie zapukał. Podniósł rękę po raz drugi i zamarł. Drzwi otworzyły się z rozmachem i stał przed nim człowiek w mundurze polowym z dubeltówką w rękę i plecakiem. Zaskoczenie było obustronne. Postać w mundurze też znieruchomiała. Jako pierwszy odzyskał głos człowiek w zielonym mundurze.

– O co chodzi? Słucham!

Tak najczęściej zwraca się przełożony do podwładnego. Słyszając znajomy ton w zadany pytanie, sierżant odzyskał również mowę. Blok wojskowy, pewnie oficer starszy stopniem, pomyślał i zaryzykował:

– Obywatelu pułkowniku....

– Podpułkownik Jan Skotecki. – skorygował człowiek w mundurze.

– Myślałem, że to kolega po mnie, bo jadę na polowanie – powiedział ze stoickim spokojem i spoglądał z nietajonym zainteresowaniem na podoficera.

Sierżant już pewniejszym tonem zaczął wyjaśniać, co spowodowało jego wizytę. W miarę jego wyjaśnień twarz pułkownika zaczęła przebieierać dziwny wyraz, ale spokojnie wysłuchał wszystkiego do końca.

– Czy wyście sierżancie coś dzisiaj brali? – najwyraźniej miał na myśli gorzałę.

– Ależ panie pułkowniku! – sierżant poczuł się urażony.

– Twierdzicie więc sierżancie, że z mojego okna rzyga jakaś postać, o czym ja nic nie wiem, świeci zieloną poświatą, a później w charakterze lewitującego maga wisi do góry nogami w powietrzu za moim oknem i nie spada. A teraz, jak dobrze zrozumiałem, to całkowicie zniknęła.

– No, niby tak – wydukał sierżant, cały czerwony na twarzy. Sam widział absurd wynikający z tego podsumowania.

– Myślę, że dobrze będzie jak się z tym prześpicie sierżancie, a później na nowo sobie to przemyślicie – podsumował pułkownik.

– Tak jest panie pułkowniku! Przepraszam za najście. – sierżant regulaminowo zasalutował i odszedł zabierając kaprała z sobą. Idąc na dół aż gotował się ze złości. On taki stary wyga, a dał się tak podejść. Już w myślach wyobrażał sobie, co zrobi ze starszym jegomościem. Dotarli na dół i sierżant już trochę ochłonał.

– Obywatelu, chuchnijcie! – zażądał sierżant.

– Obywatel chuchnął – czosnek, cebula, ale ani grama alkoholu – skonstatował.

– Przejdźcie po krawężniku trzymając ręce wyciągnięte przed sobą – wyraził nowe życzenie. Obywatel przeszedł zadany odcinek i nie spadł ani razu.

– Gdzie pracowaliście przed emeryturą?

– W dziale kadr w komendzie wojewódzkiej – brzmiała odpowiedź.

– O kurwa! – sierżant nie wytrzymał. Zielona poświata, lewitujący mag, świadek z resortu, a w dodatku nikt nic nie pił. Do tego ulica Cudna i Bystra. Tego było już za dużo jak na jedną rutynową interwencję.

– Dziękuję panu za obywatelską postawę, – powiedział zwracając legitymację, zły na siebie, że nie zwrócił wcześniej uwagi na to, kto wystawił legitymację emerytowi – ale na przyszłość lepiej by było, gdyby pan dokładniej widział i rozumiał, co widzi, bo nie wszystko wygląda tak, jak nam się wydaje. Jest pan wolny. – Emeryt oddalił się mrużąc coś pod nosem, a sierżant zwrócił się do kaprała:

– A ty Staszek, morda w kubel i nie było żadnej interwencji, pamiętaj! Jedziemy!

Ani emeryt ani milicjanci nie wiedzieli, że po występie Krzysztofa, Janusz zasłonił okno storami i zielona poświata, jaką dawał kłosz w rogu pokoju już nie przebijała na zewnątrz, a światło, które widzieli, paliło się u sąsiada w oknie obok. Nocą taka różnica jest prawie niedostrzegalna. A całe zdarzenie widziała i podsłuchiwała sąsiadka pułkownika po tym, jak zbudziło ją nocne zamieszanie, no i oczywiście zrobiła użytek z tego, co widziała i słyszała.

– No, fajnie – Andrzej spojrzął na zegarek i aż się zdziwił. Była już pierwsza w nocy i ani się obejrzał, jak zleciało tyle czas. – Dobrze się wspomina, ale teraz możesz zdradzić, co ci faktycznie chodzi po głowie.

– Spróbuję, – Marek uśmiechnął się – ale zanim to zrobię, to chciałbym opowiedzieć ci jeszcze o jednym zdarzeniu, jakie miało miejsce.

*

Ładnych parę lat temu miał miejsce wypadek drogowy. Z przecinki leśnej na drogę krajową wyjechał ciągnik z dłużycą ze ściętymi potężnymi dębami i to tak nieszczęśliwie, że zatarasował całą drogę. Do tej przeszkody dojechała wojskowa Wołga i zatrzymała się czekając, aż traktorzysta wybrnie z kłopotów. Z tyłu nadjechała duża ciężarówka i nie hamując dosłownie wprasowała Wołgę pod dłużycę. Pasażerowie Wołgi zginęli na miejscu, a sprawca wypadku uciekł z miejsca zdarzenia i nigdy go nie ustalono. Ciężarówkę skradziono trzy dni przed wypadkiem i nikt jej jakoś specjalnie nie szukał. Ta wojskowa Wołga pokonywała tę trasę regularnie trzy razy w tygodniu. Jak to połączyć razem, to sam przyznasz, że zaczyna to wyglądać więcej niż dziwnie. Według mnie to nie był przypadek i zaraz sam zrozumiesz, dlaczego tak sędzę. Za dużo było w tym przypadku innych „przypadków”.

O wypadku poinformował milicję przypadkowy kierowca, który się tam znalazł jakiś czas po zdarzeniu. Milicja po przybyciu na miejsce znalazła obok ciągnika pijanego w trzy dupy traktorzystę. Później okazało się, że miał 3,1 promila alkoholu we krwi, czyli praktycznie nie wiedział nic o bożym świecie w tym momencie. Milicja szybko zamknęła dochodzenie i przyjęto oficjalnie, że był to nieszczęśliwy wypadek jakich wiele na polskich drogach, gdzie nie brakuje pijanych kozaków za kierownicą. Traktorzystę postawiono przed kolegium do spraw wykroczeń i ukarano mandatem. Wypadek jakich wiele.

Tak mogłoby się wydawać, gdyby nie pasażer Wołgi, który w nim zginął i jednak dziwne okoliczności wypadku. Pasażerem był generał brygady, profesor Tadeusz Głowacki, szef Wojskowej Akademii Technicznej, światowej sławy fizyk, który jak szeptały wiewiórki, był w przededniu ogłoszenia rewelacyjnego odkrycia. Ostatnio zajmował się problemami związanymi z antymaterią i zimną syntezą. Jeszcze ciekawsze było to, że ten ostatni kierunek badań zaczął go interesować, gdy do jego rąk trafiła dokumentacja techniczna przesłana przez oficera osłony kontrwywiadowczej jednej z naszych jednostek wojskowych.

Otóż w tej jednostce, w południowo – zachodniej Polsce zaczęto robić generalne porządki, bo w ramach dyslokacji miano ten teren przekazać jednostce rosyjskiej. W trakcie prac natknięto się na zamaskowane podziemne pomieszczenia, gdzie między innymi znaleziono starą niemiecką dokumentację techniczną sprzed 1945 roku. Jak technika to Wojskowa Akademia Techniczna, zdecydował oficer kontrwywiadu i po spakowaniu wszystkich papierów wysłał je do Akademii. W ten sposób trafiły one w ręce generała.

Czy były one impulsem, który pchnął generała w tym kierunku i co w nich było, tego nie wiemy i pewnie się nie dowiemy. Po jego śmierci zespół badawczy rozwiązano, a cała dokumentacja i wszystkie wyniki badań, które ostatnio sam prowadził gdzieś się zawieruszyły. Mimo najszerszych chęci nie można tego potraktować jako przypadku, czy też uznać za objaw bałaganu, od którego wojsko też nie jest wolne.

A tak na marginesie, to traktorzysta jakieś pół roku po wypadku, w pijanym widzie utopił się w stawie. Zrobił to sam, czy ktoś mu w tym pomógł? Diabli wiedzą. Sprawę błyskawicznie zamknięto, a cała dokumentacja dochodzenia gdzieś zniknęła.

– Nie traktuj tego śmiertelnie poważnie, ale chciałbym abyś to sobie na spokojnie przemyślał, bo faktycznie chciałbym ci złożyć pewną propozycję – Marek rozlał ostatnią kolejkę koniaku – i zanim to zrobię, to jeszcze jedna ciekawostka.

*

Przed styczniową ofensywą Rosjan na jednym z odcinków frontu wschodniego kompania niemieckich Panther w nocy przypuściła atak na pozycje rosyjskiej dywizji pancerniej. Niemieckie czołgi wyposażone były w celowniki noktowizyjne. Rosjanie stracili 67 czołgów. Niemcy

nie ponieśli żadnych strat. W kwietniu na zachodnim froncie kilka Panther dziesiątkuje czołgi brytyjskie broniące mostu – bez strat własnych. Panthery miały podobne wyposażenie. To było w 1945 roku.

Wracamy do czasów dzisiejszych. Wojna w Iraku – kompania rozpoznawcza amerykańskiej dywizji pancerniej atakuje obronę irackiej podporządkowanej dywizji pancerniej gwardii republikańskiej i w ciągu niespełna pół godziny całkowicie ją przełamuje. Niszczy ich 85 wozów bojowych bez strat własnych. Wszystkie te zdarzenia mają jeden wspólny element – broniący się nie widzieli atakujących, a ci korzystając z noktowizyjnego systemu celowniczego strzelali do nich jak do tarcz na strzelnicy.

Niemieckie noktowizory były gotowe do użycia już w 1942 roku. Brak wyobraźni i głupota wyższych oficerów sztabu generalnego Wehrmachtu spowodowały, że wynalazek został odłożony na półkę i nie wdrożono go do produkcji na masową skalę. Gdyby Niemcy wyposażyli w ten sposób nie kilkanaście czołgów, a dwie lub trzy dywizje pancerne, to losy tej wojny wyglądałyby pewnie inaczej.

No cóż, wojny wygrywa ten, kto popełnia mniej błędów. Niemieckie celowniki noktowizyjne do broni strzeleckiej z lat czterdziestych niczym się specjalnie nie różniły od tych, które cały świat stosował jeszcze w 1984 roku. Świadczy to o tym, że tajne bronie i technologie wdrażane w III Rzeszy mogą być nadal aktualne i stanowić źródło nowych pomysłów. Takie blokowanie informacji i utajnienie badań jest nie tylko domeną Niemców.

Weźmy na przykład casus Nicolae Tesli. Serb z pochodzenia. Na początku lat trzydziestych emigruje do Stanów Zjednoczonych. Genialny wynalazca i naukowiec. Jego pomysły wyprzedzają ówczesną naukę o całą epokę. Patentuje wynalazek na bezprzewodowe przesyłanie energii elektrycznej. Zakłada spółkę z przemysłowcem z branży energetycznej, który to finansuje, a jego wkład to patent. Gdy do ukończenia projektu brakuje dosłownie przysłowiowej kropki nad „i”, finansista odmawia dalszego finansowania i przejmuje całość przedsięwzięcia łącznie z patentem. Wynalazek idzie do sejfu i do dzisiaj nie ujrzał światła dziennego. Implikacje wynikające z jego wykorzystania wtedy i dzisiaj są wręcz niewyobrażalne. Na jednym z pokazów Tesla demonstruje dziennikarzom i naukowcom wytworzoną kulę energii, którą kroi

nożem, a później żartując, mówi, że nie chce jej robić krzywdy i łączy ją z powrotem w całość. Do dzisiaj nikt z naukowców nie potrafi wyjaśnić, co to było. Takich demonstracji w jego wykonaniu było wiele, ale nauczony gorzkim doświadczeniem nie objaśniał obserwatorom zasad ani podstaw działania demonstrowanych urządzeń.

Po jego śmierci laboratorium, w którym pracował, spala się doszczętnie, a cała ocalała dokumentacja i jego patenty zostają przejęte przez rząd amerykański i utajnione. Klauzula tajności obowiązuje do dzisiaj (sic!). Co utajnili? Diabli wiedzą, ale niejeden chętnie by to obejrzał.

Jak widać, sprawy te są ciekawe czy wręcz ekscytujące, ale wymagają pewnej dozy zdrowego rozsądku, gdy chce się poważnie do tego zabrać. Tak jak Niemcy chcą zastosować skuteczne maskowanie. Będę szukał oficjalnie zaginionych skarbów, ale w takim połączeniu, aby przez przypadek były to miejsca, gdzie można znaleźć też inne, a może nawet nie mniej cenne rzeczy. Mam dwa wytypowane i gruntownie rozeznane miejsca, gdzie z dużą dozą prawdopodobieństwa można osiągnąć sukces. To, co dostałem od ciebie, już częściowo sprawdziłem i znalazłem coś ciekawego.

Ten podobóz kryje jakieś tajemnice. Wszyscy więźniowie tam zgromadzeni mają pewne wspólne cechy. Po pierwsze – wszyscy są kwalifikowanymi pracownikami w branży budowlanej i obróbki metali. Mamy tam murarzy, betoniarzy, elektryków, hydraulików, tokarzy, frezerów, narzędziowców i inne pokrewne zawody. Tym potencjałem ludzkim można zbudować każdą budowlę i uruchomić w niej produkcję na potrzeby wojska. Po drugie – wszyscy są w najlepszym wieku produkcyjnym, mają od 25 do 40 lat. Po trzecie – wszyscy są Polakami. Po czwarte – żaden nie przeżył obozu.

To prowadzi do pewnych wniosków. Filia obozu została zorganizowana w pewnym określonym celu. Więźniów dobrano pod kątem potrzebnym do jego realizacji. Na razie nie wiemy, co i gdzie oni robili. Jednak możemy śmiało przyjąć, że uczestniczyli w jakichś tajnych pracach i miało to pozostać tajemnicą dla osób postronnych. Stąd też zapewne zapłacili swoim życiem za wiedzę o tym, w czym brali udział. Tajemnica nie miała ujrzeć światła dziennego. Dlatego też casus feldwebela Hansa Jurgena wart jest sprawdzenia.

Chcę ci zaproponować udział w tym przedsięwzięciu. Pokryje wszystkie koszty wyprawy. Czas realizacji to około miesiąc w okresie wakacyjnym. Gwarantuję, że nawet jak nic nie znajdziemy, to będą to i tak niezapomniane wakacje. Będzie tylko jedno ograniczenie. W przypadku, gdy osiągniemy sukces, obowiązuje pełny zakaz rozmów i publikacji na temat tego, co odkryto, dopóki nie ustalimy, w jaki sposób i co można będzie pokazać na zewnątrz, aby nie wywołać wilka z lasu. Może się okazać, że w ogóle nic nie powiemy, ale o niepowodzeniach możesz pisać. Naruszenie tego warunku będzie oznaczać zerwanie współpracy i wykluczy jakiegokolwiek dalsze kontakty na przyszłość. Toteż chciałbym, abyś się naprawdę dokładnie nad tym zastanowił i zdecydował czy dla przeżycia emocji odkrywcy, a może nawet na zostawienia jakiegoś śladu w historii warto się na to pisać. Powiem ci co o tym sądził Albert Einstein: „Najpiękniejszym z dostępnych nam doświadczeń jest tajemnica. Wszelka prawdziwa nauka opiera się na dążeniu do poznania tajemnicy.”

– Zdecydowałem się! Możesz na mnie liczyć! – stanowczy i zdecydowany ton głosu Andrzeja nie pozostawiał cienia wątpliwości, że decyzja została podjęta, a wypity koniak nie miał na nią żadnego wpływu.

– Dobrze – widać było, że Marek nie jest zaskoczony tą decyzją. – Będziemy pracować we trójkę. Dołączy do nas jeszcze mój kolega z ogólniaka, Wiesław Kaczmarek. Myślę, że bez problemu znajdziesz z nim wspólny język. Widziałem się z nim w ubiegłym roku na zjeździe absolwentów w naszym starym liceum i już wtedy był w przededniu odejścia z wojska na wcześniejszą emeryturę. Służył w oddziałach specjalnych i chyba nie do końca był przekonany o prawidłowości zmian, jakie zachodziły w wojsku. Dali mu więc na odchodne awans na pułkownika i pozbyli się kłopotu. Jego hobby to geologia i mineralogia. Już wtedy był zainteresowany moim archiwum i pomysłami, jakie miałem z tym związane.

Mając go za plecami możemy być pewni, że żadna niespodzianka z tyłu nam nie grozi. Zresztą będzie czas na poznanie się i pogadanie. Ciebie chciałbym prosić, żebyś załatwił sobie wyjazd do Niemiec na konsultacje naukowe i wizytę w dwóch archiwach, gdzie prawdopodobnie będzie można znaleźć interesujące mnie informacje. Twoja

osoba nie zwróci specjalnego zainteresowania, a każda inna obca osoba pytająca o to samo na pewno tak. Pogadaj z profesorem i powiedz, że znalazłeś sponsora dla katedry, ale chcesz też skorzystać z tych środków na wyjazd do Niemiec. Uzgodnij tylko sumę, a ja znajdę sposób i formę przekazania pieniędzy tak, aby ślady nie prowadziły do nas.

– W porządku, nie będzie z tym problemu – Andrzej coś rozważał w myślach. – Mamy nawet jedno aktualne zaproszenie na symposium w Kolonii, ale nie mieliśmy pieniędzy na wyjazd. Twoja propozycja to zmienia i możliwe, że pojedę z profesorem, a później zostanę na kilka dni. To dałoby mi możliwość zebrania brakujących materiałów do mojej obecnej pracy i tego, co ciebie interesuje. Możesz sprawę uważać za załatwioną.

Tak zakończyło się spotkanie, które stało się początkiem wielu nieprzewidzianych zdarzeń i wypadków. Przyszłość miała pokazać na ile to pozwoli odkryć jedną z tajemnic III Rzeszy.

C'est la vie!* –(fr.) – takie jest życie

Signum temporis* (łac.) – znak czasu

SUUM CUIQUE* (łac.) – każdemu to, co mu się należy

ROZDZIAŁ II

Marek Dąbrowski siedział w swoim domu na tarasie i przeglądał w laptopie dokumentację otrzymaną od Andrzeja Dytrza, którą przywiózł on z Niemiec. Elektroniczna forma dokumentów była naprawdę wygodną formą przekazywania informacji. Zamiast sterty papierów dostał od niego parę dyskietek. Uzyskane informacje potwierdzały niektóre znane mu już fakty, ale były i takie, które stawiały nowe znaki zapytania. Za najważniejszą zdobycz Andrzeja uznał dane dotyczące dwóch spraw, które interesowały go już od lat. W obydwu przypadkach miejsca ukrycia znaczących dóbr materialnych pokrywały się z miejscami prowadzonych tam przez Niemców badań naukowych.

Dzięki Andrzejowi uzyskał więcej pewności w tych sprawach. Projekt „der Kilche” nie był mitem czy zasłoną dymną do innych działań. Istniał naprawdę i był tak utajniony, że do dzisiaj nikt nie wierzył w jego istnienie. Jeżeli to było prawdą, to mogło też być prawdą to, co on wiedział na temat prac tam prowadzonych. Chodziło o badania nad antymaterią i antygravitacją. Kiedyś przypadkiem natknął się na pojedynczy niemiecki dokument w tej sprawie i włączył go do swego archiwum. Do tej pory nie wiedział, co ma sądzić na ten temat. Teraz to się zmieniło. Wyglądało na to, że warto koło tego pochodzić. Temat był cholernie ciekawy i aktualny nawet w dniu dzisiejszym.

W drugim przypadku, informacje od Andrzeja były jak kubeł zimnej wody wylany na jego głowę. Do tej pory miał wiarygodne dane, że w interesującym go miejscu prowadzono badania nad radarami i niekierowanymi raketami przeciwlotniczymi kalibru 88 milimetrów. Andrzej dostarczył mu dane, z których jednoznacznie wynikało, że prowadzono tam badania nad V1 i V2 oraz prowadzono do nich montaż niektórych elementów. Coś się tu ewidentnie nie zgadzało. Nie mogą istnieć dwie prawdziwe wersje jednego zdarzenia. Chyba, że Niemcy z góry przygotowali takie dwie „prawdziwe” wersje, aby skutecznie ukryć, co tam faktycznie robiono. Takie przypadki były mu znane. Należało to wszystko uporządkować i po dokonaniu analizy podjąć decy-

zję, co z tym dalej zrobić. To zaś wcale nie było takie proste. Andrzej wykazał się węchem rasowego oficera śledczego. Dokopał się do informacji, gdzie trafiła cała dokumentacja dotycząca tych spraw.

W 1945 roku dostała się w ręce Amerykanów. Pakowanie i wysyłkę ton tych dokumentów do USA nadzorował porucznik Ian Scott. Oficer G-2 ze sztabu armii Pattona. Tak niski stopień oficera wojskowego wywiadu mógł sugerować, że Amerykanie nie przywiązywali zbyt dużej wagi do tej akurat sterty dokumentów. Ślad prowadził za ocean i to była pewna trudność. Niemniej istniała jakaś szansa, że można będzie tam coś znaleźć. Trzeba tylko znaleźć sposób. Jeżeli do tej pory było cicho w tej sprawie, to istniała duża szansa, że leży to gdzieś tam w archiwum i nikt do tej pory tego nie przeczytał.

W sprawie Hansa Jurgena było lepiej niż dobrze. Przebieg służby feldwebela zgadzał się z tym, co można było wyczytać z jego wspomnień. SS-Standartenführer Franz Bredow też był osobą z krwi i kości. W niemieckiej ewidencji figurował jako zaginiony w akcji w styczniu 1945 roku. I to też potwierdzało się z tym, co mieli na papierze. Ostatni jego przydział służbowy to oficer do zadań specjalnych podlegający bezpośrednio Heinrichowi Himmlerowi. Sprawa mogła być więc nad wyraz ciekawa i była w zasięgu ręki.

*

Miejsce, które opisał w swoich wspomnieniach Hans Jurgen, leżało na terenie przygranicznej gminy Kopacz sąsiadującej z Czechami. Do granicy niemieckiej też nie było daleko. Do 1989 roku bogata gmina. Istniejące tu Zakłady Przemysłu Lniarskiego „Diana” należały do największych w kraju. Zatrudniały prawie 1000 osób. Produkcja w całości szła na eksport do Europy Zachodniej i Japonii. Żłodzijska prywatyzacja lat 90. doprowadziła zakład do ruiny i obecnie pozostały tylko gołe mury. Zlikwidowanie PGR-u hodującego kilka tysięcy mlecznych krów ostatecznie pogrzyżyło gminę. Obecnie liczyła niewiele ponad cztery tysiące ludności. Roczny budżet gminy to 5,5 miliona złotych. Bezrobocie wynosi ponad 30%. Na wegetację, bo o normalnym życiu nie ma tam mowy, pozwalał przygraniczny przymyś z Czechami.

W odległości 5 kilometrów w linii prostej od miasta Kopacz znajduje się zamek Lutzow zbudowany przez rodzinę Thurn und Taxis. Budowę rozpoczęli w 1761 roku, a zakończenie budowy datowane jest na rok

1766. Mimo historycznych zawirowań przez cały czas był on w ich rękach. W grudniu 1941 roku książę Thurn und Taxis podpisał z Himmlerem umowę o wynajem zamku na potrzeby SS. Roczna opłata za wynajem wynosiła 1 markę (sic!).

Po przejściu zamku cały teren objęto specjalnym nadzorem. Wysiedlono wszystkie osoby nie będące Niemcami. Teren był nadzorowany i patrolowany przez jednostki SS. W zamku wielokrotnie bywał sam Himmler. W październiku 1944 roku w zamku zakwaterowano oddział saperów z dywizji Waffen SS „Leibstandarte Adolf Hitler”. Prawdopodobnie to saperzy z tej jednostki wykonywali jakieś prace dla SS-Standartenführera Franza Bredowa. Zapewne przygotowali maskowanie i minowanie schowka, do którego trafiły skrzynie. SS-mani opuścili zamek 20 stycznia 1945 roku. W dniu wyjazdu wysadzili w powietrze północne skrzydło zamku, a pozostałą część podpalili. Po wojnie wysiedlono wszystkich Niemców, a na te tereny sprowadzono osadników ze Wschodu.

To były na razie wszystkie informacje i wraz z kopią mapki Hansa Jurgena mogły stanowić punkt wyjścia do dokonania wizji w terenie. Rzadko w ręce poszukiwacza trafia tak dokładna i wiarygodna informacja. Zapowiadało się więc całkiem ciekawie, ale jak to zwykle bywa w takich przypadkach, złośliwy los też miał coś do powiedzenia. Tym bardziej, że nikt z przyszłych poszukiwaczy nie miał zielonego pojęcia, że teren przyszłych poszukiwań jest też obiektem zainteresowania kogoś z Ameryki Południowej.

*

Marek zadzwonił do zaprzyjaźnionego biura podróży i poprosił o zrobienie rezerwacji dla dwóch osób w pensjonacie w samym Kopaczu lub najbliższej okolicy. Już po dwóch dniach miał potwierdzenie rezerwacji. Pensjonat Malwa w samym centrum i 10% rabatu w opłacie wynegocjowane przez biuro dla swojego stałego klienta. Termin ten był kompromisem między zobowiązaniami czasowymi Marka i Wieska i pozwalał im wtopić się w tłum wczasowiczów odpoczywających w górach. Nie chcieli, aby na samym początku ktoś zwrócił uwagę, że czegoś szukają. Oprócz ubioru niezbędnego do pieszych wędrówek w górach zabierali z sobą kamerę i aparat fotograficzny jako typowe wyposażenie turysty. Akurat w tym przypadku miało to posłużyć nie tylko

do zwyczajowego utrwalania ich podobizn na wczasach.

Zgodnie z planem, pod koniec sierpnia wsiedli do srebrnej Skody Marka i o godzinie 10. rano wyruszyli w drogę. Na miejsce dotarli w porze obiadowej. Pensjonat zrobił na nich przyjemne wrażenie. Budynek zbudowany jeszcze przed wojną z typową niemiecką starannością. Piętrowy, z dużą ilością elementów drewnianych. Pokój dostali na piętrze w końcu korytarza. Miało to dobrą stronę, bo nikt nie będzie się szwendał po nocy przed ich drzwiami. Wygodny pokój i czysta łazienka mogła zadowolić każdego. Szwedzki stół na śniadanie i obiado-kolacja wieczorem też im odpowiadała. Rozpakowali się i postanowili oddzielnie ruszyć w miasto, aby poczuć ducha miejscowości i zobaczyć, co im wpadnie w oko. W recepcji wzięli po folderze reklamującym tejsze okolice i ruszyli w teren.

*

W folderze Marek znalazł informację, że w budynku po zlikwidowanej szkole podstawowej znajduje się regionalne muzeum i tam skierował swoje kroki. Miał szczęście, bo akurat jakaś grupa wycieczkowa z przewodnikiem wchodziła do muzeum i zabrał się z nimi. Młoda przewodniczka mimo dobrych chęci opowiadała historię miejscowości tak, jakby wykladała lekcję. Już zaczynał żałować, że tutaj wszedł, gdy w następnym pomieszczeniu zobaczył na ścianie w gablotach wyeksponowane stare plany miejscowości i przyległych terenów. Po drugiej stronie widniał opis budowy zamku i jego dzieje do drugiej wojny. To zaczynało być interesujące. Wyglądało na to, że ocalała część archiwów i ktoś wyciągnął te plany i mapy na potrzeby muzeum. Począł, aż wycieczka skończy zwiedzanie i zagadnął dziewczynę pełniącą honory kustosa o historię powstania muzeum.

W ten sposób dowiedział się, że jest to zasługa pana Tomasza Zborowskiego i jego syna. Pan Tomasz był jednym z pierwszych osadników na tych terenach. Organizował tutaj szkolnictwo i jego pasją była historia tych okolic. Zebrał wiele dokumentów na ten temat, ale nie doczekał powstania muzeum, bo do jego otwarcia doprowadził dopiero jego syn, który jest obecnie dyrektorem liceum ogólnokształcącego. Marek uprzejmie podziękował i już wiedział, że na pewno musi porozmawiać z dyrektorem. To mogła być kopalnia informacji.

Wieczorem przy kolacji okazało się, że była to ich jedyna zdobycz

tego dnia.

*

Następnego dnia ruszyli odnaleźć miejsce opisane przez Hansa Jurgena. Z mapy wynikało, że w okolicy są tylko dwa takie miejsca, które mogą odpowiadać opisowi, którym dysponowali. Część drogi pokonali samochodem, potem droga skończyła się i ruszyli dalej na piechotę. Szli czymś, co przypominało drogę, ale obecnie nią na pewno nie było. Na części trasy spotkali oznaczenia starego znaku turystycznego i już zaczęli powątpiewać, czy wybrali dobry wariant, gdy doszli do kolejnego zakrętu. Za zakrętem po jakichś 100 metrach był następny. Ten następny zakręcał o 90 stopni. To pomału zaczynało pasować do tego, co wiedzieli ze wspomnień Hansa Jurgena i jego załączonego szkicu.

Stanęli twarzą w kierunku, skąd przyszli. Przed sobą mieli zakręt zakręcający o 90 stopni, po lewej stronie wznosiło się zbocze, a po prawej mieli w miarę stromy stok. Nie mieli wątpliwości. Stali w miejscu idealnie nadającym się na zasadzkę. Wspomnienia były prawdziwe. Uważnie obejrzeliby cały odcinek, ale zrobili to raczej dla spokoju sumienia niż z przekonania, że coś zauważą. Po ponad 50. latach przyroda musiała zatrzeć wszystkie dostrzegalne ślady. Teraz już pewniej ruszyli naprzód, ale nadal szli powoli i uważnie się rozglądali. Po półtorej godzinie doszli do końca. Stali na niewielkiej platformie wykutej w skale. Przed sobą mieli piękną panoramę górskiego krajobrazu, a z tyłu skalne zbocze.

Czyżby druga część wspomnień była fikcją? Raczej nie. Nikt nie wykuwa drogi w skale prowadzącej do nikąd. Teraz Marek przypomniał sobie informację z muzeum. W XVIII wieku, jak chwaliła się młoda pani kustosz, wydobywano tutaj złoto i srebro. To by tłumaczyło, skąd się wzięła droga prowadząca do nikąd. Zbocza mogły skrywać chodniki prowadzące do prymitywnych sztolni. Urobek musiał być transportowany na dół do dalszego przerobu. Niemcy pewnie poszerzyli tylko starą drogę, a na schowek wykorzystali jeden z tuneli starej kopalni. Był jeszcze jeden problem. Droga obecnie miała szerokość 2-3 metry i nawet przyjmując, że w okresie wojny miała większą szerokość, to jakim cudem mogły tu wjechać ciężarówki i zawrócić, aby zjechać na dół. Coś tu nie grało albo oni patrzyli i czegoś nie widzieli. W drodze powrotnej dokładnie sfilmowali i sfotografowali cały odcinek aż do miejsca zasadzki.

W pensjonacie na spokojnie obejrzeni na monitorze telewizora to, co nakręcili w drodze powrotnej, ale nic szczególnego nie zauważyli. Zapis cyfrowy to jednak bardzo wygodna rzecz. Kiedyś trzeba było oddać film do wywołania, zrobić odbitki i dopiero można było oglądać to, co się sfotografowało. „Signum temporis” – jak mawiał Andrzej Dytrzak.

*

Na drugi dzień pojechali sprawdzić drugie wytypowane miejsce. Nie odpowiadało ono tym informacjom, które posiadali. Wieczorem jeszcze raz przejrzeni nakręcony film i zrobione zdjęcia. Totalna kłapa. Zaćmienie umysłowe. Nic nie zwróciło ich uwagi. Podsumowali swoją wiedzę. Miejsce zasadzki uznali za zlokalizowane i przyjęli, że pomnik mówi prawdę. Skoro tak, to jak wyjaśnić wjeżdżanie i późniejszy zjazd ciężarówek na drodze, gdzie nawet samochód osobowy nie był w stanie tego dokonać. Znaleźli stare oznakowanie szlaku turystycznego. Skąd i dokąd prowadził? Narysowali swój plan drogi, którą odbyli. Analizę zaczęli od końca drogi. Kończyła się ona tarasem widokowym. Tak nazwali to miejsce po swojej pierwszej wizycie. Później był odcinek około 400 metrów przechodzący w łagodny skręt w prawo i dalej kolejny długi odcinek prawie prostej drogi na przestrzeni prawie ponad 1000 metrów. Jeżeli przyjąć, że sierżant pisał prawdę, to posterunki przez niego wystawione w ilości 10, co 80 metrów od tego łuku drogi, zgadzały się z miejscem, które sami oglądali na własne oczy. Czyli właśnie ten 1000 metrowy odcinek musi być kluczem do rozwiązania sprawy wjeżdżających i zawracających ciężarówek. Skoro tam stał i obserwował, co się dzieje, to wykonanie tego manewru mogło być dla niego tak oczywiste, że nie uważał tego za szczegół godny opisanie. Ponadto zwrócili uwagę, że w swoich wspomnieniach użył sformułowania „potem zaczęły nadjeżdżać ciężarówki”. Oni przyjęli, że była to kolumna samochodów i teraz dochodzili do wniosku, że było to błędne założenie. Jeżeli ciężarówki nadjeżdżały pojedynczo, to wyjaśniało się wiele rzeczy. Dla jednej ciężarówki mogło tu być wtedy tyle miejsca, że mogła ona po wyładunku zawrócić i zjechać na dół, robiąc miejsce następnej. Jasne też stawało się dlaczego tyłu więźniów było do tego potrzebnych. Jeżeli musieli rozładować skrzynie w tym miejscu to mieli do pokonania z ciężarem w rękach ponad kilometr drogi. Doliczając czas na złożenie ładunku w skrytce i powrót z powrotem po na-

stępny ładunek, to czas zaczynał się zgadzać z tym, który był opisany we wspomnieniach sierżanta Hansa Jurgena. Pozostało jeszcze raz odwiedzić to miejsce i znaleźć to, na co patrzyli, a nie potrafili zobaczyć. Marka ponadto męczyła jakaś niesprecyzowana myśl, że w muzeum widział, czy też usłyszał coś, co miało ścisły związek z tym nad czym się zastanawiali. Podzielił się tym z Wieskiem i decyzja była jedna. Zaczynamy jutrzejszy dzień od muzeum. Przeczuc nie należy lekceważyć.

*

Muzeum było czynne w godzinach od 10. do 16. jak o tym informowała tabliczka informacyjna umieszczona na ścianie obok drzwi wejściowych. Po godzinie 10. weszli do środka, gdzie powitał ich starszy pan pełniący dzisiaj społecznie obowiązki oprowadzającego, co wyczytali z plakietki informacyjnej zawieszanej na klapie jego marynarki. Dowiedzieli się, że pierwsze zwiedzanie jest przewidziane na godzinę 12. i jeżeli chcą, to mogą sami obejrzeć ekspozycję lub poczekać na zapowiedzianą grupę i zwiedzać razem z nią. Będzie ją oprowadzał i opowie historię miasta i okolic. Wstęp do muzeum był bezpłatny i trudno wymagać, aby dla dwóch osób ktoś udzielający się społecznie zdzierał sobie gardło. Marek powiedział, że chętnie sami obejrzą ekspozycję, ale poczekają też na grupę, bo chcieliby usłyszeć relację z ust kompetentnej osoby. Starszy pan przyjął komplement i widać było, że sprawiło mu to przyjemność.

Będąc tu poprzednim razem Marek zauważył przy wejściu do pierwszej sali gustowną drewnianą skrzynkę z wywieszką informującą, że tu można składać datki na rzecz muzeum. Marek wyjął portfel i wrzucił banknot 50. złotowy do środka. Spojrzał na Wieska, a ten w chwilę potem uczynił to samo. Starszy pan był tego świadkiem. Weszli do pierwszej sali. Wiesiek podniósł rękę z zegarkiem i pokazał zacisniętą pięść. Marek pokręcił głową i pokazał pięć palców. Zakład został zawarty. Dobrze przewidzieli. Starszy pan nie wytrzymał i w siódmej minucie dołączył do nich. Zakład był remisowy.

Po paru minutach luźnej rozmowy i kilku pytaniach z ich strony, starszy pan wsiadł na swojego konika i zaczął opowiadać im całą tutejszą historię. Przyjemnie było słuchać. Opowiadał ze swadą i widać było, że temat zna doskonale. Tym bardziej, że traktował ich prawie jak zna-

jomych, a nie jak turystów, którzy przyszli zaliczyć kolejny obiekt od zwiedzania. Procentowało ich poprzednie zachowanie. Opowiadanie przeplatane anegdotami i opisami przypadków, które pewnie nie zawsze miały odzwierciedlenie w oficjalnych publikacjach tak ich wciągnęło, że prawie nie zauważyli upływu czasu. Dopiero hałas przy drzwiach wejściowych uświadomił im, że to już godzina dwunasta. Serdecznie podziękowali za tak mile spędzony czas i wiedzę, którą zyskali. Ich interlokutor też wyglądał na zadowolonego.

*

Wyszli z muzeum i poszukali wolnej ławki w pobliskim parku. Siedząc w cieniu pod drzewem zaczęli wymieniać swoje spostrzeżenia. Pierwszy zaczął Wiesiek. Zauważył, że na niektórych planach i rysunkach widniał stempel i numer wraz z datą wpisu do ewidencji archiwum. Tego Marek poprzednio nie zauważył, ale to tylko potwierdzało jego poprzednie przypuszczenie, że część archiwum się zachowała i rozmowa z dyrektorem liceum jest niezbędna. On też był teraz mądrzejszy i mógł się pokusić o wyjaśnienie paru rzeczy. Wiedzieli teraz, że do czasów wojny była to modna miejscowość turystyczna, gdzie na wypoczynek przyjeżdżali nawet goście z Berlina i Pragi.

Główną atrakcją była odrestaurowana i udostępniona do zwiedzania XVIII wieczna kopalnia złota i srebra. Dodatkowym hitem była restauracja czynna po sąsiedzku z kopalnią, też urządzona w starym wyrobisku kopalnianym. I to wszystko znajdowało się na terenie, który był przedmiotem ich zainteresowania. A plac kończący drogę i nazwany przez nich tarasem widokowym też przedtem pełnił taką rolę tyle, że był nazywany platformą widokową. Nieliczne znaki szlaku turystycznego, które tam przypadkowo znaleźli, wyznaczały właśnie trasę do kopalni i restauracji, a ich ewidentny brak na całym szlaku świadczył o celowym usunięciu. Sprawa drogi też była już jasna. Przedtem potrzebna była górnikom, a później turystom. Po wojnie wszystko to poszło w zapomnienie. Niemców wysiedlono, a nowi osadnicy nie interesowali się turystyką. Postawienie na uprzemysłowienie regionu ostatecznie zatarło wspomnienia o dawnej turystycznej świetności tego miejsca i jego atrakcjach. Mieli wątpliwą satysfakcję. Uzyskali pewność, że pewne zdarzenia miały faktycznie miejsce. Określili rejon, gdzie się to wydarzyło. Na to, aby wskazać konkretny punkt, w którym należy

szukać nie mieli danych. Należało szukać dalej albo zrezygnować. Nie chcieli się poddać.

*

Następnego dnia ponownie znaleźli się na 1000-metrowym odcinku drogi który oglądali już teraz innym okiem. Zasady chowania i maskowania w górach są w zasadzie znane od wieków i nic tu nowego nikt do tej pory nie wymyślił. Najlepiej znaleźć jakąś grootę czy jaskinię lub ewentualnie stary chodnik kopalniany, złożyć tam to, co chcemy schować i wysadzić wejście w powietrze. Wybuch zawali wejście i równocześnie zamaskuje nowo powstałym rumowiskiem fakt, że coś tu się zdarzyło. Po paru latach przyroda sama zatrze wszystkie ślady i nikt już nie będzie w stanie zwrócić na to miejsce uwagi, jeżeli nie wie, czego i gdzie ma szukać.

Marek z uwagą przypatrywał się rosnącym drzewom pamiętając cały czas, że interesują go okazy w wieku około 50. lat. Szukał obcych drzew na tym terenie. Niemcy bardzo często korzystali z tego sposobu oznaczania kryjówek w terenie. Po zamaskowaniu schowka sadzili w pobliżu lub na nim parę drzew z tego samego rodzaju, który występował na danym terenie, ale innego gatunku, który tu normalnie nie występuje. I tak jak ktoś spotkał świerk syberyjski w lesie sosnowym, to nie zwrócił na to uwagi. Fachowiec widząc taką sytuację przypuszczał, że nasiona przywlekły ptaki i przestawał się tym interesować.

Wiesiek z kolei uważnie oglądał kawałki odłamków skalnych zalegających na zboczu drogi. Niektóre nawet łupał na kawałki młotkiem, który dzisiaj miał przy sobie. Gdzieś w połowie drogi, po obejrzeniu kolejnego odłamka, zatrzymał się i zaczął uważnie szperać na poboczu. Odłożył na bok parę kawałków i stwierdził, że musi coś sprawdzić i zaczął się wdrapywać na górę zbocza. Nie było go prawie pół godziny. Wrócił z triumfalną miną. Przyniósł z sobą cztery kawałki skały. Położył je obok tych, które przedtem odłożył i zapytał, czy Marek widzi różnicę. Marek mimo najszczerszych chęci nie widział żadnej różnicy.

Wiesiek zaczął wyjaśniać. Terminy takie jak erozja, różnica temperatur, wietrzenie, woda, wiatr i inne były mu znane, ale spora część brzmiała obco. Ważny był fakt, że parę tych odłamków zostało odłupanych przez detonację materiałów wybuchowych. Kamieniołomu tu nie było i wyjaśnienie nasuwało się samo. Mało tego. Wiesiek był pewien,

że miały tu miejsce dwie detonacje. Jedna na wysokości poziomu drogi, a druga w połowie zbocza góry. Według niego, pierwsza zamknęła wejście będące na poziomie drogi, a druga ścięła część zbocza zrzucając odłamki skalne na miejsce poprzedniego wybuchu, wyrównując równocześnie linię drogi.

Marek spojrzał do góry. Faktycznie. Widział teraz jakby lekkie wkleśnięcie na tym kawałku zbocza, a ponadto drzewa tam rosnące były znacznie młodsze od tych po obu stronach i na wierzchołku. To mogło oznaczać, że poprzednio istniała tu wolna przestrzeń sięgająca w głąb zbocza. Jeżeli tak było, to w tym miejscu ciężarówka mogła bez specjalnego trudu wykonać manewr zawracania. Pamiętając o tym, co usłyszeli w muzeum, doszli do wniosku, że stoją przed zasypnym wejściem do podziemnej restauracji.

Ruszyli do zakrętu drogi nie zwracając już baczniejszej uwagi na mijany odcinek. Jeżeli mieli coś jeszcze znaleźć, to tylko za zakrętem drogi. Po jego minięciu zatrzymali się i uważnie zlustrowali pozostałe 400 metrów. Pierwsze 100 parę metrów nie mogło ich interesować, bo zbocze stanowiła lita skała. Dalej zaczynał się odcinek pokryty mniejszymi i większymi odłami kami skalnymi. Wiesiek przystąpił do wykonywania swoich czarów. Już po paru minutach stwierdził, że odłamki zostały tu przemieszczone na skutek wybuchu. Posuwali się pomału do przodu i im było dalej, tym bardziej mina Wieska stanowiła mieszaninę zdziwienia i zaskoczenia. Doszli do końca tego odcinka pokrytego odłami kami skalnymi.

Cały ten odcinek został odstrzelony materiałem wybuchowym – zrezygnowanym głosem oświadczył Wiesiek. Marek odwrócił się i ruszył z powrotem licząc głośno swoje kroki. Wrócił za chwilę i powiedział.

– Słuchaj, tego jest prawie 200 metrów. Jeżeli się nie mylisz, to mamy „szczęśliwy” koniec. Możemy zrobić sobie tylko pamiątkowe zdjęcie i iść na wódkę.

– Jeżeli to wymyślił ten Standartenführer, to było to genialne pociągnięcie – głos Wieska brzmiał podziwem. – Bez jego informacji nikt tu nic nie odzyska.

Marek na spokojnie rozważał sytuację. Faktycznie, bez konkretnej wskazówki w tej sytuacji żadne poszukiwania nie miały sensu. Odłam-

ki skalne to nie kupka piachu, którą można bez specjalnych problemów przesypywać z miejsca na miejsce. Warunki terenowe ograniczały możliwość zastosowania ciężkiego sprzętu do poszukiwań. Prace prowadzonych w tych warunkach też nie da się ukryć. Ponadto nie wiedzieli nawet, co mogło być przedmiotem ukrycia. To, co kiedyś mogło mieć wartość materialną czy inną, obecnie mogło być bez żadnej wartości. Wniosek z tego był taki, że jeśli chce się ciągnąć to dalej, to należy ustalić, co mogło być chowane i określić lokalizację schowka dosłownie z dokładnością do metra. Wiesiek przyjął do wiadomości te rozważania, ale widać było, że nie tego się spodziewał. Wrócili do pensjonatu w milczeniu. Do kolacji po raz pierwszy od swojego przyjazdu zamówili butelkę wódki.

*

Nowy dzień powitali prawie bezboleśnie. Objawów kaca nie było, ale trochę zaspali i mało co, a nie zdążyliby na śniadanie. Dla Wieska była to pierwsza wyprawa tego typu i zapewne spodziewał się znacznie większych emocji niż te, które były jego udziałem do tej pory. Istniała jeszcze jedna szansa na zdobycie informacji, które były im potrzebne. Był nią dyrektor liceum i dokumenty zgromadzone przez jego ojca. Problemem było to, że nie mieli żadnego sensownego pomysłu na uwiarygodnienie swojego zainteresowania tą sprawą i to jeszcze w taki sposób, żeby nie wzbudzić niezdrowej sensacji. Wreszcie Marek wpadł na pomysł, aby poprosić Andrzeja o przyjazd do nich i wysłać go do dyrektora. W końcu Andrzej to autentyczny historyk, napisał już kiedyś monografię dla jednej z gmin i kiedyś na początku swojej kariery wykładał historię w jednym z renomowanych liceów. Powinni znaleźć wspólny język.

Marek zadzwonił do Andrzeja i zapytał go, czy mógłby przyjechać do nich na parę dni, aby pomóc w wyjaśnianiu sprawy, do której tłumaczył materiały. Mieli podwójne szczęście. Andrzej mógł przyjechać nazajutrz, a w pensjonacie zwalniał się właśnie pokój jednoosobowy i zaraz go zarezerwowali dla niego.

*

Andrzej przyjechał tak, jak uzgodnili. Marek pełniąc honory gospodarza przedstawił ich sobie nawzajem, gdyż do tej pory znali się jedynie z jego opowiadań. Już przy kolacji wiedział, że obydwoj przypadli SD – Sicherheitsdienst – służba bezpieczeństwa stworzona przez Reinharda Heydricha

sobie do gustu i wybranie ich do skromnej ekipy poszukiwaczy było dobrym posunięciem. Wy tłumaczyli Andrzejowi, czego dowiedzieli się do tej pory i co chcieliby uzyskać z jego pomocą. Andrzej skorzystał z ich sugestii i następnego dnia zaczął od zwiedzenia muzeum. Później udał się do budynku liceum. Dyrektor był oczywiście na miejscu, bo niedługo zaczynał się już rok szkolny, ale znalazł chwilę czasu dla Andrzeja. Szybko się okazało, że mają wspólnych znajomych i został zaproszony na wieczór do domu dyrektora na skromną kolację, aby spokojnie porozmawiać.

Okazało się, że jego ojciec był faktycznie jednym z pierwszych osadników na tym terenie. Był nauczycielem z zawodu, toteż zajął się tutaj organizowaniem szkolnictwa. Uczył historii i matematyki. Z zawodowego nawyku zainteresował się historią swojego nowego miejsca zamieszkania i w krótkim czasie zgromadził pokaźne archiwum na ten temat. W 1956 roku udało mu się ocalić część archiwum, które jako ponemieckie śmieci miały iść na przemiał do papierni, bo w ratuszu potrzebne było miejsce dla nowych urzędników. Przez cały czas zbierał wszystkie materiały i dokumenty, które mu wpadły w ręce na ten temat. Będąc na emeryturze zaczął przygotowywać materiały do monografii o tych terenach i chciał to wydać drukiem. Był też gorącym orędownikiem powstania muzeum regionalnego i przygotował dla niego wiele cennych eksponatów. Niestety, los chciał inaczej. Zanim udało mu się to urzeczywistnić, sędziwy wiek zrobił swoje i zmarł. Pochowany był na miejscowym cmentarzu w kwaterze, którą zarezerwował i opłacił już w 1950 roku.

W 1988 roku udało się w końcu doprowadzić do powstania muzeum i umieszczenia jego działalności w budżecie gminy, ale zmiany w kraju po 1990 roku zmieniły to radykalnie. Nie było żadnej szansy na finansowanie tej działalności i chociaż niektórzy radni uznawali za celowe popieranie tej działalności, to nie szły za tym żadne środki finansowe. O wydaniu monografii też mówiono pozytywnie, ale gdy była mowa o pieniądzach na ten cel, to zapadała cisza. Praktycznie muzeum istniało i funkcjonowało dzięki niewielkim wsparciu finansowym miejscowych firm prywatnych i pracy społecznej paru ludzi, którym to leżało na sercu. Dyrektor nie miał czasu na dokończenie opracowania monografii ani dość własnych pieniędzy, aby sfinalizować jej wydanie. Obecnie cały jego czas to była nieustanna walka o pieniądze dla liceum, aby za-

pewnić przyzwoity poziom nauczania i żeby mogło ono w ogóle istnieć dalej. Toteż zainteresowanie Andrzeja tym tematem przyjął może nie z entuzjazmem, ale z pewną nadzieją, że może to przybliżyć realizację dzieła jego ojca. Andrzej otrzymał maszynopis tego, co do tej pory zostało opracowane i obiecał dyrektorowi, że przed swoim wyjazdem zadeklaruje się, czy może pomóc i w jakiej formie.

Andrzej po przeczytaniu maszynopisu był zdania, że mając dostęp do dokumentacji mógłby w wolnych chwilach dokończyć to opracowanie w ciągu pół roku. Po wysłuchaniu tego wszystkiego Marek zaproponował następujące rozwiązanie. Sfinansuje wydanie tej monografii i przekaże na to środki dla uniwersytetu tak, jak to zrobił poprzednio. Wydawnictwo uczelniane zapisze to sobie jako pozycję wydaną własnym sumptem i wszyscy powinni być zadowoleni. Dyrektor otrzyma wydrukowaną monografię, wydawnictwo uczelniane dopisze kolejną pozycję do swoich publikacji, Andrzej zarobi kolejny plus u profesora, a oni uzyskają dostęp do dokumentacji bez wzbudzenia sensacji. Marek uważał, że wydanie kilku tysięcy złotych w ten sposób i tak jest oszczędnością w stosunku do kosztów, jakie trzeba by ponieść nawet na początkowym etapie szukania w ciemno. A nawet, gdyby nic z tego nie wynikło to i tak zostanie satysfakcją, że zrobili coś pożytecznego.

Z taką też propozycją Andrzej udał się do dyrektora. Została ona przyjęta z wyraźnym zadowoleniem. Uzgodnił z nim, że zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego dyrektor spakuje to, co się zmieści do jego samochodu osobowego i przywiezie do Andrzeja na uczelnię, a po resztę dokumentów Andrzej postara się wysłać samochód z wydawnictwa uczelnianego. „I słowo stało się ciałem” – tak Andrzej podsumował swoje działanie.

*

W sumie wrócili zadowoleni z tych paru dni spędzonych w górach. Pozostało teraz czekać.

Marek wyjechał w połowie września w sprawach służbowych swojej firmy na dwa tygodnie za granicę. Po powrocie do domu z zaskoczeniem zobaczył w swoim pokoju stos kartonowych pudeł. Okazało się, że przekazanie materiałów nastąpiło szybciej i sprawniej niż wszyscy przypuszczali. Andrzej nie mając u siebie jeszcze przygotowanego miejsca, żeby to złożyć, przywiózł wszystko do jego domu. Powołał się przed jego

zoną na wspólne między nimi ustalenia. Małżonka Marka nie oponowała, bo to przecież jego pokój miał być zagracony, a przez tych ponad 20 lat małżeństwa zdążyła się już przyzwyczaić do niektórych dziwnych i niekonwencjonalnych pomysłów swojego męża. Łącznie ze stałym utrzymywaniem „uporządkowanego” bałaganu w pokoju. Sam tam sprzątał, oczywiście tylko w wolnych chwilach, ale nikt nie miał prawa niczego tam przestawiać. Już dawno wybaczyła mu to odstępstwo, które klóciło się z jej zamiłowaniem do porządku. W końcu ten „uporządkowany bałagan” miał prawo istnieć tylko do progu jego pokoju. Dalej obowiązywały jej reguły i dlatego Andrzej nie miał specjalnych problemów ze złożeniem przywiezionej sterty pudeł. Marek w pierwszym odruchu chciał się zaraz wziąć do przeglądania nieoczekiwanego prezentu, ale się opanował. Co nagle to po diable – pomyślał i zaczął od zmiany swojego harmonogramu zajęć tak, aby jego hobby nie przeniosło uszczerbku w pracy firmie.

*

Pudeł było łącznie 23 sztuki. Na 19 z nich widniały cyfry od 1 do 19. Pozostałe cztery nie były oznakowane. Otworzył to z numerem 1. Na wewnętrznej stronie otwartego kartonu zobaczył przyklejony spis zawartości wykonany starannym i czytelnym pismem. Atrament w niektórych miejscach wyblakł, ale w sumie całość była dobrze czytelna. Zwartość stanowiły dokumenty dotyczące przebudowy i remontu zamku Lutzow w latach 1816 i 1910. Przeliczył szacunkowo objętość dokumentów na format A4. To były nie dziesiątki, a setki stron. Początkowo zamierzał całość skserować, ale teraz widział, że to rozwiązanie tylko przysporzy problemów. Trzeba było znaleźć inne wyjście, bo pozostałe pudła zawierały wcale nie mniejszą ilość dokumentów. Postanowił, że zeskanuje wszystkie dokumenty, a skopiuje tylko wszystkie plany i rysunki. Mając to w komputerze będzie mógł wyszukiwać informacje według zadanych haseł, a ponadto będzie miał całość dokumentacji do dyspozycji. Wydrukowanie interesującego dokumentu nie będzie wtedy żadnym problemem. Ponadto każdy dokument przejdzie przez jego ręce i już wtedy może zaznaczyć interesujące go fragmenty. Realizacja tego pomysłu zabrała mu ponad miesiąc czasu. Było to jednak dobre rozwiązanie. Połowę dokumentów mógł swobodnie wykluczyć jako nie mające nic wspólnego z tym, co go interesowało.

*

Pierwsze, co mu się rzuciło w oczy, to olbrzymia ilość materiałów dotycząca zamku. Praktycznie pierwsze sześć ponumerowanych kartonów zawierało dokumenty źródłowe z tym związane, ale i pozostałe były zawsze w jakiś sposób powiązane z nimi. Długo się zastanawiał po ich pierwszym pobieżnym przejrzaniu, czy był to przypadek, czy też osoba je kompletująca, kierowała się jakimś zamysłem. W trakcie drugiego czytania doszedł do wniosku, że jednak stary nauczyciel zrobił to z rozmysłem. Jego sposób robienia notatek i zaznaczania ważnych rzeczy przypominał mu to, co on sam stosował. Co prawda on to zastosował z czystego lenistwa i wygodnictwa, ale efekt był taki sam. Jego notatki i zapiski były kompletnie nieczytelne dla osoby postronnej i nie było żadnego klucza, który mógłby pozwolić na ich zrozumienie. Obydwaj stosowali zwroty i skróty literowe, które miały jednoznaczne znaczenie tylko dla tego, kto je napisał. Dla niego była to oszczędność czasu i mniej roboty w czasie notowania wykładu na studiach. Po prostu jedna litera zastępowała cały wyraz, a kilka w połączeniu ze stosowanymi skrótami mogło być równoważnikiem nawet dwóch i trzech zdań. Nauczyciel zapewne leniem nie był i musiała być inna przyczyna takiego robienia notatek. Czyżby w ten sposób chciał ukryć swoje spostrzeżenia przed niepowołanymi oczami?

Zupełnie możliwe. Z jakiegoś powodu nauczyciel zadał sobie trud przejrzania hitlerowskiej prasy z okresu 1941 roku do ostatnich egzemplarzy z 1945 roku. Zapewne w tym czasie i na tym terenie nie było to specjalnym problemem. Widać to było po załączonych wycinkach artykułów prasowych i fotografiach, które zostały wycięte i naklejone na biały niegdyś papier maszynowy. Wszystkie były opisane. Podany był tytuł gazety, pełna data i to było jednoznaczne. Pozostały opis zrobiony skrótami literowymi był niezrozumiały. Takie kartki podpisane były do niektórych dokumentów, ale na razie dla Marka nie miało to żadnego sensu i było bardzo prawdopodobne, że tak zostanie do końca. Podsumowanie wybranych informacji dotyczących zamku i spraw z nim związanych, które Marek uznał za ważne dla siebie było bardzo interesujące. Wyglądało na to, że krążą wokół dobrze zakamuflowanej tajemnicy.

*

Zamek zaczęła budować w 1761 roku rodzina Thurn und Taxis. Budowę zakończono w 1766 roku. Zamek miał zapewnić bezpieczeństwo handlu idącego z Czech w kierunku morza Bałtyckiego. W dokumentach była kopia planów zamku zrobiona w 1802 roku. W 1816 roku właściciele zamku dokonali gruntowej przebudowy. Dobudowano północne skrzydło, a także znacznie rozbudowano dotychczasowe podziemia i dodano do nich drugi poziom. Miały być one wykorzystywane przy produkcji wina. Dotychczasowa funkcja obronna straciła na znaczeniu, a ważniejsze stało się wykorzystanie gospodarcze i reprezentacyjne. Z oryginalnych planów przebudowy wynikało, że kubatura prac wykonanych pod ziemią przewyższała znacznie tą istniejącą na powierzchni. Do kolejnej znaczącej modernizacji i przebudowy doszło w 1910 roku. Dobudowano wtedy południowe skrzydło zamku i całkowicie zmodernizowano instalacje wewnętrzne. Zamek pełnił teraz funkcję reprezentacyjną i mieszkalną. Na szczegółowych planach zamku z roku 1910 nie było już zaznaczonych podziemi drugiego poziomu wykonanych w 1816 roku. W grudniu 1941 roku na podstawie umowy podpisanej przez księcia Thurn und Taxis z Himmlerem zamek przeszedł we władanie SS.

I tu zaczynały się dziać naprawdę dziwne rzeczy. Cały teren objęto specjalnym nadzorem. Wysiedlono wszystkich, którzy nie mogli się wykazać rdzennym niemieckim pochodzeniem. Weryfikacji dokonywało SD*. Ludność, która pozostała na miejscu, otrzymała zakaz przyjmowania jakichkolwiek odwiedzin, łącznie z najbliższymi krewnymi. Cała korespondencja podlegała ścisłej cenzurze. W promieniu dwóch kilometrów od zamku nie wolno było przebywać osobom cywilnym. Do takich osób „kręcących się” na tym terenie strzelano bez ostrzeżenia. Kolejna strefa ochronna sięgała do pięciu kilometrów od zamku. Gęsta sieć uzbrojonych punktów kontrolnych kontrolowała cały ruch lokalny. Z dokumentów wynikało, że terenu pilnowało ponad trzystu żołnierzy Waffen – SS i dwudziestu funkcjonariuszy SD. III wydział Abwehry, czyli lokalnej placówki kontrwywiadu wojskowego liczył 12 osoby, co też było swoistym ewenementem.

Od lutego 1942 roku do września tego roku pracowało tu tysiąc czterystu więźniów. Wszyscy byli wysoko kwalifikowanymi pracownikami technicznymi. W tym czasie zużyto tu tyle materiałów budowlanych, że jak Marek policzył, starczyłoby ich na parę wieżowców. Wszystko to zu-

żyto do prac wykonanych pod ziemią. Po wojnie nie ujawnił się żaden więzień który tu pracował i należy przyjąć, że po wykonaniu prac zostali oni wymordowani. W kwietniu 1943 roku rozebrano drogę prowadzącą do zamku od strony zachodniej. Przeprofilowano teren i skierowano tu bieg niewielkiego strumienia, przez co zamek stał się niedostępny z tej strony. Zostało tylko jedno wejście od strony północnej. Bardzo ciekawym dokumentem okazało się potwierdzenie przyjęcia transportu 27 skrzyń dostarczonych przez firmę „Knauer”. Potwierdzenie podpisał w dniu 23 sierpnia 1943 roku komendant ochrony zamku SS- Oberführer Karl Wolf. Nazwa firmy była znana Markowi i ściśle wiązała się z nazwiskiem Günthera Grundmanna.

*

Profesor Günther Grundmann urzędował we Wrocławiu i był konserwatorem zabytków Prowincji Dolnośląskiej. Historyk sztuki z zawodu, który w dodatku doskonale znał teren mu podlegający. Z uwagi na coraz cięższe naloty lotnicze na niemieckie miasta wykonywane przez lotnictwo brytyjskie a później amerykańskie, które zaczęły się w połowie 1942 roku, otrzymał on polecenie wyszukania miejsc nadających się na miejsce składowania dzieł sztuki, muzealiów i archiwów. Chciano je uchronić przed zniszczeniem. Obszar Dolnego Śląska uznawany był wtedy za teren bezpieczny. Zabrał się do tego z rozmachem i rzeczywiście wykonał gigantyczną pracę. Zorganizował ponad dwieście takich składnic. Większość z nich znajduje się na terenie Polski. Tylko przypadkowi możemy zawdzięczać, że we Wrocławiu znaleziono taki wykaz miejscowości liczący siedemdziesiąt parę pozycji. Dzięki temu odzyskano wiele zagrabionych dzieł sztuki i innych walorów. Wykaz ten jest datowany na dzień 21. czerwca 1944 roku, a Günther Grundmann prowadził swoją akcję aż do ostatnich dni wojny. Pełnego wykazu skrytek nigdy nie znaleziono, choć bez wątplenia musiał on prowadzić dość dokładną i szczegółową ewidencję. Uciekając ze Śląska w połowie lutego 1945 roku zapewne zabrał ze sobą całą dokumentację tej operacji. Jak było naprawdę? Tego nie wiemy. Do śmierci nie powiedział na ten temat ani słowa.

*

Taka zbieżność nie mogła być przypadkowa. Marek doliczył się 17 przypadków takich transportów. Ile było transportów o których nie było

żadnych dokumentów tego już nie mógł wiedzieć. W ośmiu przypadkach jako spedytor figurowała firma „Knauer”. Miał teraz 100 % pewności, że zamek był jedną ze składnic, a może nawet punktem, z którego rozwożono depozyty do poszczególnych skrytek. Wiedział doskonale, że wiele z takich skrytek mieściło się w obiektach całkowicie zniszczonych w czasie działań wojennych lub wysadzonych w powietrze przez Niemców przed wkroczeniem Rosjan. Obiektów zburzonych wcale nie penetrowano, a wiele piwnic zamków i pałaców nie odgruzowano do dzisiaj.

Miał tutaj do czynienia wręcz z modelowym przypadkiem tego typu. Północne skrzydło zamku wysadzono przed nadejściem wojsk rosyjskich, a pozostałą część skutecznie podpalono. Ruiną nikt się nie interesował. To, że była to całkowicie wypalona ruina, widział na własne oczy, bo oglądali to razem z Wieśkiem. Pamiętał jeszcze dzisiaj uwagę Wieśka – „Ale to dokładnie spalili”.

Właśnie ta uwaga pozwoliła mu połączyć jeden z dokumentów z pożarem zamku. Znalazł fakturę z berlińskiej firmy chemicznej za 430 kilogramów tlenku żelaza i 510 kilogramów sproszkowanego aluminium dostarczonego na zamek 23 listopada 1944 roku. Wtedy właśnie dotarło do niego, że po zmieszaniu tych składników i dodaniu jakiegoś lepiszcza można zrobić z tego gustowne ładunki zapalające z termitu. Powstała w ten sposób masa ma temperaturę spalania około 2500 stopni Celsjusza. Pożar był więc przygotowany wcześniej i to przez fachowców. Zamierzony efekt został osiągnięty. Nikogo spalone ruiny do tej pory nie zainteresowały. Jasne stawało się również, dlaczego w październiku 1944 roku pojawili się tam saperzy. Po prostu potrzebni byli na miejscu fachowcy od minowania, wysadzania i maskowania.

Duże zainteresowanie Marka wzbudził też potwierdzony dokumentami transport o wadze 12,5 tony liczący łącznie 430 skrzynek. Dotarł on na zamek 23. września 1944 roku. Przywiozło go 5 ciężarówek. Przyjechały one z Pragi. Zdziwienie budziła ochrona tego transportu. Z dokumentów wynikało, że konwojowali go żołnierze z 14. Dywizji Grenadierów SS „Galizien”. W skład wchodził batalion piechoty zmotoryzowanej i dodatkowo kompania czołgów w ilości 10 wozów bojowych i kompania rozpoznawcza składająca się z 10 pojazdów. Takie zgrupowanie może się nadawać do prowadzenia małej wojny, ale żeby chronić 5

samochodów ciężarowych to wyraźna przesada. Chyba że ładunek ciężarówek przedstawia tak olbrzymią wartość, że nawet na terenach, które są uważane za bezpieczne, wymaga takiej ochrony. Trzeba pamiętać, że 27. sierpnia wybuchło powstanie w Słowacji i we wrześniu walki trwały tam w najlepsze, a mimo to Niemcy zdjęli z linii frontu wcale nie tak małe siły i wysłali je Polski. Co prawda ochrona na następny dzień wyjechała z powrotem do jednostki macierzystej, ale fakt pozostawał faktem.

Pierwszą myślą Marka było to, że transport ten przywiózł 10 ton czeskiego złota. Faktycznie bowiem Niemcy zrabowali z Narodowego Banku w Pradze 10 ton złota i wysłali je do Polski. Po przekroczeniu polskiej granicy dosłownie zapadło się pod ziemię i do dzisiaj się nie odnalazło. Hipoteza jakich wiele.

*

Za szczególnie cenne znalezisko uważał Marek zawartość kartonu z numerem 19. Zawierało ono same mapy tych terenów i to z różnych okresów. Mając do dyspozycji tak bogaty zbiór dokonał ciekawego odkrycia. Próbując zlokalizować położenie odrestaurowanej kopalni złota i restauracji czynnej w chodniku kopalnianym porównał informacje na nich zapisane w porządku chronologicznym od najstarszych do najnowszych wydań. Znalazł mapy, na których zaznaczono zarówno restaurację jak i chodnik, w którym urządzono muzeum kopalniane. Na mapie turystycznej wydanej w 1932 roku zaznaczony był szlak do restauracji i muzeum w starym chodniku kopalnianym. Na mapie opracowanej przez Instytut Geografii i Kartografii Uniwersytetu Berlińskiego w 1935 roku też figurowały te obiekty i nie tylko te. Wojskowa sztabówka z 1938 roku była jeszcze bardziej szczegółowa i pokazywała wiele innych szczegółów nie zaznaczonych na mapach cywilnych. Właśnie porównanie wojskowej sztabówki z 1938 roku z drugą z 1943 roku zwróciło uwagę Marka na pewną prawidłowość.

Interesował go określony fragment terenu i konkretne miejsce i to właśnie pozwoliło mu dokonać interesującego spostrzeżenia. Obydwie mapy obejmowały ten sam wycinek terenu, ale na tej z 1943 roku nie było już zaznaczonej restauracji i muzeum w kopalni. Wojskowych kartografów raczej trudno posądzić o brak fachowości czy wręcz niestaranność w opracowaniu map. Brakowało też paru innych szczegó-

łów. Kierując się tym spostrzeżeniem przejrzał cywilne mapy i dostrzegł tą samą prawidłowość. Wszystkie wydania po 1939 roku były pozbawione pewnych szczegółów, które były uwidocznione w poprzednich wydaniach. Z jakichś powodów postanowiono wymazać pewne informacje i ta decyzja na pewno nie była podjęta na szczeblu lokalnym. Niemniej opierając się na tym co posiadał, Marek był w stanie wskazać z dokładnością wręcz do metra lokalizację muzeum i restauracji ukrytych w zboczu góry.

Nie znalazł żadnych informacji mówiących, że to właśnie z zamku wysłano transport do interesujących go miejsc. Znalazł za to potwierdzenie, że SS-Standartenführer Franz Bredow był obecny na zamku w interesującym go okresie. Komputer znalazł trzy dokumenty, na których figurowało jego nazwisko. Jeden dotyczył awansowania kaprała Kurta Steinbacha na sierżanta, a dwa pozostałe adresowane były do komendanta zamku i dotyczyły zapotrzebowania na środki transportowe w celu wykonania zadania specjalnego.

Można śmiało przyjąć, że Standartenführer Franz Bredow należał do grupy zaufanych i wtajemniczonych w operację ukrywania depozytów w terenie. To, że zginął po wykonaniu kolejnego zadania oznaczało, że nie mógł złożyć meldunku o jego wykonaniu. Śmierć pozostałych uczestników tej operacji oznaczała, że dla zleceniodawców los depozytu pozostawał nieznan. Była to sprzyjająca okoliczność, bo jedyny świadek tych wydarzeń przekazał swoją wiedzę o tym co się stało praktycznie bezpośrednio w ich ręce. Oznaczało to, że ewentualne poszukiwania tego depozytu nie zwrócą niczyjej uwagi. Pozostała jeszcze sprawa, jak to technicznie zrealizować, ale to Marek odłożył do konsultacji z Andrzejem i Wieśkiem. Jednego był pewien. Należy spróbować poszukiwań. Szanse były duże. Wiara to taka pożyteczna choroba. Jest nieraz zaraźliwa. Jakie będą tego efekty, miało się okazać w przyszłości.

*

Pozostawała jeszcze sprawa zamku. Z informacji, które teraz posiadał mógł wysnuć wniosek, że trafili na coś bardzo ważnego. Na bieżąco śledził wszystkie wydarzenia związane z oficjalnymi poszukiwaniami na terenie kraju i był na bieżąco z plotkami w tej materii. Nie lekceważył żadnego z tych źródeł informacji, bo już parokrotnie przekonał się, że

szeptana wiadomość zawierała nieraz więcej prawdy niż oficjalna. Do tej pory nigdzie nie zetknął się z żadną informacją dotyczącą Kopacza jako miejsca ewentualnych poszukiwań.

Wiadomości, które miał w ręku jednoznacznie wskazywały, że to, na co się natknęli, nie jest tuzinkowym obiektem. A to, że nikt do tej pory o tym nie słyszał, mogło tylko świadczyć o tym, że utajnienie informacji o tym miejscu było naprawdę dobre i skuteczne. Wiarygodność miejsca i zdarzeń z nim związanych nie podlegała żadnej dyskusji, bo potwierdzały to oryginalne dokumenty. Próba rozpoczęcia oficjalnych poszukiwań mogła spowodować zupełnie nieprzewidywalne reakcje i to niekoniecznie ze strony miejscowych władz. Doskonale wiedział, że takie praktyki miały już miejsce na terenie kraju. Z drugiej strony pierwszy raz miał w ręku tak kompletne i przekonujące informacje, że poszukiwania prowadzone na ich podstawie musiały się zakończyć sukcesem. Problem był poważny i wychodząc z założenia, że co dwie głowy to nie jedna, umówił się z Wieśkiem i Andrzejem na spotkanie w sobotni wieczór u siebie w domu.

*

Spotkanie zaczęli od dobrej herbaty, co Andrzej poczytał za swój sukces, bo może był to pierwszy krok na drodze do przekonaniu tych dwóch zagorzałych konsumentów kawy do zmiany ich preferencji w tej materii. Koniak nie był już tak doskonały jak poprzednim razem, ale też nadawał się do konsumpcji. Z żywym zainteresowaniem wysłuchali tego, co im opowiedział Marek. Wszystko zresztą podparte było wydrukowanymi z komputera kopiami dokumentów, które mieli w swoich rękach. Spoważnieli, gdy Marek ponowił swoje pytanie, czy w świetle obecnych faktów nadal podtrzymują swoje deklaracje współpracy. To musiało być jasne, bez żadnych niedomówień, zanim zaczęła dalszą rozmowę, gdyż jej efektem będzie podjęcie konkretnych działań i wtedy rozmowa o wycofaniu może być trudna. Zapewnił ich, że stała bolączka krajowych poszukiwaczy, jaką jest brak wystarczających funduszy na poszukiwania, ich nie dotyczy. Nie będzie więc sytuacji, że na początkowe badania są pieniądze, a na dokończenie i osiągnięcie sukcesu już nie starcza, co było częstą przypadłością polskich poszukiwaczy. Pieniądze na ten cel może już w tej chwili odłożyć na bok i nie będzie to z uszczerbkiem dla jego rodziny czy firmy.

Trzeba przyznać, że minęło parę dobrych chwil, gdy jedynym odgłosem dobiegającym z pokoju były utwory śpiewane przez Czesława Niemena. Takie zachowanie korzystnie świadczyło o inteligencji i odpowiedzialności zebranych tam osób. Obydwie odpowiedzi były twierdzące. Zaraz też zostali zmuszeni do ponownego intensywnego myślenia.

– Znaleźliśmy tonę złota w sztabkach i co dalej? – poważna mina Marka świadczyła, że odpowiedź na to stwierdzenie faktu i pytanie zawarte w tym jednym zdaniu ma też być takie.

Spojrzeni jednocześnie na Marka i zobaczyli, że się uśmiecha. Popatrzyli na siebie i już wiedzieli, o co chodzi. Miny goszczące na ich twarzach nie świadczyły o zbytnej inteligencji. Uśmiechnęli się także i pierwszy zaczął Andrzej.

– Jeszcze nie zaczęliśmy szukać, a już znaleźliśmy?

– Lepiej z mądrym zgubić niż z głupim znaleźć – zacytował przysłowie Marek.

– Chyba sobie robisz jaja - Andrzej był wyraźnie zdegustowany.

– Ile wykazujesz w rocznym zeznaniu podatkowym?

– Cholera, nie wiem, ale jakieś trzydzieści parę tysięcy – Andrzej był wyraźnie zdezorientowany. - Zawsze to robi żona i nie wiem dokładnie. Ja to tylko podpisuję.

Wiesiek już wiedział, jakimi torami biegną myśli Marka i odezwał się.

– Wiesz co Andrzej, on wcale głupio nie pyta. To może być cholernie ważne w przyszłości i to nie tylko w stosunku do fiskusa, ale także dla naszych stosunków w przyszłości. Jak już coś wymyśliłeś, to powiedz. Po co mamy wyważać otwarte drzwi – to już było skierowane do Marka. – Przecież na ten temat wiesz więcej niż my obaj razem.

– Dobrze! – zgodził się Marek. – Powiem jak to wygląda z mojego punktu widzenia, a później to skorygujemy. Doskonale wiecie, że brałem już udział w paru takich przedsięwzięciach. Sam widziałem, że w niektórych wypadkach, gdzie były naprawdę obiecujące wyniki, ten właśnie element zadecydował o fiasku i zrodził wiele nieporozumień. Nie chcę, aby takie gówniane nieporozumienie pozbawiło mnie przyjaciół. Wychodzę z założenia, że coś znajdziemy. W przypadku, gdy będzie to dokumentacja techniczna lub zdobycz typu militarnego, nie

widzę specjalnego zagrożenia. Mimo nieuniknionych tarć jakie tu by wystąpiły, uważam, że prędzej czy później znajdziemy kompromisowe rozwiązanie i nasze stosunki na tym nie ucierpią. Inaczej wygląda sprawa, gdy trafmy na dobra materialne o znacznej wartości, a tego przecież nie można wykluczyć. Zostańmy przy tym hipotetycznym przykładzie tony złota, co tak obruszyło Andrzeja. Wartość takiego znaleziska to około 10 milionów dolarów w żywej gotówce. Znając realia panujące w tej dziedzinie w naszym kraju nie ma mowy, abyśmy to mogli zgłosić jako oficjalne odkrycie. Jeżeli tak zrobimy, to przez lata nie wyjdziemy z sądów i wcale nie jest pewne, czy wyroki jakie tam zapadną, oczyszczą nas z postawionych nam zarzutów. Urzędnicy skarbowi i inni, cały aparat ścigania na czele z prokuraturą zrobi z nas na początek złodziei i przestępców. Zabiorą to, co znajdziemy, do wyjaśnienia i na poczet kar za domniemane inne znaleziska, których nie zgłosiliśmy, zabezpieczą cały nasz dotychczasowy majątek. Zrujnują nam po prostu życie, a czekanie latami na werdykt sądu, który wcale nie musi mieć nic wspólnego ze sprawiedliwością mnie osobiście nie interesuje. Przypomniało mi się też pewne zdarzenie, o którym było kiedyś głośno, a wnioski z niego płynące mogą być też przydatne dla nas.

*

Zdarzyło się to w Libanie jeszcze za czasów świetności KGB. Porwano tam ich dwóch oficerów operacyjnych i zażądano okupu za uwolnienie. Dla Rosjan był to pewnie szok. Reakcja jednak była szybka i skuteczna. Rozmów o okupie nie podjęto. Po dwóch dniach ciała siedmiu arabskich porwaczy owinięte w świńskie skóry, z obciętymi jajami włożonym do ust i z gustowną dziurką pośrodku czoła zostały wczesnym rankiem znalezione przed główną kwaterą organizacji, która stała za porwaniem. Porwani oficerowie zostali natychmiast uwolnieni i kilkakrotnie, z olbrzymimi rewerencjami, przeproszeni za zaistniałą pomyłkę. Od tamtej pory Rosjanie nigdy nie mieli żadnych problemów na tamtym terenie.

Nie oznacza to oczywiście, że jestem zwolennikiem takiej eskalacji odwetu na jakąś zaczepkę, ale warto pamiętać to, co powiedział Otto von Bismarck: „Tylko głupcy uczą się na swoich błędach”. Ja chcę tego uniknąć. Jeżeli będziemy pamiętali o błędach innych, to sami ich nie popełnimy. Trzeba korzystać z wiedzy i doświadczenia, które już ktoś

zdobył przed nami i nie wyważać już raz otwartych drzwi. Może odbiegłem za daleko od tematu, ale to ocenicie sami na koniec. – Przez moment jakby się zawahał, ale ciągnął swoją myśl dalej.

Wracamy do tony złota i 10 milionów dolarów. Zapewne po tym, co usłyszeliście, zgodzicie się ze mną, że jedyną możliwością, jaka nam zostaje, jest sprzedaż znaleziska za żywą gotówkę. Sprzedać możemy tylko w sposób nieformalny czyli nielegalnie w świetle obowiązujących przepisów. Taka transakcja jest możliwa do zrealizowania na terenie kraju i stajemy się posiadaczami kupy pieniędzy.

Znalezione, nie kradzione. Nikogo nie okradliśmy, ale pieniądze nie są w pełni legalne. Istnieją oczywiście sposoby i metody na ich wprowadzenie do obiegu, aby stały się w pełni legalne, ale wymaga to czasu i jest kosztowne. I zapewne będziemy zmuszeni do skorzystania z tej drogi. Dowiadują się o tym nasze żony. Zapewniam was, że ich zapotrzebowanie na dodatkowe finanse natychmiast wzrośnie. Znajdą tysiące sposobów, aby zmusić nas do uruchomienia tych pieniędzy i ich wydania. Konsekwencje spadną na nas wszystkich i mogą być wcale niezabawne. Nie oznacza to oczywiście, że jestem zagorzałym antyfeministą, ale chyba doskonale wiecie, że każdy zespół jest tak mocny, jak mocne jest jego najsłabsze ogniwo. Żeby nie snuć dalej czarnych scenariuszy, powiem jak to widzę.

Po pierwsze – nie dokładacie do tego żadnych pieniędzy, ale poświęćcie swój czas i dajecie swoje umiejętności i znajomości.

Po drugie – nikomu i nigdzie nie mówicie, co faktycznie robimy.

Po trzecie – gdy znajdziemy coś wartościowego, to w pierwszej kolejności idzie to na uregulowanie poniesionych do tego momentu wydatków, a nadwyżka do równego podziału lub na dalsze poszukiwania. Większe pieniądze na cele prywatne będą wydawane po uwzględnieniu zastrzeżeń, które wymieniłem poprzednio i według procedur, które przygotowujemy do każdego przypadku.

Po czwarte – jeżeli ktoś z nas będzie zmuszony dać łapówkę za załatwienie czegoś dla wspólnej sprawy, to zgłasza taką potrzebę. Jeśli suma jest warta przysługi, to wręcz ją ale nie informuje nas, kto to jest personalnie. Dla nas liczy się efekt, a nie nazwisko chciwego urzędnika czy polityka. Wystarczy, że taką wiedzę będzie posiadał tylko jeden z nas. Takich sytuacji nie unikniemy, bo kraj jest totalnie przeżar-

ty korupcją.

Po piąte – całość naszych działań zamaskuję innym projektem, do którego was podłączę w sposób formalny.

Po szóste – tereny, na których będziemy szukać, muszą stanowić naszą własność prywatną lub być pod naszą całkowitą kontrolą.

Po siódme – oczekuję innych propozycji.

– Hm, nie tak sobie wyobrażałem poszukiwania skarbów i tajemnic z czasów wojny, – odezwał się Andrzej – ale byłbym zwykłym ciulem, gdybym sam się pozbawił możliwości przeżycia doznań znanych tylko nielicznym. Sam znalazłem już parę nieznanymi dokumentów i wiem co to za uczucie. Co prawda jak była mowa o finansach, to poczułem się trochę jak ubogi krewny, ale znając Marka nie sądzę, aby to miał na myśli. Po za tym jest to dla mnie „terra incognita” i dopóki nie poznam tematu, będę bazował na waszych doświadczeniach. Będzie mi trochę trudno na początku, ale zgadzam się i jestem w tym.

– No cóż, zgoda – Wiesiek skwitował to krótko po żołniersku. – I zaraz dodał. – Jak już jestem przy głosie, to jest jeszcze jedna sprawa. Samochód ma jedną kierownicę i gdy dwóch kierowców próbuje równocześnie prowadzić, to efektem jest wypadek; gdy oddziałem dowodzi dwóch dowódców, to najczęściej giną niewinni żołnierze.

Marek z Andrzejem spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

– Dlatego chcę zgłosić propozycję – ciągnął dalej Wiesiek jakby nic nie zauważając. – Marek powinien zostać kierownikiem czy szefem grupy. Obojętnie jak to nazwiemy i czy to będzie zrobione w sposób formalny czy nieformalny. Uzasadnienie: – on to wymyślił, zaproponował nam udział, będzie za to płacił. Znając go, to zapewne już dawno myśli o następnych posunięciach na przyszłość. Partnerskie stosunki to fajna rzecz, udział w zyskach i niezapomnianych przeżyciach to też jest dobre, ale wolałbym, żeby jedna osoba koordynowała całość.

– Vivat rex!* – Andrzej wznosił toast.

– Cholera, odważyłem się wam to wszystko powiedzieć, bo dobrze was znam – Marek odstawił kieliszek. – Wszystkiego się spodziewałem, nawet tego, że ktoś się może wycofać, ale że odbędą się wybory i wystąpię w roli głównej, to mi się nawet nie śniło. Myślę, że podzielimy się tym, co jest do zrobienia do końca roku.

Wiesiek dostanie wszystkie dokumenty dotyczące poszukiwań geo-

logicznych, które Niemcy robili na tym terenie w latach 1928, 1931 i 1934. Jak się uda, to trzeba wyjaśnić czego dotyczyły poszukiwania, jakie były wyniki, kto był zleceniodawcą i wszystkie inne detale które mogą być ważne. Do Andrzeja należałoby dopracowanie do końca monografii Kopacza i jakby się udało, to wydrukować ją na koniec roku. Myślę, że mógłby tu wykorzystać swoich seminarzystów, aby przyspieszyć sprawę. Jak będziecie pracować z dokumentami, to zwróćcie uwagę na zapiski i uwagi dokonane przez starego nauczyciela, bo mam pewność, że coś się za tym kryje. Na razie nie mam żadnej koncepcji na wyjaśnienie tego. Może wam coś się skojarzy. Ja chciałbym do końca roku załatwić tytuły własności na te tereny, aby na wiosnę przyszłego roku ruszyć z poszukiwaniami. Spotkanie dobiegło końca. Role i zadania zostały wyznaczone.

*

Marek po pożegnaniu swoich gości nie miał ochoty na sprzątanie, a spać też mu się nie chciało. Usiadł na fotelu i wrócił myślą do tego, co powiedział o notatkach starego nauczyciela. Przez cały czas zastanawiał się, co spowodowało, że stary nauczyciel w taki sposób kompletował swoje archiwum. To, że były tam materiały potrzebne do opracowania monografii Kopacza i okolic nie ulegało wątpliwości i było jasne. Dlaczego jednak na przykład uważał za celowe dołączyć znalezione fakturę za tlenek żelaza i aluminium do dokumentów dotyczących historii zamku. Nie wiedział przecież tego, co Marek teraz i co mógł porównać z innymi faktami, wtedy dla niego niedostępnymi. Musiał coś odkryć albo o czymś się dowiedzieć i to na samym początku swojego pobytu tutaj. Może było odwrotnie, taka myśl zaświtała Markowi. Może nauczyciel wiedział znacznie więcej i stąd ten sposób robienia notatek, a on nie dotarł na razie nawet do części prawdy. Z drugiej strony dziwne było to, że z nikim nie podzielił się zdobytą wiedzą. Możliwe, że do końca uważał, że nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment. Jeżeli tak było, to powinien zostawić gdzieś wskazówki w tej sprawie. I czemu nic nie powiedział na ten temat swojemu synowi. Czyżby ta wiedza była tak niebezpieczna, że wolał ją zabrać z sobą do grobu? Jeśli tak, to dla kogo zostawił te tak zakamuflowane wiadomości i na co liczył? Coś tu było nie tak. Trzeba jeszcze raz przejrzeć całość materiałów pod tym kątem i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

*

Kolejną rzeczą która musiała być załatwiona, to zakup terenów przyszlých poszukiwań. Oczywiście rzeczą było, że nie można przyjść do właściciela gruntu i powiedzieć mu, że chce się nabyć teren, bo będą tam prowadzone poszukiwania skarbów. Opublikowanie takiej informacji, to jak wypuszczenie dzinna z butelki. Wybuchnie afera i zacznie żyć własnym życiem. Gmina będąca właścicielem zbocza górskiego, które go interesowało musi dostać wiarygodną ofertę, aby zgodziła się dokonać sprzedaży. Koncepcję już miał. Zbocze idealnie nadawało się na trasę narciarską. Potwierdzała to zresztą wcześniej zamówiona ekspertyza, którą otrzymał parę dni temu. Zainstalowanie tam wyciągu narciarskiego, oświetlenia terenu i jego niwelacja oraz postawienie innych potrzebnych urządzeń nie kolidowało z gminnym planem zagospodarowania przestrzennego. Tereny te były przeznaczone na rekreację i turystykę. Sam pomysł trasy narciarskiej wpadł mu do głowy, gdy z Wieskiem omawiali problem usunięcia gruzu skalnego z drogi przy zboczu. Pomyślał wtedy, że można rozbudować platformę widokową i do jej rozszerzenia zużyć gruz skalny. Wiesiek dokonał szacunkowego obliczenia ilości gruzu do usunięcia i wyszło, że będzie to najtańszy sposób rozwiązania problemu. Sam pomysł zaczynał mu się podobać coraz więcej. Najdłuższa i najlepsza trasa narciarska w tej części kraju. Gdyby do tego dołożyć zwiedzanie muzeum w starej kopalni i restaurację w sztolni, to taki interes mógłby być czynny praktycznie cały rok. Trzeba się nad tym poważnie zastanowić i dobrze to policzyć – z tą myślą poszedł spać.

*

W trakcie kolejnych paru dni przygotował sobie potrzebne dokumenty do rozmowy w gminie i umówił się na rozmowę z burmistrzem. Efekt tego spotkania był dla niego kompletnym zaskoczeniem. Przyjechał i załatwił sprawę za pierwszym podejściem. Został przyjęty przez burmistrza bez zbędnego oczekiwania. Przedstawił się, pokazał dokumenty spółki którą reprezentował i dalej to był pełny szok. W trakcie tej pół oficjalnej i prywatnej rozmowy, bo taki ton nadał jej gospodarz, Marek w pewnym momencie zorientował się, że facet po prostu pyta go o referencje. Wysiłk swoją pamięć i w końcu doszukali się dwóch dalszych wspólnych znajomych. W chwilę potem burmistrz poprosił o

przyjście swojego pracownika i powiedział Markowi, że ten mu przedstawi konkretne możliwości gminy i udzieli technicznych wyjaśnień w interesującej go sprawie, a później prosi ponownie do siebie na dołączenie rozmowy. No tak, pomyślał Marek, teraz weźmie za telefon i sprawdzi, z kim rozmawiał. Nie żałował teraz czasu poświęconego na przygotowanie tej wizyty.

*

Jeszcze raz w skrócie Marek powiedział, co go tu sprowadziło. Urzędnik był nie dość że kompetentnym, to jeszcze okazało się, że sam jest amatorem białego szaleństwa. Szybko przekonał Marka, że lepszym pomysłem byłoby zbudowanie wyciągu narciarskiego na dłuższej trasie, a on sam może powiedzieć, gdzie leży mało używana linia tego typu do obsługi 1800. metrowego odcinka. Cena też będzie niska. Widać było, że ma swoją wizję takiego przedsięwzięcia. Wyciągnął mapy i pokazał dwie ewentualne lokalizacje. Za najlepsze miejsce uważał stok, który interesował Marka, ale wykluczał to rozwiązanie. Gdy gmina dokonała wymiany gruntów z Agencją Własności Rolnej Skarbu Państwa, to dolny odcinek dochodzący do drogi nie został włączony do wymiany i odcinał możliwość komunikacji z dołu do góry. Było to drobne niedopatrzenie któregoś z urzędników i nie miało ono specjalnego znaczenia aż do dzisiaj. Marek powiedział mu, że można przecież porozmawiać z AWRSP w tej sprawie. Urzędnik przyznał, że byłaby to najładniejsza i najdłuższa trasa zjazdowa w regionie, bo mogłaby liczyć około 5000 metrów albo i więcej. Telefon od burmistrza przerwał te rozważania. Zapraszał ponownie do siebie, bo później chciał wyjechać. Akurat – pomyślał Marek – dodzwonił się i coś niecoś mu powiedzieli o mnie.

W gabinecie burmistrza większym orędownikiem zrealizowania inwestycji okazał się sam urzędnik niż Marek poprzednio. Burmistrz też był za. Poprosił o przysłanie oficjalnej oferty w ciągu trzech dni, a on przedstawi tą sprawę na najbliższym posiedzeniu w przyszłym tygodniu i sądzi, że od tej pory będą się widywać częściej. Sprawa załatwiona – skonstatował Marek – weryfikacja wypadła pomyślnie dla mnie, a projekt im się spodobał.

Wrócił do siebie i po konsultacji ze swoim prawnikiem wysłał do gminy oficjalną ofertę zakupu nieruchomości. Stało się tak, jak powiedział burmistrz. Niewiele dni później na jego biurko trafiła oficjalna korespondencja z gminy. Informowano w niej, że jego oferta została przy-

jęta i w załączeniu przesyłano projekt aktu notarialnego zakupu nieruchomości. Nie miał żadnych uwag. Uzgodniono datę podpisania aktu notarialnego i w oznaczonym dniu Marek stawił się w gminie.

Sama procedura podpisywania zajęła niecałą godzinę, a później trafił do gabinetu burmistrza. Tam spotkała go kolejna niespodzianka. Burmistrz wskazał na urzędnika, którego poznał w czasie swojej poprzedniej wizyty i powiedział, że pan Stanisław Borkowski został wyznaczony do pilotowania tej inwestycji ze strony gminy i będzie mu służył pomocą. Ponadto dowiedział się, że burmistrz dzwonił do terenowego oddziału AWRSP w sprawie tego kawałka ziemi u podnóża stoku i wstępnie przygotował mu teren do rozmowy w tej sprawie. Marek odniósł wrażenie, że wszystko to dzieje się w innym świecie. Nikt nie żądał łapówki, za wszystko odpowiada konkretny i kompetentny urzędnik. Całą sprawę po jej zaakceptowaniu załatwiono w tempie godnym podziwu i próbowano udzielić pomocy w ramach posiadanych możliwości. Wyjątek potwierdza regułę, a przy takim podejściu trzeba poważnie zastanowić się, czy inwestycja, która miała być maskowaniem poszukiwań nie powinna zostać zrealizowana – postanowił pogadać o tym z Andrzejem i Wieskiem.

*

Pozostała mu do załatwienia sprawa w Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa. Z poprzednich interesów znał osobiście wicedyrektora do spraw finansowych i równocześnie głównego księgowego z oddziału w Jeleniej Górze. Z umówieniem spotkania nie było żadnych problemów.

– Serdecznie witam! Miło pana widzieć! – powitał go wicedyrektor Jerzy Koliński.

– Jak dobrze pamiętam to kawa sypana Astra w szklance?

– Zgadza się – Marek był rozluźniony, lubił tego człowieka.

– Nie chce chyba pan inwestować w nieużytki?

– Panie Jurku! Ma pan lepszy wywiad niż nasz rząd, skoro już to do pana dotarło.

– No może nie aż tak, ale do naszego prezesa dzwonił burmistrz z Kopacza i mocno się za panem wstawiał. A ten zaraz kazał sobie przynieść dokumenty tej działki, bo już węszył, jaki to można na tym zrobić interes.

– I co? – Marek był wyraźnie zainteresowany.

– I chyba się rozczarował, bo to są nieużytki i w dodatku na zadupiu. Nie ma więc szans na „prowizję”. Rzeczywiście chce pan kupić ten kawałek?

– Tak... i to chyba jako osoba prywatna. To też chcę z panem uzgodnić.

– Skoro mówi pan „to też”, to co jest przedmiotem zainteresowania?

– Uczestniczę w realizacji dosyć dużego projektu w branży spożywczej. Projekt przewiduje zakup 5000 – 6000 hektarów ziemi ornej III i IV klasy lub lepszej, jeżeli się uda. Lokalizacja w trzech strefach. Jedna jest na pana terenie. No... i tu niech pan się nie śmieje, chcę kupić zamek.

– Zapewne nie jest to objaw demencji starczej, – wicedyrektor jednak się uśmiechał – bo jest pan na to za młody. Przy zakupie ziemi pewnie będę mógł pomóc i to nie tylko panu.

Widząc uniesione brwi Marka wyjaśnił.

– Mam tu znajomego dzierżawcę. Wziął z Agencji 980 hektarów w dzierżawę z prawem pierwokupu. Dwa lata temu nie ubezpieczył upraw, a przyszła susza i poniósł znaczne straty. W ubiegłym roku zakontraktował buraki do cukrowni i do tej pory mu nie zapłacili. I ma małe szanse, że odzyska te pieniądze, bo w międzyczasie Niemcy kupili cukrownię. Zamknęli ją, a o starych długach nie chcą słyszeć. Obecnie jest dłużny Agencji ponad 400 tysięcy i niedługo musimy mu wypowiedzieć umowę i zabrać to, czego się dorobił, na pokrycie długów w Agencji. Mówię o tym dlatego, bo widzę tu możliwość pogodzenia paru interesów. Orientuje się pan zapewne, że w chwili obecnej nie mamy już do sprzedaży takiego areału w całości. Tu akurat wszystko jest w jednym kawałku. Chce pan prowadzić normalną gospodarkę rolną, więc będzie pan potrzebował uczciwego i znającego się na rzeczy zarządcy. A jest to facet naprawdę porządny i wie jak gospodarować na roli. Gdyby pan się z nim dogadał, to z kupnem ziemi nie byłoby problemu, a on nie zostałby na bruku. Możemy o tym porozmawiać nawet dzisiaj.

– Dobrze – Marek błyskawicznie podjął decyzję. – Zostaję do jutra. Wieczorem proponuję spotkać się w hotelu na kolacji i omówić sprawę.

– Widzę, że nic się pan nie zmienił. Bierze pan od razu byka za rogi – wicedyrektor wziął telefon i w trakcie rozmowy z dzierżawcą zapro-

ponował godzinę 19.30 na spotkanie w hotelu. – Marek skinął głową.

– No to teraz wróćmy do tego zamku. Ma pan coś konkretnego na myśli?

– Tak – Marek kiwnął głową – zamek Lutzow.

– Co! To gówno! Ktoś pana wpuszcza w maliny! To jest jak wrzód na dupie!

– Panie Jurku o co chodzi? – Marek był kompletnie zaskoczony jego słowami.

– Zaraz to panu wyjaśnię – wicedyrektor uspokoił się w widoczny sposób i wyjaśnił.

– Otóż ten niby zamek dostaliśmy w spadku po zlikwidowanym Państwowym Gospodarstwie Rolnym z siedzibą w Kopaczu. Jak wydawaliśmy katalog zamków i pałaców, to umieściliśmy go też w ofercie. Dane o zamku przesłał nam wojewódzki konserwator zabytków, bo z nim uzgadnialiśmy wydanie katalogu. Zresztą przecież ten katalog sam panu dałem, gdy tylko go wydaliśmy. Fakt, że nikt od nas nie był tam, żeby zweryfikować dane ze stanem faktycznym. Zgłosił się wtedy do nas jakiś przedsiębiorca z Katowic, który chciał to kupić. Wrócił po obejrzeniu zamku i zrobił nam awanturę, że jesteście oszustami, bo kupkę ruin reklamujemy jako zamek do remontu. Chciał jeszcze zwrotu kosztów za swój przyjazd. Posłaliśmy wtedy swojego rzeczoznawcę, aby to sprawdził. Okazało się, że jest to faktycznie kupa gruzu, a mury które jeszcze stoją, mogą się w każdej chwili zawalić i wystarczy do tego silniejszy podmuch wiatru. Wystąpiliśmy wtedy do konserwatora zabytków o zmianę kwalifikacji obiektu. W odpowiedzi ten gnojek chciał nas zmusić najpierw drogą administracyjną, a później poprzez sąd, abyśmy przywrócili obiekt do poprzedniego stanu używalności, w jakim go przejęliśmy. A to przecież od czasów wojny było już ruiną. Gdyby nas do tego zmusił, to nasz oddział by zbankrutował. Przecież to trzeba by zbudować od nowa, a to są miliony złotych. Oczywiście wycofaliśmy to z oferty sprzedaży, ale do dzisiaj figuruje to u nas jako zabytek. Więcej nikt nie był tym zainteresowany. Jeżeli swoją wiedzę opiera pan też na naszym katalogu, to lepiej niech pan to sobie daruje.

– O tym, co pan powiedział, to nic nie wiedziałem, – Marek starannie dobierał słowa – a gdybym się jednak zdecydował, to jak by to wyglądało?

– W dupę byśmy pana nie całowali, ale całe to ustrojstwo wraz z przyległą ziemią oddamy za złotówkę. Zgodnie z przepisami, tak jak w przypadku, gdy nabywcą jest Kościół. Zaznaczam jednak, że konserwator zabytków to już pana problem.

– Jak za złotówkę to kupuję – Marek złożył deklarację.

– No może nie złotówkę, ale jak pan mówi poważnie, to wycenimy to na parę tysięcy, a panu damy upust na tej działce, co pan chce prywatnie dla siebie, – wicedyrektor nie wycofywał się, tylko konkretyzował sytuację – a ja prywatnie postawię kolację.

– W porządku, – Marek przyklepał ofertę – ale w umowie przy zamku zamieścimy dwa albo trzy punkty, które będą mi potrzebne do „rozmów” z konserwatorem, a ich treść dam na faksie, jak tylko wrócę do domu.

– Jeżeli tak, to nie widzę żadnego problemu i na jutro rano każę przygotować wszystkie niezbędne dokumenty, aby mógł je pan wstępnie przejrzeć.

– Panie Jurku! – Marek czuł wiszące w powietrzu pytanie. – Ja nie zwariowałem, a po co to kupuję, to teraz nie bardzo mogę wyjaśnić, ale obiecuję, że jak przyjdzie właściwy moment, to panu powiem.

– Dobre i to – podsumował wicedyrektor i stwierdził. – Czyli widzimy się o 19.30?

Marek potwierdził skinieniem głowy i powiedział, że teraz pójdzie załatwić sobie hotel i zadzwoni, gdzie się zatrzymał.

*

Wieczorne spotkanie zakończyło się też dobrze. Była w tym duża zasługa wicedyrektora. Co prawda był taki moment, gdy wydawało się, że nie osiągną konsensu. Było to wtedy, gdy Marek jednoznacznie powiedział, że technologia upraw musi być dostosowana do potrzeb wynikających z głównego projektu. Chodziło o to, że duża część produkcji będzie polegała na wyprodukowaniu odpowiedniej jakości zboża według własnej technologii. To kłóciło się z wiedzą i doświadczeniem dzierżawcy, ale po szczegółowych wyjaśnieniach przyjął to do wiadomości. W sumie dzięki radom wicedyrektora, on i dzierżawca uzgodnili wszystkie drażliwe kwestie i doszli do porozumienia. Ostatecznie wyszło na to, że dzierżawca nie zostanie już właścicielem tej ziemi, ale może się tam czuć jak u siebie, dopóki sam nie zdecyduje ina-

czej. Na zakończenie Marek usłyszał komplement od dzierżawcy, a przynajmniej tak to odebrał. Otóż powiedział on, że szanuje i ceni ludzi którzy, przyznają się do niewiedzy na dany temat, ale równocześnie wiedzą, o czym rozmawiają. Wicedyrektor uzgodnił z nimi, że Marek będzie w Agencji jutro o godzinie 9. rano, a dzierżawca z dokumentami ma być o godzinie 10.

*

Marek był punktualnie. Była to zasada, której przestrzegał z żelazną konsekwencją. Punktualności wymagał od siebie i swoich partnerów. Tych, którzy mieli tysiąc usprawiedliwień na swoje spóźnienie, nie darzył specjalnym szacunkiem, jak i tych, którzy pożyczali książki i zapominali o ich oddaniu. Wicedyrektor wyznawał te same poglądy, co on. Miał już przygotowaną teczkę z dokumentami działki, którą Marek chciał kupić prywatnie. Wręczył mu również wzór podania o jej sprzedaż, które zdążył napisać i wydrukować na swoim komputerze. Widząc jego zdziwienie w trakcie czytania pospieszył z wyjaśnieniem. Ta wzmianka, że chce pan posadzić na nieużytkach las pozwoli nam dać panu stosowny rabat zgodnie z tym co obiecałem. Po poprawieniu adresu swojego zamieszkania oddał pismo i za chwilę miał już gotowy oryginał i kopię. Podpisał i wezwana sekretarka zabrała, aby je zarejestrować. Propozycja, aby podpisać akt notarialny w przyszłym tygodniu we wtorek też mu odpowiadała. Wszystko to układało się zbyt gładko, aby Marek nie zaczął się dopatrywać ukrytego podtekstu. Zaczął delikatnie krążyć wokół tego tematu, ale wicedyrektor nie był karmiony szpakami i uprzedził jego pytanie.

– Jak już mówiłem wczoraj, pańska propozycja zakupu pozwala mi na rozwiązanie paru problemów. Sprawę dzierżawcy musielibyśmy oddać do sądu. Dostalibyśmy wyrok na egzekucję prawie pół miliona złotych, ale byłyby to wirtualne pieniądze, bo nigdy byśmy ich nie odzyskali. Po jakimś czasie poszłoby to w straty. Pan reguluje stary dług dzierżawcy i płaci odwrotnie za kupioną ziemię. To zapewnia nam już w tej chwili wykonanie rocznego planu, a nawet jego przekroczenie i możemy spokojnie przymierzyć się do dodatkowej rocznej premii. Dodatkowo chce pan nam zdjąć z garbu ten niby „zamek”. Po co i dlaczego – to nas nie interesuje. Dlatego nikt nie oczekuje żadnej gratyfikacji z pana strony, – mówi o łapówce, pomyślał Marek – ale wręcz odwrot-

nie. Wszyscy się przyłożą, aby sprawę szybko załatwić, żeby nie zdążył się pan rozmyślić. Ponadto przyrzekam panu, że postaramy się znaleźć te brakujące ponad 500 hektarów, które są potrzebne do waszej inwestycji. Może nie tak zaraz, ale do przyszłego półrocza na pewno.

„Cholera, to może być prawda. Coś za coś i po sprawie” – pomyślał.

Dzierżawca też był punktualny. Załatwianie formalności zajęło im prawie cztery godziny. Przed godziną 14. Marek miał pełny zestaw dokumentów dla swojego prawnika. Spełniła się też przepowiednia wicedyrektora. Wszyscy urzędnicy, z którymi mieli do czynienia, wykazali się wyjątkową sprawnością i kompetencją. To, co wymagałoby wielu dni załatwiania i sporego „smarowania”, mieli załatwione w parę godzin. Toteż nie zdziwił się, gdy po wyjściu z Agencji dzierżawca zapytał – Ile to kosztowało?

– Nic. Im zależało, żeby to załatwić. – odpowiedział Marek, a tamten w odpowiedzi pokręcił tylko głową.

*

Po powrocie Marek zaraz zadzwonił do prawnika, z którym współpracował od wielu lat. Jacek Worwa, profesor prawa gospodarczego w Akademii Ekonomicznej mógł mieć czas za godzinę i Marek natychmiast to wykorzystał. Po przyjściu zreferował sedno zagadnienia. Kupi ziemię, na której znajdują się ruiny zamku. Ruiny te figurują jako dobrze zachowany obiekt zabytkowy w ewidencji prowadzonej przez wojewódzkiego konserwatora zabytków. Celem jest prawne zmuszenie konserwatora do wydania nowej decyzji zgodnej ze stanem faktycznym. Czyli, że są to ruiny po zabytkowym obiekcie. Powiedział, co konserwator próbował wymusić na Agencji. Zostawił też projekty umów, które dostał w Agencji do konsultacji i dodał, że w umowie z zamkiem mogą wstawić takie punkty, które mogą być im pomocne w walce z konserwatorem. A tak poza tym to do tych umów nie ma żadnych uwag. Profesor powiedział, że za dwa dni wszystko przygotowuje.

Spotkanie po dwóch dniach było krótkie i rzeczowe. Dokumenty przygotowane przez Agencję były w porządku i nie wniesiono tu żadnych poprawek. Co do zamku to obydwaj nie wpadli na żaden genialny pomysł do zastosowania i postanowili zasugerować, żeby w akcie notarialnym nie używano słów zamek czy obiekt zabytkowy, a użyć sformułowania

– „nieruchomość z elementami zabudowy do rozbiórki”.

Marek zadzwonił do Agencji i powiedział dyrektorowi Kolińskiemu, że nie będzie żadnych poprawek do dokumentów, które dostał od nich. Sądząc po tonie głosu jego rozmówca był z tego faktu zadowolony i skrupulatnie zapisał uwagi odnoszące się do zamku. W sobotę zadzwonił on z kolei i zapytał, czy planowane spotkanie mogą przesunąć na środę, bo wtedy będą mieli przygotowane do podpisu wszystkie trzy akty notarialne. Marek zgodził się i zapewnił, że w środę o godzinie 10. rano będzie w Agencji.

*

W międzyczasie spotkał się z Andrzejem i Wieśkiem.

Od Andrzeja dowiedział się, że monografia będzie gotowa z początkiem grudnia. Koszt druku jednego egzemplarza powinien wynieść około 7 złotych. Uzgodnili, że Marek przekaże na ten cel 10 tysięcy złotych, a resztę do końca załatwi Andrzej.

Rozmowa z Wieśkiem była ciekawsza. Co prawda jego poszukiwania materiałów o niemieckich badaniach geologicznych były jeszcze daleko w polu, ale nie to było najważniejsze. Odkrył w dokumentach starego nauczyciela ciekawą prawidłowość i postawił zaskakującą tezę. Część zapisków dokonana atramentem przez starego nauczyciela stanowiła rodzaj szyfru. Wpadł na to przez przypadek. Ułożył kiedyś chronologicznie parę dokumentów i zauważył, że niezrozumiałe dla nich oznaczenia literowe i cyfrowe występują tylko na dokumentach z wyraźnie zaznaczoną datą. Spisał te dane z kilkunastu dokumentów i uzyskał ciąg liczb i liter już z daleka pachnący szyfrem. To było coś nowego i wymagało sprawdzenia. Uzgodnił również z Wieśkiem jak rozwiązać problem stojących jeszcze do tej pory murów zamkowych. Ściany naruszone pożarem i niezabezpieczone przez tyle lat mogły runąć w każdej chwili. Należało im w tym dopomóc. Marek uważał, że parę kilogramów trotylu zdetonowane we właściwych miejscach powinno sprawę definitywnie załatwić. Akcja wykonana pod osłoną dużej burzy z wyładowaniami atmosferycznymi nie powinna zwrócić niczyjej uwagi. Zostawił Wieśkowi pieniądze niezbędne na pokrycie kosztów z prośbą o jak najszybszą realizację. W końcu racja była po ich stronie, ale jak wiadomo nieraz trzeba jej pomagać, aby tak było.

*

W domu siadł do komputera i zaczął sprawdzać pomysł Wieśka z

szyfrem. Miał do dyspozycji całość otrzymanej dokumentacji. Ułożył to według dat zapisanych atramentem przez starego nauczyciela. Wszystko się zgadzało. Ciąg liczb i liter faktycznie wskazywał na to, że skrywa zaszyfrowaną informację. Marek wydrukował całość i patrząc na leżące przed nim kartki, zaczął się zastanawiać jak to ugryźć. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest początek i koniec szyfru. Zastanowił się nad osobą, która zakodowała informację. Stary nauczyciel był matematykiem z zawodu i historykiem z zamiłowania. Na jego miejscu użyłby wiedzy matematycznej. Z matematyką ma przecież do czynienia każdy człowiek. Umiejętność liczenia jest praktycznie potrzebna każdemu aż do śmierci. Jeżeli matematyka, to co tu może zwrócić uwagę średnio inteligentnego człowieka – zastanawiał się Marek. Powtarzająca się sekwencja – błysnęło w jego umyśle. – Nawet tępak powinien to zauważyć. Dodatkowa korzyść, to możliwość pokazania, gdzie jest początek i koniec informacji. Wystukał stosowne komendy i komputer w chwilę potem wypuł wydruk. Bingo! – miał w ręku całą zaszyfrowaną informację i znany był jej początek i koniec. Teraz pozostawało samemu to rozszyfrować lub zlecić to zaufanemu specjalistcie. Postanowił poszperać w dostępnej literaturze na ten temat i spróbować samemu.

*

Dni do wyznaczonego terminu podpisania dokumentów w Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa minęły jak z bicia strzelił. Zgodnie z umową zjawił się u wicedyrektora Kolińskiego w środę o godzinie 10. Po godzinie 12. stał się właścicielem 12 hektarów nieużytków, a jego firma wzbogaciła się o gospodarstwo rolne i teren, na którym znajdowały się ruiny zamku. Po transakcji Marek zaprosił wszystkich zainteresowanych na obiad, ale nie dane mu było za niego zapłacić. Wicedyrektor powołał się na swoją wcześniejszą deklarację i sam uregulował rachunek. W trakcie powrotu do domu z zadumy nad kierownicą wyrwał go dzwonek telefonu komórkowego. Dzwonił Wiesiek.

– Wczoraj oglądałem niesamowity film z burzą w roli głównej. Efekty są wspaniałe. Zrobiłem dla ciebie kopię.

– Dziękuję za pamięć. Będę u ciebie jutro rano. Na razie.

Marek odłożył telefon i pomyślał, że dobrze się złożyło, bo on sam popełnił błąd. Mury powinny być ruiną przed podpisaniem umowy

sprzedaży, a on tego nie dopilnował. Przypadek zrzucił, że zostało to naprawione. Takich błędów więcej nie może być. Zaczyna się od drobiazgu a ich suma powoduje w końcu katastrofę. Przynależ sobie, że więcej to się nie powtórzy.

*

Rano pijąc kawę u Wieska słuchał jego relacji. Okazało się, że akcja odbyła się faktycznie przedwczoraj. W rozmowie celowo podał inny termin. Poważnie potraktował to, co usłyszał od niego na temat możliwych zagrożeń. Błędna informacja posyłała ewentualnego dodatkowego słuchacza w ślepią uliczkę. Skorzystał z pomocy swego byłego podwładnego. Najlepszy specjalista od materiałów wybuchowych jakiego zna. Dalej usłyszał, że zużyli 12 kilogramów trotylu. Miejsca na założenie ładunków wybrał jego protegowany. Każdy ładunek był uzbrojony w zapalnik uruchamiany sygnałem radiowym. Ładunki zdetonował sam. Termin wybrała sama natura. Codziennie słuchał prognoz pogody. Gdy zapowiadali burzę w tym rejonie, to wsiadał w auto i jechał na miejsce. Za trzecim razem wszystko mu zagrało. Huk wybuchów utonął w hałasie naprawdę dużej burzy. Na drugi dzień pojechał sprawdzić efekt i zrobić zdjęcia. Wyszło lepiej niż planowali. Leżące na stole zdjęcia to potwierdzały. Widniał na nich gustowny pagórek ułożony z cegieł, lekko pochylony w lewo. Teraz cały teren przypominał wysypisko po starej i nieczynnej cegielni. Argument do rozmowy z konserwatorem był przygotowany.

Marek powiedział Wieskowi, że miał rację co do szyfru i co udało mu się ustalić w tej materii. Pokazał na mapie teren, który był teraz w ich dyspozycji i uzgodnili, że zajmie się on teraz opracowaniem systemu zapewniającego ochronę przed niepożądanymi wizytami na tym terenie. Powiedział też, że na poważnie rozpatruje możliwość faktycznego uruchomienia trasy narciarskiej wraz z towarzyszącymi im urządzeniami i obiektami.

– No a teraz na koniec powiedz mi, co cię męczy – Marek chciał sprawdzić swoje przypuszczenia, bo przez cały czas wydawało mu się, że Wiesiek coś dusi w sobie.

– A jednak zauważyłeś – widać było, że Wieskowi ulżyło. – Widzisz, ja nie jestem tego pewien. Wydaje mi się, że słyszałem dwa wtórne wybuchy.

– Czy to znaczy, że nie liczyłeś kolejności swoich i dwa były opóź-

nione?

– Nie, to nie tak. Swoje policzyłem. Tego wymaga procedura. Ale to było po tym, jak runęły mury. To był inny odgłos. Bardziej głuchy i inny od hałasu walących się murów i hałasów burzy.

– Czyli to uderzenie o ziemię tych setek ton gruzu spowodowało ten odgłos? – ni to pytanie ni to stwierdzenie Marka zawisło w powietrzu.

– Tak to wyglądało, a właściwie tak to było słycać – poprawił się Wiesiek.

– Czyli uderzenie w grunt spowodowało wybuch min założonych jeszcze przez Niemców – próbował to wyjaśnić Marek.

– Myślę, że tak to należy zinterpretować – głos Wieśka był bardzo poważny – i jeżeli tak jest, to musimy się liczyć z bardzo poważnym niebezpieczeństwem. Będziemy potrzebować naprawdę dobrych fachowców do przeszukania i rozminowania terenu.

– To jest oczywiste – Marek też był poważny. – To spada na twoje barki i dodatkowo musisz liczyć się z tym, że trzeba to zrobić dobrze i skutecznie. Zupełnie możliwe, że nieoficjalnie i w tajemnicy. Musisz to zrobić z głową.

Wychodząc od Wieśka miał przecucie, że to dopiero początek problemów, jakie staną przed nimi. Zaminowanie terenu, gdzie Niemcy lokowali swoje skrytki było rutynową czynnością z ich strony, ale jednak też o czymś świadczyło. Jeżeli na terenie zrujnowanego zamku zostawili aktywne miny, to widocznie chcieli zniechęcić ewentualnych poszukiwaczy do prób szwendania się po tamtym terenie. Wniosek nasuwał się sam. Musieli mieć tam też coś do ukrycia przed niepożądanymi gośćmi.

*

Przed nim stała teraz do załatwienia sprawa u konserwatora zabytków. Odczekał 14 dni, aby się upewnić, że nikt nie zgłosi żadnych zastrzeżeń do podpisanych aktów notarialnych i spróbował się umówić na rozmowę. Pan konserwator był niedostępny dla zwykłego śmiertelnika. Musiał wykonać parę telefonów do swoich znajomych, aby uzyskać audiencję.

Przyjechał w wyznaczonym terminie i punktualnie wszedł do sekretariatu. Tak jak się spodziewał został przetrzymany w sekretariacie, żeby

mógł poznać swoje miejsce w szeregu. Trwało to 18 minut, bo specjalnie sprawdził to na zegarku, zanim mu pozwolono wejść.

– Dzień dobry! – Marek przedstawił się – Chciałem wyjaśnić u pana pewną sprawę.

Mężczyzna siedzący za biurkiem skinął głową i wskazał krzesło przy biurku. Nie ruszył nawet dupy, żeby się przywitać. – Marek pomału zaczynał się wewnętrznie gotować.

Uważnie popatrzył na osobnika za biurkiem. Garnitur bez zarzutu. Pulchna twarz, okrągłe rozbiegane oczka ukryte za stalowymi oprawkami okularów, przyлизane włoski ze starannym przedziałkiem i serdelkowate palce bębniące o blat biurka. Widok, który miał przed oczami i informacje, które zebrał o tym człowieku pozwoliły mu na dokonanie oceny. Zakwalifikował go do grupy tchórzliwych sukinsynów. Takie jednostronne dokonywanie oceny świeżo poznanych ludzi na podstawie pierwszego kontaktu nie było najmądrzejszą rzeczą. Marek wiedział o tym, ale było to silniejsze od niego. Robił to podświadomie i o dziwo, bardzo rzadko się mylił. Jednak gdy się pomylił, to natychmiast korygował swój osąd. Tutaj nie miał żadnych wątpliwości. Wiedział, jak postępować z takimi ludźmi. Ukrył niechęć i zaczął.

– Doceniam, że zgodził się pan mnie przyjąć osobiście. Cenię czas swojego rozmówcy i swój. Ja za godzinę konsultacji biorę dwieście dolarów. – Strzał był celny. Facet za biurkiem wybałuszył oczy.

– Widzi pan, – Marek ciągnął dalej jakby nie widząc reakcji rozmówcy – w ramach rozliczeń z oddziałem Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa w Jeleniej Górze otrzymałem od nich nieruchomości w Kopalcu.

Marek mijał się trochę z prawdą, ale wiedział, że zrobi to jeszcze wiele razy w tym gabinecie. Ponadto będzie często i gęsto używał słów „ja” i „moje”.

– Otóż mój dyrektor odkrył, że na przekazanym nam gruncie ma się znajdować zamek o nazwie „Lutzow”. Wyszukał również, że jest to obiekt wpisany na listę zabytków na pana terenie. Ja tam byłem osobiście i nic takiego nie widziałem. Chcę to wyjaśnić.

– Tak, coś sobie przypominam – konserwator coś wystukał na pulpicie komputera i ciągnął już pewnym tonem – To jest stary zabytek z XIX wieku. Wymaga remontu i faktycznie figuruje u nas w rejestrze.

Jako właściciel figuruje u nas AWRSP, oddział w Jeleniej Górze.

– Skoro u pana figuruje jako obiekt do remontu, to może moi ludzie się pomylili. Proszę, tu są dane tej działki, której teraz jesteśmy właścicielem. – podał wcześniej przygotowaną kartkę i komputer znowu został zaprzęgnięty do pracy.

– Zgadza się, to są prawidłowe oznaczenia tej działki, gdzie stoi zamek – konserwator wydawał się być z czegoś zadowolony. – Ma pan zamek do remontu na swoim terenie.

Marek już domyślał się, co zaczyna chodzić po głowie temu palantowi.

– Chyba jednak mówimy o dwóch różnych miejscach. Proszę, to jest fotografa tego miejsca zrobiona przed paroma dniami. – Marek specjalnie lewą ręką położył fotografię na środku biurka tak, aby rozmówca mógł zobaczyć jego zegarek. Był to markowy czasomierz i bardzo drogi. Zawsze uważał, że gadżety są po to, aby je wykorzystywać.

Wzrok konserwatora dłużej zatrzymał się na zegarku. Informacja dotarła do celu – pomyślał Marek.

– Czego się pan napije? Kawa, herbata a może coś mocniejszego – gospodarz stawał się gościnnie.

Oho! Pewnie policzył, ile oficjalnych rocznych pensji musiałby wydać, żeby sprawić sobie takie cacko i postanowił zmienić front – pomyślał Marek.

– Kawę poproszę, jeśli można. A wracając do tematu, to jak pan to widzi?

– Zaraz każę przynieść teczkę obiektu i przyjść kierownikowi, który za to odpowiada.

Faktycznie minęło niewiele czasu od jego telefonu, gdy w gabinecie zameldował się odpowiedzialny za to pracownik. Marek nie był ciekaw zawartości teczki, bo już poznał jej zawartość wcześniej. Jego informator zadziałał szybko i bez śladów. Właśnie zawartość tej teczki podsunęła mu koncepcję załatwienia sprawy. Liczył, że jak obecny konserwator zapozna się z jej zawartością, to będzie bardziej skłonny do załatwienia sprawy po jego myśli. Udawał uprzejme zainteresowanie tym, co mówił pracownik, ale myślał o czym innym.

– Czy ma pan jakieś pytania? – głos konserwatora sprowadził go na ziemię.

– Nie, nie mam – Marek był już z powrotem skupiony.

– Może pan odejść – pracownik został odprawiony.

Marek postanowił teraz sterować rozmową tak, aby wnioski do jakich dojdzie jego rozmówca były zgodne z jego oczekiwaniami.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to ten obiekt pojawił się jako zabytek w ewidencji u was w 1960 roku. Skoro był tak stary, jak to wynika z jego historii, to jak to mogło być możliwe. Tym bardziej, że mój dyrektor wykopał skądś zdjęcie z 1946 roku i to co na nim jest, wygląda zupełnie inaczej niż mówią o tym pisemne opisy. Proszę, to jest fotografa z 1946 roku. – Marek wręczył czarno białą fotografię, którą przygotował mu znajomy informatyk i doskonały fotograf w jednej osobie. Wykorzystano do tego materiał nakręcony w czasie jednej z wizyt Marka w Kopaczu. Tylko dobry specjalista mógł mieć wątpliwości co do prawdziwości fotografii, a tej Marek nie zamierzał wypuścić z rąk.

– Rzeczywiście – konserwator był autentycznie zdziwiony – To już wtedy były gołe mury i sporo gruzu, a nie obiekt do remontu. Jak to porównać z pańskim ostatnim zdjęciem to nic dziwnego, że po tylu latach to się samo rozsypało i została tylko kupa gruzu.

– Widocznie już po wojnie nie zakwalifikowano tego jako obiektu zabytkowego, bo go fizycznie tam po prostu nie było, a rozsypujących się murów nie uznano za zabytek – Marek sęczył wątpliwości do umysłu rozmówcy.

– Im starszy obiekt tym niższy ma numer inwentarzowy i jest wcześniej wpisany do ewidencji. Tak ja to rozumiem i nie mogę zrozumieć tego wpisu z 1960 roku i to tym bardziej, że nie miało to nic wspólnego ze stanem faktycznym – Marek konsekwentnie naprowadzał konserwatora w kierunku, aby sam dokonał odkrycia, na którym mu zależało.

Konserwator wziął jeszcze raz do ręki teczkę obiektu. Przerzucił parę kartek i na dłużej zatrzymał się nad jedną. Później sprawdził coś w komputerze.

– Możliwe, że ma pan rację i nastąpiła tutaj pomyłka. Pańska uwaga o numerach inwentarzowych i datach wpisu była bardzo celna. Wygląda na to, że wpis dotyczy zupełnie innego obiektu, a dokumentacja zamku została tam włożona omyłkowo – konserwator wypowiedział te słowa z namysłem.

– Czyli jeden obiekt zniknął, a drugi pojawił się na jego miejsce i

ogólny bilans jest zgodny. To by znaczyło, że obiekt, który faktycznie był zabytkiem, został w ten sposób wyjęty spod ochrony konserwatorskiej i mógł być sprzedany jako zwykła nieruchomość, a żeby stan się zgadzał, to włożono w to miejsce inne dokumenty – Marek postawił takie przypuszczenie, ale wiedział, że tak było naprawdę. Piękny dworek z przełomu XVIII i XIX wieku przeszedł w ten sposób w ręce wysoko postawionej w polityce osoby.

– Może wysnuwa pan za daleko idące wnioski, ale faktycznie sprawa nie jest zbyt jasna – konserwator nie chciał wprost przyznać, że mógł tu mieć miejsce ordynaryjny kant.

Marek wiedział, że ujawnienie tego faktu i odpowiednie nagłośnienie w prasie mogło spowodować przeprowadzenie dokładnej kontroli, a to mogło być nie na rękę obecnemu konserwatorowi. Wiedział, że przeprowadził on dwie transakcje sprzedaży zabytkowych nieruchomości, gdzie ewidentnie obszedł przepisy prawa dobrze na tym zarabiając i dokładna kontrola mogła to wykryć.

– Mam pewne plany związane z tym terenem, ale ten istniejący formalnie, a niezgodny z prawdą zapis jest mi nie na rękę. Zdaję sobie sprawę, że jak zlecę rozwiązanie tego problemu swoim prawnikom to zrobi się szum i poniosę określone koszty – Marek groził i proponował marchewkę.

– No cóż, sprawa jest trudna i musiałbym jej poświęcić dużo czasu i zachodu – rozmówca wybierał marchewkę.

– Myślę, że koszty ugody są zawsze mniejsze niż otwartej wojny – Marek składał propozycję łapówki i chciał się targować.

– Biorąc pod uwagę, kto dzwonił do mnie w pańskiej sprawie, to postaram się podejść do tego obiektywnie – rozmówca wyraźnie sugerował, że cena nie będzie wygórowana.

– Czy miesiąc czasu to będzie rozsądny termin? – Marek płacił, ale i wymagał pracy w określonym czasie.

– Sądzę, że to w zupełności wystarczy na wyjaśnienie sprawy i jej właściwe rozwiązanie – konserwator przyklepał transakcję.

Pożegnanie było kordialne, ale Marek czuł pewien niesmak. Nie lubił takich ludzi i nie ufał im.

Wymiana wizytówek dopełniła formalności.

*

Wracając do domu robił rachunek sumienia. To, co miał załatwić w sprawach dotyczących poszukiwań, miał praktycznie zrobione. Pozostało tylko odczekać miesiąc i będzie komplet. Wszystko poszło wyjątkowo gładko i sprawnie. Miał nadzieję, że jest to dobry omen dla poszukiwań. W domu był wieczorem. Zrobił sobie kawę bo zamierzał spokojnie posiedzieć nad zapiskami starego nauczyciela i oczywiście zarobił reprimendę od żony za nadużywanie kawy, bo za żadne skarby nie chciała uwierzyć, że jest to dopiero druga w tym dniu. Zabrał kawę i schronił się w swoim gabinecie.

Wyciągnął kartkę z szeregiem liczb i liter. Wiedział, że jedyny sposób na odczytanie zaszyfrowanej wiadomości, gdy znany jest język, w którym została napisana, polega na znalezieniu innego tekstu w tym języku i to na tyle długiego, aby zajął mniej więcej jedną stronę. Następnie należy obliczyć i ile razy występuje w niej każda litera. Literę, która występuje najczęściej nazywa się „pierwszą”, następna pod względem częstości występowania „drugą” i tak do końca, aż wyczerpie się listę wszystkich liter ze znanego tekstu. Następnie bierze się tekst zaszyfrowany i również klasyfikuje się użyte w nim symbole. Znajduje się najczęściej występujący symbol i zastępuje się go wszędzie „pierwszą” literą z próbki znanego tekstu. Drugi najczęściej występujący symbol zastępujemy „drugą” literą i tak dalej, aż wreszcie zastąpimy wszystkie symbole w zaszyfrowanej wiadomości, którą chcemy odczytać. Wiadomo również, że im krótszy tekst tym większe mogą być odstępstwa od standardowych częstości występowania liter w danym języku. Jeżeli wiadomość liczy mniej niż 100 liter, to jej odczytanie może być bardzo trudne. Można też na przykład podstawić w miejsce dowolnej litery z alfabetu jawnego pewną liczbę od 1 do 99 i pozostają wtedy 73 liczby, które nie reprezentują żadnych liter. Liczby te można losowo wprowadzić do tekstu zaszyfrowanego z różnymi częstościami. Puste symbole nie stanowią żadnego problemu dla odbiorcy. Dla niewtajemniczonego odbiorcy są poważnym problemem, gdyż utrudniają użycie metody analizy częstości występowania liter.

Jeszcze raz zastanowił się, co tak naprawdę wie. Wiedział, że napisał to Polak i matematyk. Zatem wiadomość została zaszyfrowana w języku polskim. Prawdopodobnie znał miejsce, od którego zaczynała się i kończyła zaszyfrowana informacja. Na kartce widniały szeregi liter i

liczb. Wyglądało to tak, jakby informacja została zaszyfrowana na dwa sposoby. Wydawało się to jednak mało prawdopodobne. Uruchomił komputer i zainstalował program, który dostał od człowieka zajmującego się zawodowo ochroną danych przesyłanych drogą elektroniczną. Z tekstu usunął wszystkie liczby. Widniejąca na monitorze zaszyfrowana informacja zmalała o połowę. Wystukał kolejne komendy i czekał. Komputer mruczał po swojemu i nic się nie działo. Poszedł sobie zrobić dolewkę do starej kawy, bo na nową nie miał już dzisiaj co liczyć.

Gdy wrócił do gabinetu na monitorze widniał napis „Gotowe”. Kliknął ikonę drukarki. Maszyna wypluła kartkę zadrukowaną do połowy. Z podnieceniem spojrzął na treść. Gównno. Bełkot porąbanego robota. Na połowie zadrukowanej strony było siedem normalnych słów, a reszta to był totalny groch z kapustą. Marek zakreślił flamastrem czytelne słowa. „Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt dobrze patrz w pomnik” – taki był czytelny tekst.

Słowo „tysiąc” zaczynało tekst, a słowo „pomnik” było ostatnim w rozszyfrowanym tekście. Wyglądało na to, że pierwsze i ostatnie słowo tekstu zostało rozszyfrowane, ale z resztą było coś nie tak. Chyba, że była to cała informacja, a on nie potrafił jej zrozumieć. Spojrzął na rozmieszczenie słów w tekście. Pierwsze słowo w pierwszej linijce jest czytelne, a reszta to zbitka liter. Druga linijka to bełkot. Trzecia linijka i pierwsze słowo czytelne. Czwarta linijka – bełkot. W piątej jedno czytelne słowo i też pierwsze. Ta prawidłowość powtarzała się do końca wydruku z jedną różnicą. Ostatnia, 13. linijka miała czytelne słowo na końcu wiersza. To odstępstwo w 13. linijce Marek rozumiał. Od razu rzucało się w oczy czytającemu i sygnalizowało, że to koniec informacji. W takim razie można było przyjąć, że jest to cała informacja, a umieszczenie czytelnych słów na pierwszym miejscu wiersza w nieparzystych liniijkach jest celowe. Mimo intensywnych spekulacji nic mu nie przychodziło do głowy, aby to sensownie zinterpretować. Pozostawało jeszcze skorzystać z pomocy człowieka, od którego dostał program do odszyfrowania. Zapisał to, co mu się udało rozszyfrować i wraz ze swoimi uwagami oddał mu do sprawdzenia.

Po paru dniach dostał jego opinię. Wiadomość ukryta pod szyfrem literowym była prawidłowo odczytana. Więcej tam nic nie było. Treść należało skonfrontować z danymi, które powinny widnieć na pomniku.

Informacja widniejąca na pomniku i wykorzystanie wskazówki, jaką było zwrócenie uwagi na liczby nieparzyste powinno pozwolić na odczytanie dalszej informacji. Prawdopodobnie trzeba tu będzie użyć działań wykonywanych na liczbach nieparzystych lub innych operacji matematycznych odnoszących się do tych liczb. Żeby to wyjaśnić trzeba dysponować danymi z pomnika. Szeregi liczbowe są tylko szumem informacyjnym i miały tylko utrudnić odczytanie tekstu.

Marek podziękował i rozliczył się z tego, co zostało zrobione. Jego podejrzenia, że stary nauczyciel natknął się na coś istotnego, były zasadne. To, czy znalazł to w dokumentach, czy też usłyszał od kogoś na razie musiało zostać bez odpowiedzi. Na pewno wiedza ta była na tyle ważna i równocześnie niebezpieczna dla jej posiadacza, że zadał sobie tyle trudu, aby to zanotować i równocześnie ukryć przed przypadkowym odczytaniem.

Marka zastanawiał fakt, że mimo tylu lat, które nauczyciel przeżył w Kopaczu, nie zwrócił się on do miejscowych władz w tej sprawie. Musiał nie mieć do nich zaufania, a nie wiedząc co z tym zrobić, zachował się właśnie w ten, a nie inny sposób. Marek pomyślał, że należałoby zobaczyć czy istnieje lista pierwszych mieszkańców Kopacza i przejrzeć archiwum Urzędu Bezpieczeństwa z tamtego terenu. Może tam znajdą się osoby czy wydarzenia, które można będzie powiązać z obecną wiedzą. Nie od rzeczy będzie też wyciągnięcie z gminy listy osób, które się osiedliły na tym terenie od końca wojny do dnia dzisiejszego. Może dzięki temu uda się namierzyć, czy ktoś obcy interesował się tym terenem i co tam robił. Marek wiedział, że tak ważnych miejsc Niemcy nie zostawiali bez opieki. Jeżeli znajdzie taką osobę czy osoby, to będzie to ewidentnym potwierdzeniem ważności obiektu. Wiedział też, kto może mu to załatwić sprawnie i bez rozgłosu, a ponadto nie będzie zadawał niepotrzebnych pytań. Tak też się i stało. W połowie grudnia dostał zamówione informacje.

W tym też czasie odezwał się konserwator. Zapraszał go do siebie. Marek pojechał i dostał to, czego oczekiwał. Cena też była do przyjęcia. Mimo niechęci jaką żywił do tego faceta musiał przyznać, że załatwił to z głową.

Otóż zarządził on kontrolę na podległym sobie terenie losowo wytypowanych obiektów zabytkowych pod kątem przestrzegania i wyko-

nywania jego wytycznych dotyczących konserwacji zabytkowych obiektów. Oczywiście na liście znalazł się też obiekt interesujący Marka. W zleceniu kontrolnym nie użyto już nazwy zamku, ale wpisano numer ewidencyjny obiektu. W protokóle jak byk widniało, że na skutek działania czasu obiekt uległ tak znaczącemu zniszczeniu, że to, co tam znajduje się w tej chwili, nie może być uznane za zabytek chroniony, gdyż nie spełnia podstawowych warunków do takiej klasyfikacji. Całość była elegancko udokumentowana fotograficznie. Na tej podstawie konserwator podjął decyzję o wykreśleniu tej pozycji z rejestru zabytków i nałożył na właściciela tego terenu obowiązek powiadomienia go, gdy teren ten będzie porządkowany. Oczywiście wysłał to do AWRSP.

To posunięcie Marek ocenił wysoko. Ucinał w ten sposób ewentualne zarzuty, że działał na czyjaś korzyść i dzięki temu Marka też w tym nie było. Jemu oczywiście wręczył dokładną kopię tego, co poszło do Agencji. Obecny właściciel mógł tam robić to, co chciał, ale uzgadniał to już tylko z władzami gminy. I o to chodziło. Profesor Jacek Worwa został o tym poinformowany i nie był zdziwiony, że jego pomoc na razie nie będzie potrzebna. Wiedział, że Marek zawsze do końca próbuje sprawy załatwić polubownie, a gdy to nie skutkuje, to wytacza od razu do walki duży kaliber.

Zjawił się też Andrzej i przyniósł gotowe wydanie monografii. Wyglądało to naprawdę dobrze. Nakład wynosił 1000 sztuk. Pieniądzy starczyło i nawet trochę zostało. Biorąc pod uwagę, że święta są już niedługo, postanowili zrobić świąteczną niespodziankę dyrektorowi liceum i wysłali mu sygnałny egzemplarz. Resztę formalności zamierzali załatwić po nowym roku.

*

Marek już zdecydował, że trasa narciarska będzie realizowana. Przygotował dwa warianty realizacji planu. Potrzebował teraz człowieka, który mógłby to prowadzić. Znał taką osobę z czasów pracy w rzemiośle.

Michał Handkowski należał do tych osób, gdzie jego natychmiastowa ocena człowieka nie zdała egzaminu. Musiał ją później zweryfikować na korzyść Michała. Nie pił, nie palił i miał podobne hierarchie wartości, jak on sam. Ponadto, jeżeli się zgodził grać w danym zespole, to był w nim do końca i nic nie mogło podważyć jego lojalności w sto-

sunku do grupy. W obecnych czasach była to rzadka cecha. Wiedział, że Michał został praktycznie sam. Żona już dawno związała się z kimś innym i odeszła od niego, a dzieci poszły na swoje. Zadzwoił i Michał bez zdziwienia w głosie zaprosił go na kawę do swojego domku na obrzeżach miasta. Nie mając nic innego do roboty Marek wsiadł do samochodu i pojechał. Przyjechał i trochę się zdziwił. Nie był tu już może z cztery lata. Wiedział, że ta okolica stała się modna i budowali się tu teraz nowobogacy, ale rozmach i wielkość już stojących i będących w budowie rezydencji naprawdę go zaskoczyła. Tylko domek Michała wyglądał teraz jak ubogi krewny w towarzystwie elity. Nic się na jego działce nie zmieniło. Tylko drzewa były większe niż poprzednio i o wiele ładniejsze. Tak jak poprzednio dzwonka też nie było. Marek wcisnął klakson. Chwilę trwało zanim z głębi działki wynurzył się Michał. Otworzył bramę wjazdową i zaprosił gestem do wjechania. Marek podjechał pod dom i czekał na gospodarza. Przywitali się i przyrzekli się sobie.

– Prawie nic się nie zmieniłeś – zaczął Michał.

– Ty też – odpowiedź była sztampowa.

– Nie mów, że nie zauważyłeś – tu Michał pokazał na znaczną już łysinę na swojej głowie.

– No może trochę większa niż poprzednio – zgodził się.

– A gdzie pies?

– Pewnie już usłyszał i za chwilę przybiegnie.

Rzeczywiście. Zza narożnika budynku wypadł zziębnięty wilczur potężnej budowy. Z trudem wyhamował na śliskiej ziemi i obiegł ich wokoło. Obwąchał nogi Marka i podał łapę.

A jednak poznał – Marek był przyjemnie zaskoczony. Michał nauczył psa tej sztuczki już dawno temu i niechęć stało się to probierzem dla jego znajomych. Okazało się, że na hasło – „przywitaj się” – pies nieraz rznął totalnego głupka i udawał, że kompletnie nie wie, o co chodzi. Nie wszyscy mogli dostąpić zaszczytu przywitania. Michał, zauważywszy to, pamiętał kto i jak był traktowany przez psa. Okazało się, że pies był lepszy od niego. Ci, z którymi nie chciał się witać, okazali się w końcu ludźmi małostkowymi czy wręcz pospolitymi świniami.

– Dobry pies. To miło, że mnie poznałeś – Marek mówił jak do człowieka, trzymając podaną łapę i drapał psa za uszami. Dwa szczek-

nięcia skwitowały jego przemowę i pies pobiegł z powrotem załatwiać swoje sprawy, które zakłóciło przybycie gościa.

Weszli do środka i Marek widział, że tutaj też nic nie uległo zmianie. No może w pokoju zastawionym od podłogi po sufit sprzętem elektronicznym coś przybyło, ale tego nie mógł stwierdzić, bo się na tym nie znał. Michał był zapalonym krótkofalowcem i samoukiem elektronikiem. To była jego pasja i jego wiedza w tym zakresie pewnie była większa niż niejednego absolwenta politechniki. Bez pytania zaparzył kawę w dużych kubkach. Przez chwilę szukał cukru, bo sam nie słodził, ale wiedział, że Marek lubi słodką. Zasedli w fotelach i Marek dokładnie opowiedział o planach związanych z trasą narciarską. Widać było, że Michałowi pomysł się podoba. Dogadali się, że Michał pojedzie z nim do Kopacza, żeby poznać teren i ludzi na miejscu i wtedy da wiążącą odpowiedź, czy zgodzi się kierować tym interesem. Marek znał na tyle Michała, że już teraz mógł przyjąć, że kierownicza funkcja została obsadzona.

Dziwny jest ten świat. Działalność, która miała maskować ich poszukiwania, stała się rzeczywistością i zaczęła żyć własnym życiem. Ciekawe, co jeszcze zdarzy się po drodze, zanim zaczną właściwe poszukiwania? Takie reminiscencje przemknęły przez głowę Marka. Teraz jednak zbliżał się koniec roku. Należało pomyśleć o prezentach dla najbliższych i o pracownikach w firmie. Z tą myślą pożegnał się z Michałem.

SD – Sicherheitsdienst – służba bezpieczeństwa stworzona przez Reinharda Heydricha

terra incognita* (łac.) - - nieznan, niezbadany obszar

Vivat rex!* (łac.) - niech żyje król

ROZDZIAŁ III

Zgodnie z ustaleniami poczynionymi w starym roku Marek zabrał 10. stycznia ze sobą Michała, jadąc do Kopacza. Jako pełnoprawny właściciel terenu mógł teraz zacząć konkretne rozmowy. Chwilowo nie zamierzał informować nikogo w gminie o zakupie terenu, gdzie znajdowały się ruiny zamku. Ostrożność przy poszukiwaniu skarbów jest wskazana i należało to zachować w tajemnicy. Z rozmowy z burmistrzem Michał wyniósł dobre wrażenia.

Pan Borowski okazał się naprawdę pomocnym i kompetentnym urzędnikiem. Miał przygotowane wzory wszystkich dokumentów, jakie będą wymagane przy realizacji trasy narciarskiej. Marek powiedział, że dla realizacji tego przedsięwzięcia założył spółkę o nazwie Viking, żeby nie mieszać różnych form działania w swojej firmie. Było to małe kłamstwo. Na ten pomysł wpadł w trakcie rozmowy z urzędnikiem, gdy tylko zorientował się, że Michał zaakceptował możliwość współpracy z burmistrzem i Borowskim. To minucie się z prawdą nikomu nie zaszkodziło, a w sumie zrobiło to dobre wrażenie na wszystkich.

Borowski zaanektował ich do swojej dyspozycji i wcale tego nie żałowali. Szybko wyciągnął od Michała, że ten kiedyś też jeździł na nartach. Mieli już wspólny temat. Później zabrał ich na wizję lokalną, gdzie miał powstać wyciąg. Chciał im pokazać coś ciekawego. Gdy przyjechali na miejsce, to on ich oprowadzał po całym terenie jak właściciel, bo Marek tak naprawdę to jeszcze nie orientował się w tym zbyt dokładnie. Stanęli u podnóża stoku i wtedy zapytał ich, czy coś im się rzuca w oczy. Ich miny musiały wystarczyć za odpowiedź, bo kazał im spojrzeć na sąsiedni stok. Stok był pokryty jednolitą warstwą śniegu. Spojrzeli na swój. Różnica była widoczna. Tam jednolita warstwa, a tu tylko duże płatki śniegu.

– Ja wiem, dlaczego tak jest – zaczął Borowski. – Tutaj dołem idzie zimne powietrze od strony czeskiej i po odbiciu się od drzew na tamtym zboczku kieruje się właśnie na to zbocze, gdzie leży warstwa śniegu.

– Skąd pan to wie? – Marek był zdziwiony tą wiedzą.

– Widziałem to sam osobiście. Kiedyś przypadkowo byłem tutaj, gdy nadeszła mgła od Czech i widziałem, jak to wszystko płynęło. Powietrze musi przepływać tak samo. Efekt widać.

– Ale jak to może nas dotyczyć? – Marek nie widział na razie związku.

– Gdyby skierować to powietrze na wasz stok, to śnieg leżałby tu od października do kwietnia.

– Chce pan sterować pogodą? Jak? – odezwał się Michał.

– Trzeba by postawić podobną przeszkodę i wtedy zimne powietrze trafi do nas – Borowski był pewny swego.

– Jak posadzimy tu las, to ile lat – Marek zamilkł. – Drewniana ściana – kołatało w jego umyśle i w chwilę potem usłużna pamięć podsunęła właściwą informację. – Mam ! Nie trzeba wcale lat na postawienie takiej ściany. Wystarczy posadzić odmianę wierzby, z której produkuje się tak zwany zielony węgiel. Ta odmiana rośnie w ciągu roku na wysokość trzech metrów, a nie ścinana dochodzi do siedmiu metrów w drugim roku.

– W takim razie sezon narciarski będzie tutaj trwał od października do kwietnia – stwierdził Borowski.

– Czy wie pan kto jest właścicielem terenu, na którym trzeba posadzić drzewa? – zapytał Marek.

– Nie wiem, ale się dowiem – odpowiedź Borowskiego była krótka i rzeczowa.

– To się zaczyna naprawdę robić ciekawe – Michał ostatecznie zadeklarował chęć współpracy.

Marek pomyślał, że to więcej niż ciekawe. Zaczęli od planów szukania skarbów, a teraz są na etapie sterowania pogodą. Ciekawe, do czego dojdą na końcu.

– Czy ma pan jeszcze jakieś dodatkowe niespodzianki? – zapytał Marek z uśmiechem.

– Dzisiaj już nie, – uśmiechając się odparł Borowski – ale zapomniałem powiedzieć, że byłem obejrzyć ten wyciąg krzeselkowy. Jak się poczeka do kwietnia, to cena jeszcze spadnie.

– Chyba nie chce mnie pan wpędzić w kompleksy? – zażartował Marek – Ale teraz poważnie. Dochodzę do wniosku, że należałoby może

pomyśleć o jakiejś umowie zleceniu dla kogoś z pana rodziny.

– To jest mała miejscowość i różnie to ludzie mogą przyjąć – z zastanowieniem odpowiedział Borowski. – Moja żona jest księgową i prowadzi biuro rachunkowe, ale tak po prawdzie to nie ma wcale roboty.

– Rozumiem – Marek spojrzał na Michała – i jeśli pan pozwoli to wrócimy do tego tematu przy naszej kolejnej wizycie, a teraz zapraszam na spóźniony obiad.

Przyzwoity obiad zjedli w przydrożnej knajpce i Marka zdziwił niski rachunek. 43 złote za trzy osoby. W mieście tyle by kosztowała kawa dla nich trzech.

*

W drodze powrotnej nawet nie zapytał Michała, czy będzie kierował przedsięwzięciem. To rozumiało się już samo przez się. Przyznał się też do tego, że spółkę Viking wymyślił na poczekaniu i jak wróca to trzeba to zrobić od ręki. Zaproponował Michałowi 10 procent udziałów w nowo zakładanej spółce i stanowisko prezesa jednoosobowego zarządu. Obiekcje Michała dotyczące pieniędzy na pokrycie udziałów spacyfikował stwierdzeniem, że ten wpłaci, gdy będzie miał. Umówił się z Michałem, że jutro rano o godzinie 9. będzie u niego w firmie.

Michał był punktualnie. Przygotowali projekt umowy aktu założycielskiego spółki z ograniczoną odpowiedzialnością i pojechali do notariusza. Tam też nie zajęło im to wiele czasu. Notariusz, mimo że znał Marka i obsługiwał go już wiele lat i tak skrupulatnie sprawdził wszystkie papiery, zanim złożył swój podpis.

Wrócili do biura Marka. Razem z Michałem wybrali dwa pomieszczenia na siedzibę nowej firmy. Zgodnie z sugestią Marka, firma będzie zarejestrowana w Poznaniu, a w Kopaczu będzie jej oddział. Zdecydowały o tym względy praktyczne. W dużym mieście takich spółek jest kilkanaście tysięcy. Rutynowa kontrola przychodzi zazwyczaj po kilku latach i tak naprawdę to nikogo tutaj nie będzie obchodziło co robi nowa firma w branży turystyczno-rekreacyjnej. W małej miejscowości takie kontrole przychodziłyby o wiele częściej i często jedyną przyczyną byłaby jedynie zwykła ludzka ciekawość i mała ilość jednostek do kontrolowania. Obydwaj wiedzieli, że głupota i ignorancja urzędników nie zna granic i woleli, żeby ich odwiedziny nie były za częste.

Wypełnili plik formularzy i napisali niezbędne załączniki potrzebne dla rejestracji w sądzie. Michał został prezesem zarządu, a Marek przewodniczącym rady nadzorczej. Marek patrząc na świeżo mianowanego prezesa spółki, który składał chyba dwudziesty już podpis na dokumentach pomyślał, że ten kraj toczy rak paranoi. Firmy jeszcze nie ma, a już obrosła w stos papierów. Dawno już doszedł do wniosku, że połowę urzędników należy wyrzucić na zbity pysk, a pozostałym podnieść pensje o połowę i zacząć wymagać rzetelnej pracy. No cóż, pomarzyć to dobra rzecz. Michał skończył składać autografy i pojechał z tym do sądu.

Marek popijał kawę i zastanawiał się, co i jak ma jutro powiedzieć Michałowi na temat projektowanej inwestycji i okoliczności, w jakich do tego doszło. Do przemyślenia sprawy na nowo zmusiło go spostrzeżenie, jakiego dokonał w trakcie rozmowy z nim. Otóż Michał miał z sobą notes z wykaligrafowanym napisem „Viking”. To wyraźnie świadczyło o tym, jak poważnie podchodzi do sprawy. Miał więc pełne prawo oczekiwać podobnego podejścia z jego strony. Wynotował sobie kolejne punkty do ich przyszłej rozmowy.

*

W biurze Marka zaczęło się tradycyjnie od kawy. Przedstawił zmodyfikowane wczoraj przez siebie obydwie wersje budowy trasy narciarskiej i zaznaczył, że skłania się obecnie ku realizacji tej drugiej.

– Wiem, że jest to istotna zmiana w stosunku do tego, o czym rozmawialiśmy – zaczął Marek.

– Bujaj się Fela, bo jutro niedziela – Michała nie opuściło jego specyficzne poczucie humoru. – Przemyślałem to przez noc. Trzy lata temu zostałem dziadkiem. Siedzę tu sam jak kołek i tylko się starzeję w przyspieszonym tempie. To, że sobie trochę pogadam w eterze to nie wszystko. Ty mi proponujesz ciekawą robotę i możliwość powrotu między ludzi. Nad czym tu się do kurwy nędzy zastanawiać! Trzeba tam pojechać i pomieszkać. Pojadę. Przecież zanim to skończymy, to dołożysz do tego coś jeszcze i znowu będzie ciekawie.

– W porządku. Dzięki za zaufanie – Marek był zadowolony. – To upraszcza wiele rzeczy. W Kopaczu kupisz budynek na biura. Zaraz będą na nas patrzeć inaczej. Pogadasz z żoną Borowskiego i sprawdzisz, czy nada się do prowadzenia księgowości na miejscu. Wyszukasz też budynek dla nas. Najlepiej na uboczu w spokojnym miejscu. Dół prze-

znaczymy na salon, jeden pokój gościnny i kuchnię. Cała góra dla nas. Nie zapomnij o pokoju na twój sprzęt. Łazienki oddzielne. I pamiętaj o terenie dla psa. Lokalizacja musi spełniać jeden warunek. Musi być jeden wjazd dla ewentualnych gości, abyśmy wiedzieli wcześniej, kto nas chce odwiedzić i mieli możliwość niezauważonego opuszczenia posesji. Na kogo to kupimy, to powiem później. Teraz zastanów się i wybierz samochód terenowy, którym byś chciał jeździć.

– Co? Jak proszę? – Michał oderwał się od notowania i po sekundzie zastanowienia odparł:

– Chyba Musso byłoby najlepsze. Firma koreańska, ale wszystkie podzespoły są praktycznie od Mercedesa. Cena też jest do przyjęcia.

– Dobrze. Poszukaj, który z dealerów ma go na stanie i kupimy go na razie na moją firmę, a później przerezucimy do Vikinga. Po kupnie auta proponuję, abyś na dwa tygodnie pojechał w góry. Szwajcaria, Austria i Niemcy. Sfilmuj i zbierz wszystkie dane, które można będzie wykorzystać przy projektowaniu i realizacji naszego wyciągu.

– Widzę, że szykują mi się pracowite wczasy, ale skorzystam – Michał uśmiechał się.

– Tylko jak wpadnie ci do głowy trochę poszusować, to uważaj, masz wrócić cały.

Samochód udało się załatwić w ciągu trzech dni. Michał spakował się i pojechał.

*

Zaraz po tym zgłosił się Andrzej z pytaniem, kiedy pojedą odwiedzić monografię. Uzgodnili, że załatwią to w najbliższą sobotę, gdy dyrektor liceum będzie miał czas. Dyrektor miał czas i zapraszał na obiad. Zabrali cały nakład 1000 sztuk i o godzinie 12. zajechali pod dom dyrektora liceum. Byli już tam oczekiwani. Na ich przyjazd pani domu przygotowała wystawny obiad. Dyrektor był wręcz zachwycony dostarczonym prezentem.

Po obiedzie, siedząc w przyjemnie urządzonej saloniku, sączyli dobrej marki koniak i płynęła rozmowa tak trochę o niczym. W końcu Markowi udało się skierować rozmowę na czasy powojenne i pierwsze dni osadników na tych terenach. Dyrektor dużo wiedział na ten temat i potrafił ciekawie opowiadać. W pewnym momencie pani domu wtrąciła.

– A wiecie panowie, że mój teść świętej pamięci to chyba od początku wiedział, że zostanie tu na stałe. Już w 1950 roku wykupił dla rodziny miejsce na cmentarzu i jeszcze za życia postawił pomnik.

– Mówi pani, że postawił pomnik – Marek nie chciał wierzyć własnym uszom.

To było właśnie to. Rok 1950. Pomnik. Stary nauczyciel. On już to raz słyszał, ale nie mógł skojarzyć tego faktu, gdy rozgryzał szyfr. Teraz rysowała się szansa na wyjaśnienie dalszej części szyfru.

– Wtedy było łatwiej o dobry kamień. Teraz to pewnie ładny zabytek – Marek ciągnął dalej temat.

– Ależ skąd! To wyglądało jakby było sklezione z trzech części. I dopiero w ubiegłym roku udało mi się namówić męża na wymienienie go na bardziej normalny.

– O kurwa! – o mało co, a Marek zakląłby na głos. Ta baba chyba niechcący zniszczyła ostatnią szansę odczytania dalszego ciągu zaszyfrowanej wiadomości.

– Jak był tak nietypowy, to pewnie trafił gdzieś na przechowanie – próbował ustalić, co się stało z pomnikiem.

– Tego to nie wiem, bo oddaliśmy go kamieniarzowi, żeby nam opuścił cenę. Ale mogę panu pokazać zdjęcie.

– Bardzo chętnie obejrzę – Marek trochę się odprężył. Z dobrego zdjęcia można wiele wyczytać.

– Proszę! – Pani domu podała zdjęcie.

Markowi opadły ręce. Osoba robiąca zdjęcie tak ustawiła aparat, że granica ostrości kończyła się na osobach stojących przed pomnikiem. Sam pomnik widniał jako trójbarwna plama i żadnych szczegółów nie można było dostrzec. Cholerny świat. A tak ładnie wyglądało. Trzy kolory oznaczały liczbę nieparzystą, na co zwrócił już uwagę fachowiec od szyfrowania. Informacja była tam zapisana i pozostała jeszcze jedyna szansa, że kamieniarz nie przerobił pomnika na jakieś ozdobne gówno i do tej pory leży on gdzieś w kącie.

– Dziękuję pani. Ładne zdjęcie – Marek był obojętnie uprzejmy.

Wymówili się od kolacji i w drodze powrotnej powiedział o tym Andrzejowi, bo ten w tym czasie był zajęty rozmową z gospodarzem domu i tego nie słyszał. Ten zgodził się z nim, że jedyna szansa to kamieniarz. Marek powiedział jeszcze Andrzejowi o Michale i jego roli w przedsięwzię-

ciu. W sumie droga powrotna wydała się im o wiele krótsza niż w tamtą stronę.

*

Uśmiechnięta i opalona twarz Michała w drzwiach jego biura, uświadomiła mu, że to już prawie koniec stycznia. Stał przed nim inny człowiek. Oczy się śmiały, a cała postać wręcz tryskała energią.

– Warto było pojechać. Zresztą sam ocenisz. Tutaj przygotowałem całe sprawozdanie z wyjazdu i moje propozycje – Michał podał dyskietkę.

Marek włożył dyskietkę do komputera i zaczął przeglądać. – Widzę, że idziesz na całość.

– Oczywiście. Grzechem by było zmarnować taki teren na jedną trasę. Mamy tam przecież teren o szerokości prawie kilometra w największym miejscu. Swobodnie zmieścimy tam dwie trasy. Jedna dla początkujących, a druga dla zaawansowanych. Jeden wyciąg obsłuży nam to spokojnie. Na dole parking na trzysta samochodów, restauracja z barem szybkiej obsługi i zapleczem dla obsługi technicznej całej trasy. Dodatkowo szkoła nauki jazdy na nartach. No i oczywiście wypożyczalnia sprzętu narciarskiego. Używany sprzęt możemy za grosze kupić na Zachodzie po sezonie. Już rozmawiałem w tej sprawie. Po drodze zajechałem do jednego z producentów wyciągów narciarskich i musiałbyś widzieć ich minę, gdy powiedziałem, że interesuje mnie wyposażenie trasy długości 5000 metrów. Dosłownie wybałuszili oczy. Oni myśleli, że Polska to zadupie zabite dechami, a na narty to my przyjeżdżamy do nich, bo u siebie nic takiego nie mamy. Zaczęli traktować to bardziej niż poważnie, jak im powiedziałem, że finansujemy to z własnych środków. Jak się zdecydujemy z nimi rozmawiać, to najpierw przyślą swoich ludzi, żeby zobaczyli teren, gdzie ma stać wyciąg. Nigdy nie mieli reklamacji i dbają, żeby tak było dalej.

– Bardzo dobrze – Marek był zadowolony, bo Michał sam doszedł do tego, co on planował.

– Tutaj masz dokumenty, które przyszły z sądu. Jak widzisz, od stromy prawnej firma już istnieje. Załatw zaraz sprawę VAT-u i numer regonu, a potem pojedziesz do notariusza, u którego już byłeś ze mną. Tam podpiszesz akt notarialny kupna terenów pod wyciąg. Miałem wszystkie dane, więc to już jest przygotowane i podpisane przeze mnie. Braku-

je tylko twojego podpisu. Płacić nic nie musisz, bo opłaty są już zrobione i rejent tylko wpisze to do dzisiejszego rejestru. Jak to załatwisz, to wróć z powrotem do mnie i powiem ci, co robimy dalej. Sądzę, że powinieneś to załatwić w trzy godziny.

*

Marek celowo kontrolował i sterował poczynaniami Michała w początkowej fazie. Zdawał sobie sprawę, że ten dosyć długo nie był w kontakcie z przepisami dotyczącym obrotu gospodarczego i nie chciał, aby przypadkiem popełnił błąd na samym początku. Tym bardziej, że przepisy te były trudne do ogarnięcia nawet dla kogoś, kto je śledził na bieżąco. Ten kalejdoskop zmian w prawie często niespójnych i sprzecznych z sobą przepisów zależał od fantazji i wydolności produkcyjnych obecnych posłów. Słusznym wydawało się wyrażone przez kogoś zdanie, że dla większości posłów zasiadających w Sejmie właściwszym określeniem było „osioł”. Choć w niektórych przypadkach takie porównanie mogło być wybitnie krzywdzące dla tak inteligentnego zwierzęcia. Dobre intencje posłów nie są żadnym uzasadnieniem fatalnej w skutkach polityki. Mają oni za to przynajmniej głębokie poczucie sprawiedliwości. Wszystkich traktują jak śmieci. Zaś siła wyobraźni pozwala niejednemu z nich wierzyć, że jest on mężem stanu. Jednak właśnie ta chwilowość w obowiązującym prawie doprowadza do białej gorączki normalnie myślących ludzi. Dzisiaj Sejm uchwalał ustawę, pojutrze Senat wnosil swoje poprawki. Parę dni później Sejm wnosil poprawki do poprawek. Można odnieść wrażenie, że nad tym totalnym bałaganem już nikt nie panuje. To, co w założeniu miało być jasnym przepisem prawa, stawało się po tych poprawkach bełkotem niezrozumiałym nawet dla ich początkowych twórców. Najgorsze jednak było to, że nadal uważali oni, że wiedzą, o czym mówią i że robią to dobrze. Tak przynajmniej wmawiali swoim wyborcom, mimo że rzeczywista prawda była zupełnie inna. Przebrnięcie przez te bzdety wymaga nieraz naprawdę dużego samozaparcia. Szkoda, że nasze „orły” z Sejmu nie znają głównego zadania polityki – to nie kto ma rządzić, lecz jak zorganizować państwo i rząd, by nawet źli i niekompetentni politycy nie mogli spowodować zbyt wielu i zbyt wielkich szkód. Niestety, nasi posłowie to amatorzy z pensjami profesjonalistów. Przynajmniej na razie. Ale nie traćmy nadziei. „Panta rhei” – wszystko na świecie jest zmienne.

*

Rzeczywiście Michałowi wystarczyły trzy godziny. Położył przed Markiem kopie umów od notariusza i kwity opłat.

– W tych urzędach to jest teraz gorzej niż przedtem – był wyraźnie zdegustowany.

– Dopóki nie masz ochoty udusić gołymi rękami urzędnika, to traktuj sytuację jako normalną – pocieszył go Marek. – Tutaj masz klucze od swojego biura. Jak będziesz chciał coś zmieniać, to już we własnym zakresie. Na tej kartce masz dwa nazwiska i telefony do nich. To są kandydaci na głównego księgowego. Obydwaj są dobrzy, ale wybierz tego, który ci będzie odpowiadał. Tu jest wersja polska i angielska biznes planu poszerzona o te elementy, o których mówiłeś. Angielskie wersje są dwie, bo jedną będziesz potrzebował jako załącznika do wniosku kredytowego. Oddzielnie masz gotowy wypisany wniosek kredytowy i wzór umowy kredytowej, a wszystko po angielsku. Wzór umowy kredytowej jest już uzgodniony z bankiem. Na miejscu musisz porównać ten tekst z tym, który ci dadzą na miejscu. Słowo po słowie. Za to odpowiadasz swoją głową. Jeżeli znajdziesz zmianę, to grzecznie i stanowczo żądaj sprostowania. Jakby to nie pomogło – dzwonisz do mnie. Przed wyjazdem dasz do przetłumaczenia wszystkie dokumenty firmy dotyczące jej stanu prawnego i akt notarialny nabycia nieruchomości. Kredyt jest poręczony przez mojego współnika ze Stanów Zjednoczonych i przez niego ubezpieczony. Sugeruję, abyś się zatrzymał w hotelu Orient. To jest prawie naprzeciwko banku i odpada kłopot z parkowaniem. Tu jest wizytówka oficera bankowego, który ma ciebie obsługiwać. Twoja znajomość niemieckiego jest tak dobra, że bez problemu się z nimi porozumiesz. Jak zauważysz, że coś ci nie pasuje, dzwoń od razu do mnie. Przejrzyj to teraz i jak będą wątpliwości, to zaraz wyjaśnię.

Michał trochę przytłoczony tą lawiną informacji wziął przygotowane papiery. Tak jak się Marek spodziewał, przede wszystkim zainteresowały go warunki udzielenia kredytu.

– O rany! To jest pięć milionów „zielonych”. Kredyt na 10 lat plus dwa lata karencji w spłatach. Oprocentowanie roczne 1,25%. To niemożliwe, żeby takie warunki mogła dostać polska firma! – Michał aż się kręcił na krześle.

– Możliwe, możliwe. Trzeba znać tylko właściwych ludzi i przed-

stawić sensowny projekt. Gdyby własny rząd nie podstawił nam nóg, to gospodarka wyglądałaby zupełnie inaczej. Jest tylko jeden zasadniczy warunek. Te pieniądze można zużyć tylko na zrealizowanie faktycznej inwestycji. Nie ma mowy, żeby je włożyć na konto, a później oddać i różnicę w oprocentowaniu zostawić dla siebie, jak zrobiłaby większość naszych cwaniaków. Wykluczona jest także możliwość, że te pieniądze po prostu zginą gdzieś po drodze. Zresztą pomyśl, ile jest wart na Zachodzie taki teren w górskiej miejscowości opisany w akcie notarialnym, który masz przed sobą? – Marek czekał na odpowiedź.

– No, biorąc pod uwagę że jest to parę kilometrów kwadratowych powierzchni, to pewnie jakieś cztery – pięć milionów dolarów.

– Mniej więcej. Tylko że po zrobieniu tej inwestycji będzie to warte dwa razy więcej. Dajemy ten teren jako zabezpieczenie z naszej strony na czas trwania umowy kredytowej. Jak zobaczysz w biznes planie, to realna spłata kredytu może już nastąpić po pięciu latach. Policzyłem, że przez siedem miesięcy naszego sezonu przewinie się tam 30 tysięcy ludzi. Licząc od każdego po 50 dolarów już mamy półtora miliona dolarów brutto. Dalej rachunek jest już prosty. Oni tam potrafią dobrze liczyć i na pewno przyjmą, że zaniżyliśmy wpływy. Zupełnie możliwe, że zaproponują ci inne, lepsze warunki, ale twoja głowa w tym, jak grzecznie odmówić. Bierzemy to, co zostało ustalone.

– Dobrze. Zrobię tak, jak mówisz. Będę informował na bieżąco, a teraz odmeldowuję się! – Michał żartobliwie zasalutował do gołej głowy i już go nie było.

Marek patrząc za wychodzącym Michałem pomyślał, że w tym momencie został zakończony pierwszy etap przygotowań do poszukiwań. Przebiegł w myślach to, co zostało zrobione i czy po drodze nie zrobił gdzieś piramidalnego błędu. Nic odkrywczego nie przychodziło mu do głowy. Pozostała jeszcze do wyjaśnienia sprawa pomnika u kamieniarza, ale nie wiązał już teraz z tym wielkich nadziei. Pozostało czekać do wiosny i zacząć szukać.

Michał zgodnie ze swoją zapowiedzią dzwonił i referował jak sprawy wyglądają. Na trzeci dzień zadzwonił w południe i zakomunikował, że wszystko ma załatwione. Za chwilę wsiada do auta i rusza w drogę powrotną. Jutro rano o godzinie 9. będzie w biurze u Marka.

*

Faktycznie nie było jeszcze dziewiątej, gdy Michał przyjechał.

– Prawie wszystko było tak jak przewidziałeś – zaczął swoją relację sadowiąc się z filiżanką kawy w fotelu dla gości w gabinecie Marka. – Rzeczywiście te dane z biznes planu potraktowali jako ewidentnie zaniżone. Im wyszło, że powinno się tam w sezonie przewinąć 50 tysięcy klientów i każdy powinien zostawić około 100 dolarów. Zaproponowali mi kredyt w wysokości 5 milionów na takich samych warunkach. Zasugerowali, że 10% z tego mogę dostać jako prowizję, jeśli zgodzę się przyjąć na udziałowca w spółce inwestora, który wyłoży te pieniądze. Molestowali mnie tak długo, dopóki nie powiedziałem, że 90% udziałów jest twoje i żeby rozmawiali z tobą. Wtedy odpuścili. Żadnych innych podchodów już nie było, ale nie chciałbym mieszkać w Luksemburgu. Wszystko jest tam cholernie drogie. Teraz Viking jest wypłacalny i mogę zwrócić pieniądze za ziemię i samochód.

– Cieszę się, że nie dałeś się kupić. Z tym płaceniem to poczekaj, aż księgowy uruchomi swoje królestwo i uzgodnicie sobie zasady współpracy. Ja mam inną propozycję. Jak nie chcesz odpocząć po wyjeździe to jutro wybierzemy się do Kopacza. Każdy swoim samochodem. Myślę, że na wyjazd trzeba liczyć dwa – trzy dni. Ja zadzwonię i uprzedzę o przyjeździe. O 10. rano spotkalibyśmy się w pensjonacie i później już pojedziemy razem jednym samochodem.

– Dobrze. Nie ma sprawy – Michał był tak zadowolony, że zgodziłby się na każdą propozycję, jaką by mu złożono w dniu dzisiejszym.

*

W następnym dniu prawie w tym samym czasie podjechali do pensjonatu Malwa. Marek został przywitany jak stary, dobrze znany klient. Zamówili sobie pokoje na dwa dni z możliwością przedłużenia i pojechali samochodem Michała do Borowskiego. Ten, jak już ich zdążył do tego przyzwyczaić, był znowu ze wszystkim na bieżąco. Działka, na której można posadzić drzewa do sterowania zimnym powietrzem, jest własnością prywatną. Właściciel mieszka w Kaliszu i tutaj zostały podane jego dane. Te tereny zostały przeznaczone przez gminę w ich planach zagospodarowania przestrzennego na zalesienie i nic tam nigdy innego nie będzie. Są więc praktycznie bezwartościowe dla jakiegokolwiek inwestora. Mało tego. Jest zupełnie możliwe, że gmina w którymś momencie, gdy będzie miała środki na zalesianie, to zrobi to na swojej

części terenu i pozostałym właścicielom może nakazać zrobić to samo. Ten ewentualny przymus zalesienia w przyszłości zdecydowanie obniżał cenę tej ziemi.

Przedstawili swoje zamiary dotyczące kupna pomieszczeń na biura i domu dla nich. Borowski chwilę się zastanawiał i stwierdził, że jedyne, co mu przychodzi na myśl to, może któryś z budynków po zlikwidowanych Zakładach Przemysłu Lniarskiego „Diana”, które są może nie w samym centrum, ale znowu nie tak daleko od niego. Zresztą nie jest to daleko od siedziby gminy, więc mógłby im to pokazać od ręki. Co do domu na prywatny użytek, to poleca biuro nieruchomości, które znajduje się ulicę dalej. Pojechali zobaczyć obiekty po zlikwidowanym zakładzie. Zaparkowali przy okazałej kiedyś bramie wjazdowej na teren zakładu, a Borowski wskazał ręką na stojący samochód przy budynku i powiedział.

– Mamy szczęście. To samochód syndyka. Ostatnio rzadko przyjeżdża, ale dzisiaj widocznie coś go przygnało. To jest cwaniak. Już dwa razy zrobił naszą gminę na szaro. Tak pomataczył przy sprzedaży części majątku przedsiębiorstwa, że nie zobaczyliśmy ani złotówki a jest nam sporo dłużny za podatek gruntowy i od nieruchomości.

Weszli do środka i po odszukaniu syndyka Borowski dokonał prezentacji i dodał:

– Ci panowie mogą być zainteresowani kupnem pomieszczeń biurowych. – Markowi wydało się, że facet aż kwiknął z radości, gdy to usłyszał.

– Panowie! Mam tutaj wspaniałe pomieszczenia na biura. Do koloru do wyboru.

– Jak można obejrzeć, to bardzo prosimy o prezentację – odezwał się Michał.

Oglądali na spokojnie to, co im syndyk pokazywał, a ten ani na chwilę nie przestawał zachwalać, jaki to skarb architektury może im zaofiarować i to za bardzo korzystną cenę. Wracając z tej wizji lokalnej Marek i Michał zostali nieco w tyle i okazało się, że obydwaj postawili na niewielki budynek przylegający do terenu zakładu, który można było łatwo wydzielić z całości, a ponadto było tam jeszcze sporo miejsca na zrobienie parkingu. Jako ostatni weszli do pokoju syndyka.

– I co? Znaleźliście panowie coś odpowiedniego? – syndyk był wy-

rażnie podekscytowany.

– Może nas interesować ten budynek przy zakładzie wraz z placem przed nim – zaczął Michał.

– Widzę, że panowie znacie się na nieruchomościach. Wybraliście najlepszy obiekt.

Marek pomyślał, że facet mógłby spokojnie sprzedawać używane samochody.

– Jak będziecie panowie płacić?

– Przelewem po 15 dniach od daty podpisania aktu notarialnego.

– Panowie są prawnikami?

– Nie.

– Rozumiem. Panowie się dodatkowo zabezpieczycie, a jak będzie z wiarygodnością przelewu.

– Nasz bank wystawi dla pana potwierdzenie o stanie naszego konta. Oczywiście nie dostanie pan wyciągu o stanie z danego dnia, ale w piśmie będzie informacja z ilu cyfr składa się wielkość naszych środków obrotowych. Będzie to liczba ośmiocyfrowa.

– No tak. To by oznaczało, że nie będzie problemów z regulowaniem należności. W takim razie przejdźmy do meritum sprawy. Ile chcecie panowie zapłacić?

– Jak najmniej. Nie znamy tutejszych cen i czekamy na pańską propozycję – Michał był konkretny.

– No tak! Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności to..... proponuję kwotę 200 tysięcy złotych. – wypalił z błyskiem w oku syndyk.

Marek zaczął się śmiać, a Michał tylko pokiwał głową.

– Pan nas chyba z kimś pomylił – Marek nadał się jeszcze uśmiechał.

– Kolega jest prezesem zarządu, a ja szefem rady nadzorczej w naszej spółce i prowadzimy normalną działalność gospodarczą. Nie zajmujemy się niesieniem pomocy charytatywnej. Myślę, że zgodzi się pan ze mną, że cena powinna zadowolić zawsze obie strony. - Na słowa „cena” i „zadowolić” Marek położył szczególny nacisk. Chciał zobaczyć czy syndyk złapie haczyk.

– Ma pan rację, ale to wymaga dwustronnych uzgodnień. Jak wszystko dokładnie ustalimy, to możemy od ręki podpisać dzisiaj umowę. Sam jestem prawnikiem i służę swoją pomocą.

– Bystry jak woda w sraczu – pomyślał Marek. – Jak tylko usłyszał,

że jest możliwość wzięcia w łapę, to już chce gadać w cztery oczy i postanowił zakończyć zabawę.

– Jak pan słusznie zauważył, na jednym może się trochę znamy na drugim trochę mniej, ale biorąc też wszystko pod uwagę, to proponujemy cenę 60 tysięcy płatne przelewem lub 40 tysięcy płatne w kasie naszego przedsiębiorstwa. Umowa będzie konsultowana z naszym prawnikiem, profesorem Jackiem Wyrwą.

– Tym od prawa gospodarczego? – syndyk był wyraźnie przygaszony.

– Tak. – Marek obserwował go z ciekawością. Wyraźnie widać było, jak chciwość toczy walkę z rozumem.

– Tylko, że tu jest zbyt duża różnica między ceną wywoławczą, a oferowaną – próbował się jeszcze targować.

– Słuszna uwaga. Tylko musi pan zrozumieć, że my się zajmujemy zarabianiem pieniędzy, a nie ich rozdawaniem. Jeżeli to panu odpowiada, to w ciągu 48 godzin potwierdzimy naszą ofertę, a w tym czasie obejrzymy także inne lokale.

– Niechętnie, ale zgadzam się.

– W takim razie umowa stoi – Marek podał rękę na przybicie transakcji i równocześnie się żegnał. – Odezwiemy się tak, jak to uzgodniliśmy.

W drodze do samochodu Borowski odezwał się.

– Zrobiliście go bez mydła. Praktycznie kupiliście to za 40 tysięcy. Nie pójdzie na przelew, bo wie, że powiem o tym burmistrzowi i położymy mu łapę na tych pieniądzach. A sprzeda, bo drugiego klienta nie znajdzie tak szybko. Z wami to można konie kraść.

Obydwaj potraktowali to jako komplement i podziękowali skinieniem głowy. Odwożąc Borowskiego z powrotem do pracy zaprosili go na małą wódkę do siebie na wieczór. Zaproszenie zostało przyjęte, ale termin przesunięto na jutrzejszy wieczór. Zostawili go przed urzędem i pojechali do biura nieruchomości.

*

W biurze nieruchomości zastali samego właściciela. Gdy mu wyjaśnili, co ich sprowadza, wyraźnie poweselał. Początkowo myślał, że przychodzą z ofertą sprzedaży, bo ostatnio tylko takich miał klientów. Miał na stanie ponad sto ofert sprzedaży nieruchomości. Po uwzględ-

nieniu ich preferencji zostało z tego 32 adresy. Razem z właścicielem biura pojechali, żeby je obejrzyć z zewnątrz i wytypować te, które chcieliby obejrzyć od wewnątrz. Okazało się, że są tylko dwa takie domy, które mogą ich interesować. Reszta oferty była bardziej próbą namówienia ich do kupna jakiegokolwiek nieruchomości, bo a nuż się uda. Umówili się na oglądanie w dniu jutrzejszym od 8. rano, bo w międzyczasie zadzwonił burmistrz i zapraszał na jutro, na spotkanie do siebie o godzinie 12. i sądzili, że cztery godziny swobodnie im na to wystarczy.

Czasu wystarczyło aż nadto. Pierwszy adres okazał się totalnym nieporozumieniem. Właściciel widząc możliwość sprzedaży podniósł cenę o prawie 50%, bo jak im oświadczył, to wyczytał ostatnio, że nieruchomości poszły w górę. Przy drugim domu zdziwili się z kolei oni. Właściciel biura wyjął z kieszeni klucze i otworzył furtkę wejściową na posesję. Widząc ich zdziwienie wyjaśnił, że właściciele na początku ubiegłego roku wyjechali na stałe za granicę i upoważnili miejscowego notariusza do sprzedaży tej nieruchomości, a ten z kolei złożył ofertę jemu. W trakcie tych wyjaśnień zadzwonił jego telefon komórkowy i jak się zorientowali, jego żona pilnie chciała go widzieć. Trochę zmieszany wyjaśnił, że musi teraz pojechać w pilnej sprawie, ale zostawi im klucze i niech sobie obejrzą całość, a później klucze mogą zostawić u niego w biurze.

Prawdę mówiąc to ta lokalizacja podobała się Markowi najbardziej. Co prawda właściciel biura wyjaśnił im, że teraz to jest najbardziej zaniedbana dzielnica miasta. Mieszkają tu głównie pracownicy zlikwidowanych zakładów lniarskich i nie mają już takiej siły przebicia jak poprzednio i w dzielnicy prawie nic się nie remontuje i nie buduje. To akurat nie było najważniejsze dla nich. Działka z domem znajdowała się na końcu ulicy liczącej raptem cztery numery. Nazwanie tej ulicy Jaworową wydawało mu się pomyłką, bo drzewa tu rosnące wyglądały mu na jarzębinę, ale to można będzie sprawdzić dopiero wiosną. Cała ulica położona była na niewielkim wzniesieniu po stronie południowej, a stronę północną zajmował park z drogą dla rowerów, teraz wyraźnie zaniedbany. Działka wyglądała na dużą. Jakies 80 na 50 metrów. Nie była idealnie równa, bo wyraźnie widać było pochylenie gruntu w stronę drogi. W lewym i prawym narożniku z przodu działki stały wspaniałe

okazy włoskiego orzecha. Wyglądało to tak, jakby te dwa drzewa stały na straży posesji. Lewą i prawą stronę działki, a także i tył, okalała piękna zielona ściana. Tworzyły ją świerki różnych gatunków. Szczególnie pięknie wyglądały srebrne świerki. Te drzewa posadzone jakieś pięćdziesiąt lat temu występowały teraz w pełnej krasie. Widać było, że ten kto był tutaj pierwszym gospodarzem, wiedział, co robi. Dom został zbudowany w 1939 roku sądząc po liczbie widniejącej u szczytu dachu. Do budowy używano miejscowego kamienia i drewna. Od furtki wejściowej do drzwi domu było 10 metrów szerokiego na metr chodnika ułożonego ze szlifowanych płyt granitowych. Drzwi wejściowe wykonane z litego dębu wytrzymały próbę czasu i jeszcze dzisiaj prezentowały się okazale. Za nimi zaczynał się wygodny korytarz prowadzący do przestronnego salonu. Dotykając ściany korytarza wyczuł pod ręką drewno. Tak więc mało gustowna tapeta w kolorowe kwiatki skrywała pod sobą drewnianą boazerię, a cymbał, który wytapetował korytarz musiał być pod przemożnym wpływem obowiązującej wówczas mody. Salon zajmował lewą stronę i był bardzo przestronny. Jakies 60 metrów kwadratowych. Na wprost, prawie całą szerokość zajmowała przeszklona ściana z dużymi drzwiami prowadzącymi na taras. Środek prawej ściany zajmował kominek zbudowany z naturalnego kamienia, teraz radykalnie zeszcpeczony wstawioną plastikową imitacją palącego się ognia. Resztę powierzchni parteru zajmowała duża kuchnia wraz z przylegającym do niej pokojem i sporej wielkości ubikacją. Pokój przy kuchni pełnił pewnie kiedyś rolę jadalni i był połączony z kuchnią drzwiami, ale poprzedni gospodarze zamurowali je i teraz były to dwa oddzielne pomieszczenia. Podłoga pomalowana była farbą olejną w kolorze jasnej sraczki. Niemniej można się było domyślać istnienia parkietu pod jej powłoką. Z sufitu wystawały niezakryte tynkiem szerokie drewniane belki stanowiące część konstrukcji nośnej stropu. Drewniane schody prowadzące na górę i poręcz też pomalowano na olejno w kolorze już bardziej stonowanym na brązowo. Na piętrze znajdowało się pięć pokoi i duża łazienka. Piwnica za to kryła niespodziankę. Była zbudowana tak masywnie, że wyglądała jak schron. Zainstalowane tam metalowe drzwi jeszcze bardziej dopełniały ten obraz. Dopiero po dłuższej chwili Marek skojarzył sobie, że dom był budowany już w okresie, gdy niemieckiego inwestora obowiązywał przepis nakazujący bu-

dowę schronu w każdym nowo budowanym domu. Skoro tak, to powinno tu być też i zapasowe wyjście, bo tak nakazywały ówczesne wytyczne. Dodatkowo Michał odkrył, że cała instalacja wodociągowa, centralnego ogrzewania i elektryczna wykonana była z miedzi. Pomyślał, że w 1939 roku mogło to być możliwe, bo później prywatny niemiecki inwestor nie dostałby na to zgody. W sumie całość sprawiała przyjemne wrażenie i po dokonaniu remontu nadawałaby się dla nich wręcz idealnie. Jak cena będzie normalna, to biorą to zaraz. Z tą myślą, po zamknięciu drzwi, wyszli na ulicę.

*

– Przepraszam, czy panowie będą to kupować? – starszy człowiek, który zadał im to pytanie musiał już tam czekać na nich dłuższy czas bo jego policzki i nos były zaróżowione od ostrego zimowego powietrza.

– Mamy taki zamiar – odpowiedział uprzejmie zaciekawiony Marek, a Michał skinął głową.

– A dlaczego pan pyta?

– Bo widzicie panowie, ja mieszkam w tamtym domu. – wskazał dom pod numerem drugim. – Jestem też właścicielem tej działki – tu wskazał na niezabudowaną działkę sąsiadującą z tą, na której stał dom, z którego wyszli – i chętnie sprzedałbym to razem taniej niż zapłacicie za ten budynek, co go oglądaliście.

– Jest to dość niekonwencjonalna propozycja – odpowiedział Marek. – Może by pan to wyjaśnił dokładniej.

– No tak.... Ja przepraszam, że tak zaczepiłem na ulicy, ale to była dla mnie jedyna możliwość nawiązania kontaktu. Ja tą drugą działkę kupiłem z myślą o synu, że się tu wybuduje i będzie mieszkał po sąsiedzku. Tak się złożyło, że jeździł na robotę do Niemiec i tam poznał kobietę, z którą się później ożenił. Już od 10 lat ma obywatelstwo niemieckie i tu nie wróci. Chce, żebym ja z żoną sprzedał dom i przyjechał do niego. Powodzi mu się dobrze i może nam zapewnić lepsze warunki na starość, niż my mamy tutaj. Ale jak tam pojedziemy i to zostawimy bez opieki, to przecież wszystko rozkradną do fundamentów. Dlatego też ośmieliłem się zaczepić panów i złożyć propozycję sprzedaży.

– Rozumiem pana – Marek rozważał w myślach plusy i minusy złożonej propozycji. – Jaką sumę ma pan na myśli? Wymieniona kwota nie

była duża i pod wpływem intuicji podjął decyzję, że kupi, ale chciał mieć jeszcze trochę czasu na przemyślenie.

– Jutro do południa przyjadę do pana i powiem, na co się zdecydowałem.

– Ależ oczywiście! To pan tu decyduje. Będziemy z żoną czekać. Do widzenia panom! – ich przyszyły lub niedoszły sąsiad z rewerencją uchylił ronda kapelusza noszącego widoczne ślady długotrwałego użytkowania.

Wsiadli do samochodu i Marek wyjaśnił Michałowi, co spowodowało, że tak się zachował. Otóż jeżeli kupi się te dwie parcele, to mogą mieć ulicę praktycznie dla siebie. Każdy obcy będzie natychmiast widoczny i nie będzie miał żadnego pretekstu do szwendania się po okolicy. A po za tym będą mieli święty spokój i nikt nie będzie im zaglądał w garnki.

– Skoro tak uważasz, to kup to – Michał nie był specjalnie zainteresowany tematem.

Mieli jeszcze trochę czasu do umówionego spotkania z burmistrzem i korzystając z tego podjechali do biura nieruchomości i po usłyszeniu ceny zadeklarowali chęć kupna. Nabywcą miała być spółka Viking. Pośrednik obiecał, że postara się przygotować podpisanie aktu notarialnego na jutro w południe i potwierdzi to jeszcze telefonicznie.

*

Na spokojnie o godzinie 12. pojawili się w sekretariacie burmistrza. Zaraz też poproszono ich do środka. W użyciu był dzisiaj stół konferencyjny. Oprócz burmistrza i sekretarza gminy, których już znali, było jeszcze obecnych dwóch nieznanym im ludzi. Okazało się, że jeden to przewodniczący komisji finansów, a drugi jest szefem komisji planowania i zagospodarowania przestrzennego w gminie. Byli przygotowani do takiej rozmowy.

Michał jako szef firmy dokonał oficjalnego przedstawienia projektu, który ma być realizowany. Na terenie zakupionym od gminy zostanie zbudowany wyciąg narciarski, który będzie obsługiwał dwie trasy narciarskie o długości ponad 5000 metrów każda. Jedna będzie przeznaczona dla osób średnio zaawansowanych, a druga dla umiarkowanych już dobrze jeździć. U podnóża powstanie parking na 300 samochodów osobowych i 10 autobusów. Tam również będzie postawiony pawilon,

który pomieści restaurację z barem szybkiej obsługi, wypożyczalnię sprzętu narciarskiego i odpowiednią ilość toalet. Z tyłu znajdują się pomieszczenia dla zaplecza technicznego obsługującego wyciąg. Obok zostanie przygotowane lądowisko dla helikoptera. Szkołka narciarska dla początkujących będzie zlokalizowana 200 metrów dalej. Cała trasa będzie ogrodzona i oświetlona na całej długości. Zostaną zainstalowane kamery monitorujące cały teren z ośrodkiem kontrolnym w pawilonie. Nad bezpieczeństwem turystów i porządkiem na całym terenie będą czuwać własne służby porządkowe. Na szczycie trasy zostanie poszerzona platforma widokowa tak, aby zmieścił się tam pawilon z barem szybkiej obsługi i wygodną, dużą salą rekreacyjną. Do realizacji prac nie wymagających specjalnych uprawnień zostaną zaproszone miejscowe firmy. Jeżeli zaczną wariować z cenami, to zostaną wybrane te firmy, które wykonają roboty zgodnie z ich wymaganiami za niższą cenę. Biura firmy będą się mieścić w budynku kupionym od syndyka zakładów lniarskich.. Całość inwestycji zostanie sfinansowana ze środków własnych firmy. Dzięki dodatkowemu naśnieżeniu trasy sezon narciarski będzie trwał od października do połowy kwietnia. Zatrudnienie w tym czasie znajdzie 100 – 130 osób. W okresie letnim spadnie do 1/3, chyba że znajdzie się pomysł na wykorzystanie obiektu w tym okresie. Szacuje się, że w pierwszym roku z trasy skorzysta 20 do 25 tysięcy turystów, a w drugim po stosownej reklamie od 35 do 50 tysięcy. Średnio każdy z nich powinien zostawić tu ponad 100 złotych liczonych na jeden dzień pobytu. Od gminy oczekujemy, że zostaną nam wydane stosowne zezwolenia i pozwolenia, a ponadto uzyskamy zwolnienie od opłat z podatku gruntowego i od nieruchomości na okres pięciu lat. Jeżeli sprawy formalne w gminie załatwimy do końca marca, to cała inwestycja zostanie oddana do użytku 1. października tego roku. Będzie to najładniejsza trasa narciarska w kraju i jedna z dłuższych, a na pewno czynna najdłużej w sezonie.

Michał podziękował skinieniem głowy za uwagę i zamilkł. Zapadła cisza. Pierwszy otrząsnął się burmistrz: – Ten projekt podobał mi się i go popieram. To, co nam pan prezes zreferował, to brzmi prawie jak bajka. Tylko, sądząc po szczegółach, to jest rzeczywista bajka. Jeżeli to wszystko ruszy, to możemy jako gmina odbić się od dna. Mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że dołożę wszelkich starań, aby spr-

wy formalne nie były przeszkodą.

– Panie Stefanie! – to już było skierowane do szefa od finansów – Ile takie zwolnienie będzie kosztowało nas w budżecie gminy?

– To trudno tak na gorąco dokładnie powiedzieć, ale szacunkowo to w skali roku około 60 tysięcy, a biorąc pod uwagę okres pięciu lat to suma nie powinna przekroczyć kwoty pół miliona złotych.

– A ile gmina zyska pośrednio na tej inwestycji?

– To jeszcze trudniej oszacować, ale przyjmując duże uproszczenie, to z tych ponad stu złotych od turysty około dwudziestu złotych traf do kasy gminy.

– Czyli darujemy im 60 tysięcy rocznie, a w okresie sezonu narciarskiego co miesiąc wpływa nam 200 tysięcy. Przez siedem miesięcy to jest prawie półtora miliona złotych. To jest spora część naszego obecnego budżetu. Niech pan to policzy trochę dokładniej i przygotuje do tego projekt stosownej uchwały na najbliższą radę.

Markowi burmistrz podobał się coraz bardziej. Lubił ludzi, którzy po ocenie sytuacji zaraz podejmowali decyzje i konsekwentnie je później realizowali, biorąc za to odpowiedzialność na siebie. Tu sytuacja była już jasna – zwolnienie z opłat mieli przyznane.

– A czy u pana będą jakieś przeciwwskazania? – to już było skierowane do szefa od planowania przestrzennego.

– Odpowiadając tak od ręki, to w tej chwili nie widzę żadnych poważniejszych problemów, a jeśli się takie pojawiają, to powinniśmy je pozytywnie rozwiązać. Mam jednak pytanie do pana prezesa. Czy ta ilość spodziewanych turystów jest rzetelnie oszacowana?

– Tak. Nasze szacunki są raczej zaniżone i oparte na wynikach, jakie osiągają podobne obiekty w kraju i za granicą – odpowiedź Michała była zdecydowana.

– Jeśli tak, to ja tu widzę pewien problem. Wychodzi mi, że dziennie w sezonie przyjedzie do nas około 300 osób. Wszyscy ci ludzie będą oczekiwać odpowiedniej obsługi. Będą chcieli przenocować, dobrze i tanio zjeść, znaleźć miejsce dla zaparkowania samochodu, a wieczorem zechcą się zabawić. Trzeba przyjąć, że wszyscy przyjadą swoimi samochodami, bo praktycznie nie ma tu teraz innego dojazdu. Na dzień dzisiejszy ledwo moglibyśmy przyjąć i obsłużyć taką liczbę turystów. W dni weekendowe ta liczba wzrośnie do tysiąca czy więcej i wtedy

mamy totalną niewydolność wszystkich systemów w gminie i ulice zakorkowane samochodami. Z tego co usłyszałem, to z taką ilością osób bez problemu poradzi sobie trasa narciarska i jej zaplecze logistyczne, ale to nie rozwiązuje naszych problemów. A może pan prezes coś nam tutaj podpowie?

Michał wyrwany w ten sposób do odpowiedzi nie bardzo wiedział, co zrobić i Marek pospieszył mu z pomocą.

– Te uwagi są bardzo celne i zasadne. My sami byśmy poruszyli ten problem, ale zostaliśmy wyprzedzeni – tu Marek skłonił głowę w kierunku szefa planowania i był mu autentycznie wdzięczny, że to on poruszył pierwszy ten temat. Gdyby to oni zaczęli, to na pewno znaleźliby się ludzie, którzy natychmiast by ich posadzili o próbę wyciągnięcia pieniędzy z gminy na dofinansowanie ich inwestycji. Tak zaś sprawa wyglądała zupełnie inaczej i mógł to wykorzystać w swojej dalszej wypowiedzi:

– Na pewno nie można zmusić prywatnych przedsiębiorców, aby od ręki zareagowali na zwiększony popyt na usługi hotelarskie i gastronomiczne. Opóźnienie w ich reakcji będzie sięgać co najmniej jednego roku lub więcej i nie jest to dobre, ale takie są realia życia. Myślę, że gdyby gmina już teraz stworzyła jakiś spójny plan ulg finansowych w tym zakresie, to ten okres mógłby ulec znacznemu skróceniu. Na pewno będziemy mogli pomóc przy dofinansowaniu poprawy infrastruktury drogowej i wodno-kanalizacyjnej. Mam znajomego w Strasburgu, który pracuje w Parlamencie Europejskim i na pewno może on udzielić znacznej pomocy, jeśli gmina wystąpi o przyznanie preferencyjnych kredytów na ten cel. Zresztą już rozmawiałem z nim na ten temat i jest to bardzo realne. Tym bardziej, że przed wojną te tereny służyły jako duża atrakcja turystyczna i być może znajdują się tam ludzie, którzy mogą to jeszcze pamiętać. Nic więcej teraz nie przychodzi mi do głowy.

– I tak jest to znacznie więcej niż mogliśmy oczekiwać – burmistrz przejmował inicjatywę.

– Wykazaliście panowie profesjonalne przygotowanie inwestycji i taki zasób wiedzy, że w przyszłości pozwolimy sobie pewnie z niego jeszcze nieraz skorzystać. Teraz chciałem panom podziękować za dzisiejszą wizytę i myślę, że w niedługim czasie spotkamy się ponownie.

– No tak. Trochę im namieszałyśmy w głowach i muszą to przetra-

wić – pomyślał Marek – i po wymianie stosownych grzeczności pożegnali się.

*

Na obiad pojechali do pensjonatu i zaraz po nim Marek postanowił skorzystać z wolnej chwili i pojechał w sprawie pomnika do kamieniarza, a Michał w swoim pokoju siadł do papierów.

Właściciel firmy wytwarzającej pomniki był niewielkiego wzrostu, z wydatnym brzuszkiem, a wybitnie czerwone policzki i nos świadczyły o tym, jakich napojów jest zwolennikiem.

– Dzień dobry panu! Mam do pana taką nietypową sprawę – Marek próbował ocenić jaką wersję przedstawić, aby przy kieliszku kamieniarz nie przerobił tego na opowieść, która urośnie później do niesamowitego zdarzenia.

– Wie pan zapewne, że muzeum regionalne powstało dzięki społecznym wysiłkom, a głównym prekursorem tej idei był ojciec dyrektora liceum – zawiesił głos i czekał.

– No, o muzeum to słyszałem, ale żeby ktoś był jakimś prekursorem, to nie.

– Jasny gwint! On nie wie, co znaczy słowo prekursor – uświadomił sobie Marek i wyjaśnił:

– Chodzi o to, że on to zaczął robić jako pierwszy w mieście i robił to społecznie. Właściwie to dzięki niemu powstało to muzeum.

– No tak. Teraz to rozumiem, ale co mi do tego!

– W tym roku muzeum będzie obchodziło rocznicę i postanowiono uhonorować pamięć jego założyciela i jako eksponat postawić jego stary pomnik. Ten, co został panu w rozliczeniu roboty za zrobienie nowego nagrobka. – Tu Marek akurat popuścił trochę wodze fantazji, ale czego się nie robi dla dobra sprawy. Nawet przedstawiciel Opus Dei ma odpuszczony grzech kłamstwa, jeżeli uważa, że robi to w zbożnym celu.

– No tak. Coś tam sobie przypominam.

– Muzeum byłoby nawet skłonne to odkupić – podsunął mu pod nos dodatkowy zarobek.

– Czekaj pan! To chyba jeszcze jest.... Tak. Teraz sobie to dokładnie przypominam. To była taka jakaś klejonka. Chciałem z tego odciąć jedną część pasującą na postument pod wazon dla jednego klienta, ale nie udało się. Złamałem dwie tarcze. Chuj wie, czym to jest sklezione. Gdzieś to

pewnie jeszcze leży, bo nie przypominam sobie, że bym wyrzucił.

– Czy można byłoby to odszukać teraz?

– Coś pan! Kto miałby to robić. Nie mam do tego ludzi. A ile muzeum może zapłacić?

– Muzeum nie jest za bogate, ale możemy dać ludzi do pomocy. Zrobią to społecznie.

– Dobrze, że nie „Za Bóg zapłać”, bo jeszcze bym do tego musiał dołożyć. Ja na wiosnę i tak muszę uporządkować teren zakładu, bo przysłali mi takie pismo z urzędu. To niech przyjdą i pomogą mi w porządkach, a wtedy dam ten pomnik. A interes trzeba oblać. Teraz nie ma o czym gadać!

Marek patrzył na totalny bałagan tu panujący i pomyślał, że uporządkowanie tego normalnie kosztowałoby parę razy więcej niż wartość pomnika, ale nie miał specjalnego wyboru.

– Dobrze. Pomożemy panu i zrobimy to, co trzeba. Kiedy możemy zacząć?

– Myślę, że wtedy gdy zrobi się ciepło. Gdzieś na końcu kwietnia.

– W porządku. Zgłosimy się w kwietniu. Do widzenia.

Wracając do pensjonatu Marek z jednej strony cieszył się, że jednak pomnik ocalał i szansa na wyjaśnienie zaszyfrowanej na nim wiadomości nie była stracona. Zdawał sobie sprawę, że musi zdusić w sobie niecierpliwość. Zdrowy rozsądek nakazywał czekać, a ciekawość popychała do natychmiastowego działania. Przeważało to pierwsze.

W pensjonacie zaszedł do pokoju Michała i dowiedział się, że Borowski będzie za dwie godziny, a właściciel biura nieruchomości umówił podpisanie dokumentów u notariusza na 9. rano jutro. Ponadto Michał wyszukał też dwie firmy budowlane z dobrą opinią, którym chce zlecić remont zakupionego domu. Mogliby to jutro załatwić razem. Marek zgodził się.

*

Przed godziną 19. zeszli do sali jadalnej pensjonatu i gdy przynoszono im zamówioną kawę zjawił się Borowski. Zamówienie zostało powiększone o jeszcze jedną kawę. Zanim trzecia kawa wjechała na stół uzgodnili też menu na kolację i do tego butelkę Smirnoffa. Dostali trzecią kawę i przekazali swoje zamówienie. Z ciekawością spoglądali na swojego gościa, bo wydawało im się, że jest czymś wyraźnie

podeksycytowany.

– Panowie, zapoczątkowaliście rewolucję pałacową!

– Żadnych najemników jeszcze nie sprowadziliśmy – zażartował Marek.

– Wiem i nie w tym rzecz – w głosie Borowskiego dało się też wyczuć zadowolenie. – Po waszym wyjściu burmistrz zainteresował się naszą komórką powołaną do współpracy z agendami unijnymi i współpracy z inwestorami zewnętrznymi. Tam szefową jest, a raczej była baba z nadania politycznego. Już za poprzedniej kadencji dostała to stanowisko. Nie miała żadnych kwalifikacji do pracy w administracji, ale miała chody u ekipy wtedy rządzącej i ci nie wiedząc, co nią zrobić, tam ją upchnęli. Było to nowe stanowisko i mało wtedy istotne. W obecnej kadencji zmieniła front polityczny i została tam jako fachowiec, który się sprawdził poprzednio. Ona po prostu nic nie robiła i dlatego wszystkim się wydawało, że się na tym zna. Nie zgłaszała żadnych postulatów i jej sprawozdania były zawsze w porządku, bo zrobione na okrągło. Teraz burmistrz chciał się od niej dowiedzieć coś na temat tego, co pan Marek mówił o pomocy unijnej. Jak się zorientował, że baba jest całkowicie niekumata w temacie, to kazał jej przynieść całą korespondencję na ten temat jaka wpłynęła do gminy i trafiła do niej. On dosyć dobrze zna angielski i nie potrzebuje pomocy tłumacza w tym języku, a cała korespondencja z Unii jest po angielsku. Gdzieś po godzinie wezwał ją ponownie i zaproponował jej, aby napisała podanie o zwolnienie z pracy. Urzędniczka się obraziła i wyszła od niego z gabinetu bez pozwolenia, a w sekretariacie powiedziała do sekretarki, że burmistrz może ją pocałować w dupę, a od zwalniania pracowników to jest kto inny. Jej pech polegał na tym, że interkom w telefonie sekretarki był włączony i burmistrz to wszystko usłyszał. Wszedł do sekretariatu i powiedział babie, że ją zwalnia dyscyplinarnie ze skutkiem natychmiastowym. Ta dostała histerii i zaczęła mu grozić. Ten się wściekł do końca i wezwał komendanta straży gminnej i kazał mu dopilnować, żeby zabrała swoje rzeczy osobiste z biura i wyprowadzić ją z urzędu gminy. To jest afery na cztery fajerki. Całe miasto już o tym mówi. Święta krowa wyrzucona na zbity pysk z roboty i wyprowadzona z pracy przez strażnika gminnego. Tego jeszcze u nas nie było. Każdy do tej pory jej się obawiał, bo zawsze donosiła o tym, co się dzieje w gminie miejscowym notabłom, a

ci chroniąc takie źródło informacji, uczynili z niej w ten sposób osobę nietykalną. Wielu ludzi się z tego naprawdę ucieszyło. A burmistrz miał podstawy, aby ją wyrzucić i to abstrahując od jej zachowania. Znalazł w papierach unijnych informację o bezzwrotnych dotacjach na modernizację sieci wodociągowej i kanalizacyjnej. Nasza gmina spełniała wszystkie warunki, aby ją otrzymać. Termin zgłoszenia minął miesiąc temu. Były też nawet dwie oferty inwestycyjne od niemieckich firm, które wpłynęły jeszcze wcześniej. Ona nie wysłała żadnej odpowiedzi ani zapytania na żadne pismo, które otrzymała. Funkcjonowała jak czarna dziura. Informacja wpływała i ginęła u niej w szufladzie. Wszystko to wiem od sekretarki burmistrza i musiałem o tym powiedzieć, bo to może mieć teraz znaczenie dla waszej inwestycji. Ktoś musi być winnym rozpętania tej afery i kto wie, czy nie padnie to na was.

– Wypijmy! – Marek podniósł w górę kieliszek i równocześnie zanotował w pamięci, że później trzeba sprawdzić, jakie to były niemieckie firmy i co proponowały. – Nie powiem, żebym się z tego ucieszył. Czułem, że za dobrze się wszystko układa i coś musi gdzieś pierdolnąć. To że mamy od tego momentu wrogów, to ma pan całkowitą rację. Jak to się odbije na realizacji inwestycji, to się dopiero okaże.

– Nie będzie tak źle. Kadencja burmistrza upływa w przyszłym roku i na pewno do tego momentu możecie liczyć na jego poparcie. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale wrogów może wam przybyć, bo burmistrz chce się przyjrzeć całej administracji gminy od strony efektywności i kompetencji w pracy. Jest więcej niż pewne, że parę osób wyleci z roboty, jak burmistrz będzie konsekwentny w ocenie pracowników.

– No to rysują się interesujące perspektywy – Michał nappełnił ich kieliszki i podniósł swój do góry. – Zdrowie!

Marek i Borowski zgodnie wychylili swoje kieliszki, a Michał ledwie umoczył usta.

– Panie prezesie! Pan jest niepijący czy może źle się pan czuje? – Borowski próbował dociec, dlaczego kieliszek Michała mimo paru toastów jest prawie nadal pełny.

– Akurat nie przepadam za tą używką – lakonicznie wyjaśnił Michał.

– To może zmienimy gatunek wódki?

– To nie w tym rzecz. On naprawdę nie pije i nie pali – wyjaśnił

Marek. – Nie mamy co liczyć na jego pomoc w opróżnieniu tej butelki, ale toleruje tych, którzy to robią i nie wygłasza pouczających komentarzy. Ja już się do tego przyzwyczaiłem i to samo czeka tych, którzy będą z nim pracować.

– No cóż. Trudno! Poradzimy sobie sami z tą butelką. Ale prezowski może być nieraz ciężko rozmawiać u nas z ludźmi bez tego argumentu.

– Mam opanowany ten temat. Mogę zaraz podać nazwę choroby, która uniemożliwia mi spożywanie alkoholu – Michał powiedział to z uśmiechem.

– Faktycznie, to jest rozwiązanie. Ludzie najwyżej będą panu współczuć, a nie podejrzewać o nieczne zamiary, jakie może budzić niepijący w towarzystwie – Borowski przyjął to ze zrozumieniem.

– Gdy tylko zakończymy sprawę kupna budynku na biura, to poproszę, aby pańska żona przyjechała do Poznania na rozmowę z głównym księgowym i jak się dogadają, to powierzę jej kierowanie działem księgowości tu na miejscu. – Michał pamiętał o obietnicy złożonej przez Marka.

– Bardzo dziękuję za pamięć – Borowski był wyraźnie zadowolony. – A co panowie myślą o tej ziemi, gdzie można posadzić ten „zielony węgiel” do sterowania zimnym powietrzem?

– Chyba wykorzystamy pana pomysł, ale jeszcze musimy trochę poczekać na wyniki badań – odparł Marek i widząc pytające spojrzenie zaczął wyjaśniać dalej. – Udało mi się wyciągnąć od meteorologów dane dotyczące rozkładu temperatury, opadów i wiatrów wiejących na tym terenie za ostatnie lata. Wraz z dokładną mapą warstwicową terenu oddałem to wszystko do znajomych z Instytutu Meteorologii u nas na Uniwersytecie i poprosiłem o odpowiedź na parę pytań. Czy taki pomysł jest realny i jeśli tak, to jaki kształt powinna mieć taka ściana. Jak zmienią się rozkłady wiatrów i temperatura na stoku, gdzie będzie trasa narciarska, gdy dodatkowo oczyścimy ten teren ze zbędnych krzaków i drzew i wyprofilujemy go pod potrzeby trasy zjazdowej. Te dane pozwolą nam dodatkowo wyznaczyć najlepsze miejsca, gdzie najlepiej ustawić sprzęt do dodatkowego naśnieżenia trasy. Myślę, że już niedługo powinno to być gotowe.

– Widzę, że nic nie pozostawia pan przypadkowi – Borowski z

uznaniem kiwał głową. – Nie odrzuca pan nawet niby niedorzecznego pomysłu, ale to co można sprawdzić, to jest weryfikowane. Przy takim podejściu do spraw, to pewnie wszystko się panu udaje.

– Nie ma ludzi nieomylnych. Błędów nie robi ten, co nic nie robi, a i to w samym sobie może być błędem – wygłosił sentencję Marek.

– Nie wiem, czy to będzie błąd, czy nie, – zaczął Michał nalewając im do kieliszków – ale ta butelka jest już pusta. Jak chcecie to możemy zamówić następną.

Obydwaj zgodnie odmówili. Jutro jest dzień roboczy, a okazja jeszcze będzie, żeby się spotkać. Uznali, że wieczór był udany i pożegnali się.

*

U notariusza byli o oznaczonej porze i po załatwieniu formalności Michał otrzymał klucze od domu i pojechał uzgodnić sprawę remontu, a Marek pojechał w sprawie dwóch sąsiednich działek. Właściciel z żoną musiał go oczekiwać. Gdy tylko zaparkował przed domem, to zaraz otworzyły się drzwi i wyszedł do furtki, aby go powitać. Podana kawa była wyjątkowo dobra i zanim dopił ją do końca, uzgodnili wszystkie warunki sprzedaży. Marek zgodził się, aby po sprzedaży mieszkali jeszcze tak długo, jak będzie to im potrzebne, żeby mogli spokojnie zlikwidować wszystkie swoje sprawy przed definitywnym wyjazdem. Podjął się też uzgodnienia sprawy u notariusza. Otrzymał kopie dokumentacji obu działek.

Zgodnie z zasadą, że co myśli to z głowy, wrócił się do notariusza. Miał szczęście, bo ten właśnie wybierał się do sądu z papierami ich transakcji. Też widocznie nie lubił odkładać na bok załatwienia spraw do końca. Jeżeli był nawet zdziwiony tym, co usłyszał od Marka, to nie było tego po nim widać. Powiedział, że oczywiście sprawdzi podane mu hipoteki i jeżeli wszystko będzie w porządku, to może przygotować stosowne dokumenty nawet na dzisiejsze popołudnie, jeżeli dostanie od niego jego dane osobowe niezbędne do aktu notarialnego, bo dane sprzedających miał w papierach, które właśnie od niego otrzymał. Marek natychmiast się zgodził. Uzgodnili, że notariusz z sądu zadzwoni do niego i powie jak to wygląda, aby ewentualnie miał czas na uprzedzenie sprzedających, gdy nie będzie żadnych zastrzeżeń. Uwag nie było i notariusz zaproponował godzinę siedemnastą, na co Marek się zgodził.

Ponownie pojechał, żeby powiadomić zainteresowanych o tym fakcie. Tym razem nikt go nie oczekiwał i po naciśnięciu przycisku dzwonka musiał chwilę poczekać, aż pojawił się właściciel. Widać było, że jest wyraźnie zaskoczony i zaniepokojony.

– Rany boskie! Chyba się pan nie rozmyślił? – zapytał, zanim włożył klucz do zamka furtki.

– Niech pan nie otwiera – te słowa Marka jeszcze bardziej go zderewowały. – Wszystko jest w porządku. Notariusz sprawdził wszystko w sądzie i ma wolny termin dzisiaj na godzinę siedemnastą. Ja już się zgodziłem i chciałem o tym poinformować pana i zapytać, czy wam też to odpowiada.

– Dzięki ci Panienko Najświętsza! Oczywiście, że będziemy! – słowa te zostały wypowiedziane w widoczną wręcz ulgą. Jak pana zobaczyłem tak szybko z powrotem, to pomyślałem, że chce pan zrezygnować. W życiu bym nie pomyślał, że można coś tak szybko załatwić.

– Ja też się tego nie spodziewałem – zgodził się Marek ze swoim rozmówcą. – To tylko szczęśliwy przypadek o tym zdecydował. Ja teraz pana pożegnaj, bo jeszcze muszę załatwić w tutaj banku, żeby mi wypłacili potrzebną kwotę. Zatem spotkamy się u notariusza o godzinie 17.

*

W banku Marek stracił ponad godzinę zanim udało mu się wypłacić potrzebną sumę pieniędzy do sfinalizowania transakcji. **Bank to ciekawa instytucja. Chętnie weźmie od ciebie twoje pieniądze, ale jak chcesz wypłacić większą sumę, to zaczyna nieraz dokładnie wypytywać po co, dlaczego. Można nieraz odnieść wrażenie, że prawo własności uległo jakiejś metamorfozie w skarbcu bankowym. Dobrze, że nie trzeba na razie pisać podania o wypłacenie swoich pieniędzy. Dziwnie to nieraz wygląda, ale i tak dobrze, bo na razie klient w banku nie musi podawać numeru kołnierzyka i rozmiarów noszonych butów.** Wrócił do pensjonatu, zjadł sam obiad, bo Michał jeszcze nie wrócił i poszedł do swojego pokoju, uciąć sobie krótką drzemkę. Uznał, że należy mu się chwila odpoczynku po wczorajszym wieczorze i dzisiejszym pracowitym dniu.

Przed piątą obudziło go pukanie do drzwi. Michał chciał porozmawiać. Marek podziękował za pobudkę i odkładając wyjaśnienia na później, w

ekspresowym tempie ubrał się i pojechał do notariusza. Spóźnił się trzy minuty, za co zaraz na wstępie wszystkich przeprosił. Wszystko było przygotowane i po pół godzinie był już wolny.

Wrócił do pensjonatu i dosiadł się do Michała, który jeszcze jadł spóźniony obiad. Zanim ten skończył zdążył mu opowiedzieć, co załatwił w dzisiejszym dniu. Michał skończył obiad i przy kawie on z kolei zreferował swoje dokonania. Ponadto chciał, żeby Marek pojechał z nim jutro do zakupionego domu i był obecny przy ustalaniu zakresu robót z właścicielem firmy remontowej. Nie było z tym żadnego problemu. Wszystko układało się po ich myśli. Przygotowania do poszukiwań szły jak po maśle i Marek zaczął wietrzyć w tym jakiś podstęp przewrotnego losu. O tym, czy przecucia go nie mylą, miał się przekonać już w niedalekiej przyszłości.

*

Rano samochodem Michała pojechali do firmowego już domu i czekając na wykonawcę remontu wymieniali swoje poglądy na ten temat. Marek upierał się, żeby centralne ogrzewanie przerobić na opalane olejem opałowym i przekonał Michała dopiero wtedy, gdy powiedział o częstych awariach sieci energetycznej w tej dzielnicy. Wiedział o tym od ich obecnego jeszcze sąsiada. To przeważało i Michał zaakceptował wkopanie zbiornika na olej i zainstalowanie własnego generatora prądu. Taki zbiornik można tanio kupić w firmie zajmującej się transportem paliw, gdy nie uzyska on atestu na używanie w transporcie drogowym. Dla ich potrzeb może służyć jeszcze wiele lat. Właściciel firmy remontowej znał się na rzeczy i nawet spodobał mu się ich pomysł na doprowadzenia budynku do stanu poprzedniej świetności. Nie widział żadnych problemów ze zmianami, które chcieli wprowadzić i dopiero przy pytaniu, ile mu to zajmie czasu, zaczął trochę kręcić. Michał szybko wyłapał w czym rzecz. Gdy go zapewnił, że rachunki za materiał może mu regulować od ręki, przedsiębiorca zapewnił, że zrobi całość w ciągu miesiąca. To im odpowiadało. Szczegółową umowę miało dostarczyć Michałowi, gdy tylko będzie gotowa. Marek pożegnał się z Michałem i ruszył w drogę powrotną do domu.

*

W domu żona trochę ponarzekła na jego częste ostatnio nieobecności w domu, ale nie wyglądało to groźnie i wszystko wróciło do normy. W

pracy wszystko szło normalnie. Marek pomyślał, że mogłoby go nie być znacznie dłużej i nikt by tego nie zauważył. Procentowało to, co zrobił w chwili założenia firmy. Dobrał sobie ludzi, którzy wyznawali podobną do jego filozofię pracy. Wymienił parę osób które się nie sprawdziły i teraz firma funkcjonowała jak dobrze naoliwiony mechanizm. W swoich rękach zostawił tylko decyzje w sprawach strategicznych dla firmy, a pozostałe uprawnienia scedował na pracowników. Każdy wiedział co ma robić, a znaczny zakres samodzielności w podejmowaniu decyzji powodował, że robili to dobrze. Tym bardziej, że wiedzieli, iż dobra praca i inicjatywa zostanie zauważona i doceniona. Na swoim biurku oprócz korespondencji, na którą musiał odpowiedzieć sam, znalazł też grubą kopertę z Instytutu Meteorologii.

Najpierw uporał się z korespondencją i po wydrukowaniu stosownych odpowiedzi oddał sekretarce do wysłania. Później wziął do ręki kopertę ciekawy jej zawartości. Pierwsze czytanie dało mu odpowiedź, że taki pomysł może być zrealizowany. Przeczytał po raz drugi, tym razem uważnie studiując załączone wykresy i dokładnie zastanawiając się nad użytymi tam stwierdzeniami. Najbardziej zainteresował go wykres dotyczący kształtu jaki powinien mieć roślinny mur zmieniający bieg zimnego powietrza. Jemu wydawało się, że wystarczy jedna prosta porządna ściana, a na wykresie były zaznaczone trzy linie i żadna nie była prosta. Opracowanie było zrobione bardzo profesjonalnie i czuł potrzebę, aby pewne rzeczy zostały mu wyjaśnione w sposób przystępny dla laika. Pojechać do Instytutu i tak musiał, bo mimo dokładnego przejrzania zawartości koperty nie znalazł rachunku za wykonaną pracę.

Zadzwoił i kiedy się okazało, że może przyjechać, skorzystał z tego i zaraz pojechał. Na miejscu wszystko stało się jasne. Wyjaśniła się też sprawa rachunku. Sam pomysł tak ich zainteresował, że zrobili to prywatnie, po godzinach pracy. Toteż Marek nie miał wyboru i zapłacił też ze swojej prywatnej kieszeni. Udzielone mu wyjaśnienia do końca pomogły mu zrozumieć całość opracowania. Na pożegnanie usłyszał, że jeśli będzie miał w przyszłości podobne ciekawe pomysły, to oni chętnie się tym zajmą.

*

Zadzwoił do Michała i przekazał mu to, czego się dowiedział w

Instytucie i poprosił, aby powiedział o tym Borowskiemu. Trzy dni później zaskoczył go telefon z Kalisza. Dzwonił właściciel działki i powołał się na Borowskiego. Usłyszał, że kupuje on nieużytki i zaproponował mu sprzedaż swojej działki. Marek zapytał o cenę i jak usłyszał, to zaczął się śmiać. Facet wycedził cenę jak za hektar dobrej rolniczej ziemi. Marek wyjaśnił mu, że kupuje nieużytki, aby je zalesić. Koszt zalesienia 1 hektara wynosi około 20 tysięcy złotych. Pielęgnacja tego, aż zacznie się uzyskiwać jakieś pieniądze, to kolejny koszt około dziesięciu tysięcy złotych. Na poważne dochody można liczyć dopiero po trzydziestu latach. On woli wydać pieniądze na ten cel, bo zapłaci o tyle mniej podatku i biurokraci nie dostaną ich na przeżarcie, a on zrobi coś pożytecznego. To, że z tego skorzysta ktoś po trzydziestu latach, ma dla niego mniejsze znaczenie. Nie interesuje go też forma sponsorowania poprzez przepłacanie za takie grunty. Jeżeli chce, to może skorzystać z jego pomysłu i zrobić to samo. On za takie tereny płaci 10 groszy za metr kwadratowy i tylko tyle może mu zaproponować. Jak zmieni zdanie, to mogą rozmawiać na ten temat pod warunkiem, że w międzyczasie nie wyczerpie swojego limitu na takie zakupy. Marek specjalnie podał mu w miarę dokładne dane, aby facet zszedł z obłoków na ziemię. Tak jak początkowo był zły za inicjatywę Borowskiego, tak teraz musiał przyznać, że obróciło się to na jego korzyść. Gdyby to on wystąpił z propozycją kupna, to rozmowy z właścicielem mogłyby być wyjątkowo ciężkie i cenę dyktowałby pewnie on, a nie odwrotnie. Teraz pozostało tylko czekać i zobaczyć, co zwycięży. Pazerność czy rozsądek.

Długo nie czekał. Po czterech dniach zwyciężył rozsądek. Podał adres swojego notariusza i umówił się na spotkanie w jego biurze, bo chciał, żeby to właśnie jego notariusz pilotował sprawę kupna tej ziemi od początku do końca. Po skończonej rozmowie zadzwonił do notariusza i uprzedził go o tym, co przed chwilą ustalili.

Spotkanie u notariusza przebiegło bez specjalnej historii. Ustalili dokładnie treść aktu notarialnego i Marek złożył pod nim swój podpis. Umówili się, że notariusz po sprawdzeniu stanu prawnego nieruchomości zawiadomi o tym sprzedającego i jak nie będzie żadnych zastrzeżeń, to wezwie sprzedających do złożenia podpisu pod przygotowanym w dniu dzisiejszym akcie i wypłaci w imieniu Marka należną im kwotę.

tę, rejestrując tą transakcję w swoim rejestrze w tym samym dniu. Tak została kupiona ziemia do sterowania pogodą.

Marek mając teraz pewność, że będzie można posadzić zieloną ścianę, pojechał załatwić zakup sadzonek na ten cel. Dowiedział się, że ciepło wytwarzane z „zielonego węgla” jest tańsze od tego wytwarzanego z węgla kamiennego i 2-3 razy tańsze niż to uzyskiwane z ropy czy gazu. Jest to paliwo odnawialne i czyste ekologicznie. Roślina raz posadzona daje plon przez 25-30 lat i z 1 hektara można uzyskać 30-40 ton biomasy w ciągu roku. Uznał, że jest to ciekawy temat i w wolnej chwili należy się temu przyrzeć dokładniej. Z uzyskanych danych wynikało ponadto, że posadzona ściana będzie funkcjonowała przez 30 lat, co było okresem zupełnie wystarczającym dla potrzeb trasy narciarskiej. Zamówił potrzebną ilość sadzonek z terminem dostawy na kwiecień. Maskowanie poszukiwań zaczęło nabierać rumieńców.

*

Nawet się nie obejrzał, kiedy w kalendarzu pojawił się ostatni tydzień lutego. Kolejny telefon od Michała spowodował, że konieczny był jego przyjazd do Kopacza. Michał, odwalił kawał roboty i chciał się tym pochwalić, a ponadto chciał, aby pewne decyzje zostały podjęte wspólnie. Jechał tym bardziej chętnie, gdyż usłyszał, że remont domu został zakończony i nie trzeba już korzystać z gościnności pensjonatu, a Michał właśnie się tam wprowadził.

Minęło jeszcze dwa dni, zanim mógł pojechać. Przyjechał wieczorem i zaparkował przed bramą wjazdową na posesję. Zanim zdążył wysiąść z samochodu, brama zaczęła się otwierać. Proszę, proszę. Pełna kultura – pomyślał. Podjechał pod bramę garażową. Z domu wyszedł Michał i zaraz został wyprzedzony przez psa. Baca z wesołym szczekaniem podbiegł do niego. Siadł i podał łapę. Marek przywitał się z psem i razem ruszyli w kierunku Michała.

– Widzę, że przeniosłeś się już na stałe – powiedział wyciągając rękę na przywitanie.

– Prawie. Wchodź do środka.

Marek minął próg wejściowy i zatrzymał się. Tapetę w różyczki, którą zapamiętał z poprzedniej wizyty zastąpiła piękna modrzewiowa boazeria przywrócona do dawnej świetności. Dalej były kolejne niespodzianki. Z podłogi w salonie zdarto farbę olejną i teraz pysznił się tam

piękny parkiet ułożony z kilku gatunków szlachetnego drzewa ozdobiony czterema intarsjami o motywach roślinnych. Kominek też wrócił do stanu dawnej świetności i ułożone z boku grube polana brzozowe wręcz zachęcały do rozpalenia ognia. Dębowe belki nośne na suficie wyglądały jak nowe. Schody i poręcz prowadząca na piętro ukazywały piękno naturalnego dębu.

– Coś wspaniałego! – Marek był zachwycony.

– Obejrzyj do końca – na twarzy Michała błąkał się ledwo maskowany uśmiech zadowolenia.

Kuchnia lśniła nowością i była wyposażona w sprzęt, którego na pewno pozazdrościłaby niejedna gospodyni. Pośrodku stał stół i cztery krzesła. Odszukano i odtworzono stare połączenie kuchni z jadalnią i można było tam teraz wejść bezpośrednio z niej. W jadalni stał stół na osiem osób, bo tyle krzeseł się doliczył i tak ją wyposażono, że mogła służyć jako mała sala konferencyjna. Idąc na górę z przyjemnością dotykał świeżo wypolerowanej dębowej poręczy. Na górze zaszła tylko jedna istotna zmiana. Michał zlikwidował jeden pokój i w ten sposób powiększył swój i ten przeznaczony dla niego. Wszedł do swojego i zobaczył, że jest w pełni umeblowany. Pomyślał, że sam by tego nie zrobił lepiej. W narożniku stało małe nowoczesne biurko i stolik pod komputer. Pokój był przystosowany do pracy i do wypoczynku. Kompletnie wyposażona łazienka dopełniała całości. Michał, widząc jego pytający wzrok skierowany na cztery pudła stojące pod ścianą wyjaśnił.

– To jest twój zestaw komputerowy. Dzisiaj przywieźli i jeszcze nie zdążyłem tego podłączyć.

Wziął do ręki pilota leżącego na biurku i nacisnął przycisk. Monitor zawieszony w narożniku nad biurkiem rozjaśnił się. Kolejno uruchamiane przyciski wywołały na ekranie obraz otoczenia domu. Obraz podzielił się na pół. Widział teraz front i tył działki.

– Chciałeś widzieć, co się dzieje w okolicy. Zainstalowałem pięć kamer. Można widzieć całe otoczenie domu i sam dom oraz całą ulicę. Monitor jest u ciebie i u mnie w pokoju, a dodatkowo mamy jeden mały przenośny, który można postawić gdziekolwiek. Kamery pracują w trybie dziennym i nocnym. Na widzenie w nocy przechodzą automatycznie, jak się ściemni. Tak to zaprogramowałem, że jak się pojawi ruchomy obiekt większy od psa, to system sygnalizuje to dźwiękiem i obrazem. Można

też uruchomić automatyczny zapis przekazywanych obrazów. Kamery zostały ukryte w kloszach lamp oświetleniowych i są niewidoczne dla postronnych osób. Tyle zdołałem wymyślić.

– Michał, czy ty w ogóle spałeś? – Marek był pod wrażeniem.

– Nie było tak źle. Najgorszą robotę, czyli pociągnięcie całej instalacji, kazałem zrobić w trakcie remontu. Kamery zainstalowałem sam. Praktycznie nikt nie wie, że mamy tu coś takiego.

– I niech tak zostanie – uśmiech nie schodził z ust Marka. – Nie musimy się tym chwalić.

– Masz rację. A teraz chodź pokażę ci mój pokój – Michał ruszył do swojego sanktuarium.

Pokój umeblowany był podobnie jak jego, ale różnica rzucała się w oczy. Cała jedna ściana od podłogi do sufitu była zajęta przez aparaturę Michała, którą ten jakimś cudem zdążył przewieźć ze starego domu i zainstalować na nowym miejscu. Dwa pozostałe pokoje zostały przygotowane z myślą o ewentualnych gościach. W każdym stał normalny 21. calowy telewizor i to różniło ich pokoje od tych dwóch. Jeszcze jedno potwierdzenie, że na pewne rzeczy mają taki sam pogląd. Obydwaj uważali ten sprzęt za zwykłego złodzieja czasu i sposób na wciskanie ludziom ciemnoty. Piwnice też prezentowały się okazale. Wyrzucono wszystkie rupiecie i odmalowano wszystko na biało. Piec centralnego ogrzewania oraz generator prądu były zainstalowane w oddzielnych pomieszczeniach. Zanim zdążył zapytać, do czego służą dodatkowe instalacje zamontowane przy generatorze, już usłyszał wyjaśnienie.

Michał zaprojektował i wykonał system, który automatycznie włączy generator, gdy przerwa w dopływie prądu z sieci miejskiej będzie dłuższa niż 20 sekund. Automatycznie też odetnie sieć miejską od ich wewnętrznego zasilania. Wszystko to jest zrobione w systemie podwójnego bezpieczeństwa. Generator jest uruchamiany z akumulatora lub można to zrobić ręcznie. Akumulator ładuje się sam, gdy jego pojemność spadnie poniżej 30% pojemności. Konieczność jałowego uruchomienia jest sygnalizowana przez generator co 30 dni. Wszystkie te dane są przesyłane do konsoli w jego pokoju. Tak, że nie trzeba tam zaglądać za często. Zasilanie olejem opałowym jest doprowadzone przez garaż i w zbiorniku zakopanym obok bramy wjazdowej mają teraz około 8

tysięcy litrów. Te wyjaśnienia zakończyły zwiedzanie piwnicy i ruszyli na górę.

W kuchni Michał wziął się za robienie kolacji, a Marek w tym czasie opowiedział dokładnie o tym, co sam załatwił. Kolacja w wykonaniu Michała była tak dobra jak domowa.

Teraz przyszła kolej na relację Michała. Miał już wybranego kierownika budowy i inspektora nadzoru. Obydwaj mieli imponujący staż zawodowy, w którym były też budowy za granicą, w Libii, Iraku i w Niemczech. Byli wręcz szczęśliwi, gdy zaproponował im pracę, bo po redukcjach w swoich firmach byli bezrobotni. Biuro projektowe wyszukał na zasadzie wypytywania, kto jest najlepszy w te klocki na tu-tejszym terenie. Praktycznie miał gotowy projekt inwestycji i harmonogram jego realizacji. Teraz wystarczy to przepisać na czysto. Oddać do gminy, aby to zatwierdzili oraz wydali stosowne zgody i zezwolenia.

– Dlatego właśnie chciałem, abyś przyjechał i przejrzał to, zanim nabierze urzędowej mocy.

– Miałeś przecież skonsultować budowę trasy z firmą, która dostarczy wyciąg – Marek był pod wrażeniem dokonanej pracy, ale wydawało mu się, że ten istotny element umknął uwadze Michała.

– Już byli. Wszystkie ich uwagi zostały uwzględnione i naniesione w projekcie. Wyjechali chyba zadowoleni. Niedługo powinni przysłać ostateczny projekt umowy, bo przedwstępna zobaczysz jutro w biurze.

– Co ty!?! Krasnoludki ci pomagają, czy jesteś cudotwórcą? – Marek nie krył już zdumienia. – Zrobiłeś to w niewiele ponad miesiąc! W to naprawdę trudno uwierzyć.

– Nie zapominaj, że 10% jest moje. Pracuję też u siebie. A poza tym podoba mi się to i chcę to zrobić – Michał wygłosił to z uśmiechem i dodał: – Rób, co lubisz, a nigdy nie będziesz pracował.

– Jak dobrze zrozumiałem, to biuro też masz już uruchomione.

– Oczywiście! I dobrze, że tak się z tym pośpieszyłem, bo gdy przyjechali Szwajcarzy, to nie musiałem świecić oczami. Miałem ich gdzie przyjąć. I miałem też trochę szczęścia, że na wstępie poinformowałem ich, że jest to nowo założona firma powołana do zrealizowania tej inwestycji, a później do zarządzania nią. Przyjechali we trójkę. Dyrektor techniczny i dwóch inżynierów. Ulokowałem ich w pensjonacie Mal-

wa. Zebrałem całe towarzystwo do kupy i orałem nimi przez trzy dni od rana do wieczora, aż były gotowe wszystkie detale. Miałem trochę kłopotu z tymi od projektowania, bo trzeba było im wszystko tłumaczyć. Nie dość, że nie znali żadnego języka, to jeszcze próbowali pracować, jak w biurze po 8 godzin, ale szybko ich wyprostowałem. Inspektor nadzoru i kierownik budowy dobrze znają angielski i dużo rozumieją po niemiecku, tak że z nimi nie miałem kłopotu i to tym bardziej, że wymagania i normy stosowane przez Szwajcarów były w większości im znane. Poza tym musiałbyś widzieć miny Szwajcarów, gdy pojechałem się z nimi pożegnać i w recepcji usłyszeli, że rachunek został już uregulowany przez firmę Viking. Ich dyrektor też kręcił głową jak ty i powtarzał, że jest to niemożliwe, aby w tak krótkim czasie można było tyle zrobić. Na koniec powiedział, że miał inne wyobrażenie o Polsce, ale teraz musi je całkowicie zmienić. Myślę, że warto było zapłacić ten rachunek.

– Masz rację. Nie dałeś im czasu, aby zobaczyli, jaki tu panuje burdel i teraz będą wszystkim opowiadać tylko same dobre rzeczy. Cześć ci i chwała! – zażartował Marek. – Ale ja też mam dla ciebie niespodziankę. Przywiozłem ci przewodnik turystyczny z 1939 roku w języku niemieckim. Opisuje on tutejsze tereny. Przed wojną na tym terenie, co go kupiliśmy, znajdowało się muzeum górnictwa ulokowane w starym chodniku kopalnianym i restauracja podobnie zlokalizowana. Wszystko to było czynne w okresie letnim i zimowym i stanowiło sporą atrakcję turystyczną. Jest duża szansa, że uda nam się to odszukać i uruchomić. Gdyby tak się to udało, to mielibyśmy sezon prawie na okrągło. Jest tylko jeden problem. Zupełnie możliwe, że te pomieszczenia zostały przez Niemców wykorzystane na magazyny broni dla Werhwolfu, który tu operował krótko po wojnie. Niewykluczone, że Niemcy zamordowali tam też znaczną liczbę więźniów. Nie są to do końca zweryfikowane dane, ale nie należy z tego robić sensacji i to jest w tej chwili tylko do twojej wiadomości.

Marek zdawał sobie sprawę, że sytuacja zmierza w kierunku powiększenia grona poszukiwaczy o czwartą osobę i już przygotowywał teren do ostatecznego dopuszczenia Michała do tej tajemnicy.

– To wspaniale! – Michał nie krył swojego zadowolenia. – Od początku czułem, że jeszcze coś się urodzi. Aha, i jeszcze jedno. W szu-

fladzie biurka w swoim pokoju masz komplet kluczy. Oznaczony na czerwono jest od furtki, niebieski od drzwi wejściowych, a zielony od twojego pokoju. Breloczek służy za pilota otwierającego bramę wjazdową. A teraz proponuję iść spać. Wstajemy o 6. rano, bo pracę zaczynamy tutaj od siódmej.

– Tak jest panie prezesie! – Marek cieszył się, że Michał wszedł na obroty i rządzi. – Powiedz mi jeszcze jedną rzecz. Jak to jest, że wszystko umeblowałeś a salon jest pusty?

– No właśnie! Wyleciało mi z pamięci. Poszperałem trochę po okolicznych antykwariatach i popytałem ludzi. Znalazłem parę starych mebli i oddałem do renowacji. Jak to zrobią, to będziemy mogli salon umeblować stosownie do jego wnętrza.

*

Układając swoje rzeczy w pokoju nawet już się nie zdziwił, kiedy znalazł w szufladzie nocnego stolika budzik. Michał myślał o wszystkim. Trzeba będzie przywieźć trochę bielizny osobistej i innych rzeczy oraz garnitur, żeby nie targać tego z sobą za każdym razem i być przygotowanym na każdą okazję. Zasnął, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. Rano o 6.15. zszedł do kuchni. Śniadanie już czekało. Jajecznica na boczku, masło i chleb z wiejskiej piekarni a do tego dobra herbata, to było niezłe jak na początek dnia.

– Kawa będzie w biurze – usłyszał. – Wyglądało, że Michał miał wszystko zaplanowane.

Za dziesięć siódma podjechali pod budynek, gdzie mieściły się obecnie biura firmy. Dyskretny szyld informował, że mieści się tutaj oddział spółki Viking w Kopaczu. Marek zauważył też różnicę w otoczeniu w stosunku do swojej pierwszej tu bytności. Teren należący do spółki został uporządkowany i było tu po prostu czysto. Białe linie wytyczające miejsca do parkowania też sygnalizowały, że nowy gospodarz dba o ład i porządek. Weszli do środka. Wszystko pachniało jeszcze świeżym remontem. Na niektórych drzwiach widniały już zawieszane tabliczki. Sekretariat, Księgowość, Zarząd, Rada Nadzorcza.

– Zarząd i Radę Nadzorczą zrobiłem po sąsiedzku, żebyśmy nie musieli biegać do siebie – wyjaśnił Michał. – Księgowość jest na razie na dole, ale później pójdzie na górę. Teraz urzęduje tam pani Borowska, bo dogadała się z głównym księgowym i została kierownikiem księ-

gowości tutejszego oddziału. Rozgość się w swoim pokoju, a ja zaraz przyniosę kawę. Sekretarka jest dzisiaj na szkoleniu i musimy się obsłużyć sami.

*

Marek wszedł do pokoju Rady Nadzorczej. Do zapachu remontu doszła specyficzna woń świeżych mebli. Całość umeblowania wykończona jasnym fornirem sprawiała przyjemne wrażenie, a funkcjonalne kształty miały zapewnić przyszłemu użytkownikowi wygodę. Najbardziej do gustu przypadł mu stół na sześć osób ustawiony prostopadłe do biurka z krzesłami dla sześciu osób i tworzący z biurkiem jedną całość. Takie rozwiązanie pozwalało na kameralną rozmowę w niewielkim gronie i nie stwarzało dystansu między zaproszonymi gośćmi, a osobą siedzącą za biurkiem. Usiadł w fotelu za biurkiem i natychmiast docenił jego funkcjonalność i wygodę. Włączył komputer i ze zdziwieniem stwierdził, że Michał zapisał już w jego pamięci te informacje, które zostały uznane za mogące mieć znaczenie dla niego. Ucieszył go też folder z muzyką zawierający tyle pozycji, że mógł bez problemu wybrać interesujące go nagrania. Michał wszedł bez pukania. W ręce trzymał małą tacę z dwiema filiżankami kawy, a pod pachą trzymał teczkę z dokumentami. Postawił jedną kawę na biurku i podał mu teczkę.

– Tutaj masz całość dokumentacji i wzory pism do gminy, które tego dotyczą. Jeśli nie wniesiesz poprawek, to zostanie to oddane w takiej formie. Umówiłem też kierownika budowy i szefa biura projektowego. Gdy tylko się zjawią, to przyjdę z nimi do ciebie.

– Dziękuję za kawę. Postaram się zdążyć z przeczytaniem. – Michał zabrał swoją kawę i poszedł do siebie, a Marek zabrał się za czytanie.

Pukanie do drzwi oderwało go od czytania ostatnich stron. W drzwiach stał Michał i dwóch mężczyzn. Jeden ubrany na sportowo w swetrze, drugi w eleganckim garniturze. Ten w swetrze to kierownik budowy, a garnitur to projektant – Marek dokonał w myśli zaszeregowania. Do mężczyzny w garniturze poczuł niczym nieuzasadnioną awersję. Dokonana przez Michała prezentacja potwierdziła jego domysły. Zasiadł przy stole i Marek zwrócił się projektanta.

- Wydaje mi się, że ogrodzenie terenu trzeba przeprojektować.
- Czemu? To bardzo solidne ogrodzenie.
- Właśnie! Solidne i bardzo kosztowne.

– A czy pan się zna na projektowaniu? – projektant ustawiał go w narożniku.

– Nie bardzo – przyznał uczciwie Marek.

– No właśnie!

– A czy pan prowadzi punkt skupu złomu?

– Co? Że jak? – projektanta zatkało.

– To proste. Jak pan sądzi, ile czasu będzie potrzeba, aby to pana solidne metalowe ogrodzenie tam właśnie trafiło?

– To trzeba tego pilnować!

– A po co? Może najpierw trzeba pomyśleć i zrobić tak, aby nie kusić złodzieja?

– Czy pan sugeruje, że ja nie myślę? – jego mina zdradzała, że gubi wątek rozmowy.

– Broń Boże! Jakże bym śmiał! – Marek zaczynał się dobrze bawić.

– Tak właśnie myślałem! Chociaż właściwie to pan jest inwestorem i może pan mieć swoje sugestie.

– Jak mogę to i skorzystam. Słupki z tworzywa sztucznego, a zamiast siatki metalowej sieć rybacka z tworzywa sztucznego używana do połowów na Morzu Północnym.

– Panie! Coś pan z byka spadł !? – projektant był autentycznie wstrząśnięty i nie zapanował nad sobą.

– Z byka to może i nie, ale trochę czytam na temat, który mnie interesuje. Koszt, to około 10% tego, co pan zaprojektował, nie potrzeba żadnej konserwacji, wytrzymałość konstrukcji taka sama, a odporność na złodziei stuprocentowa i o wiele szybszy montaż całości.

– To, to jest coś niespotykanego! Ja o tym słyszę pierwszy raz!

– Niech się pan nie przejmuj! Zawsze jest ten pierwszy raz. Raz boli, raz nie.

– Ma pan rację, ale ... – tu przerwał i zaczerwienił się, bo dopiero teraz dotarła do niego dwuznaczność słów Marka, a uśmiechy widniejące na twarzach pozostałych mówiły same za siebie.

– W porządku. Poprawimy tak, jak pan chce. Czy ma pan jeszcze jakieś uwagi?

– Nie. Na nic więcej nie wpadłem – odparł Marek bez złośliwości.

– No i całe szczęście! Bo jeszcze nabawiłbym się jakichś kompleksów

– i po raz pierwszy szef biura projektowego uśmiechnął się jak normalny człowiek i dodał: – Jak nie ma do mnie więcej pytań, to chciałbym się pożegnać, bo mam jeszcze coś pilnego do załatwienia.

Pytań nie było, więc szybko się pożegnał i wyszedł. Kierownik budowy miał temat rozpracowany tak dobrze, że nie było o co pytać. Zostały uwzględnione wszystkie uwagi Marka, o których rozmawiał z Michałem, a ten dopilnował, żeby zostały wzięte pod uwagę.

Marek uznał, że zostało zrobione wszystko, aby poszukiwania mogły zakończyć się powodzeniem. Nadal jednak nie opuszczało go irracjonalne przecucie, że wszystko układa się zbyt gładko i informacje, na które oczekiwał, mogą to zburzyć. Szukanie skarbów nigdy nie było prostą rzeczą i zawsze przynosiło jakieś niespodzianki. Nie zawsze były one przyjemne.

ROZDZIAŁ IV

W końcu Marek dostał długo oczekiwaną przesyłkę z Niemiec. Siedząc w domu w swoim gabinecie czytał korespondencję, którą otrzymał. Jednak miałem rację – pomyślał. Ktoś nadal w sposób dyskretny interesował się terenami w Kopaczu. W odpowiedzi na swoje zapytanie o dwie niemieckie firmy, które złożyły oferty inwestycyjne w gminie, dostał interesujące informacje. Jedna firma miała siedzibę w Hamburgu i zajmowała się handlem artykułami chemicznymi. Prowadziła normalną działalność handlową. Niby nie było nic dziwnego w fakcie, że chciała założyć swoją filię w Kopaczu, gdyby nie to, że odbiorcami ich artykułów był przemysł rafineryjny i hutniczy. Taka lokalizacja była pozbawiona sensu z punktu widzenia ekonomicznego i geograficznego. Trudno uwierzyć, żeby Niemcy nie wiedzieli, gdzie w Polsce znajdują główne ośrodki tego typu.

Informacje o drugiej firmie zdawały się potwierdzać, że coś jest nie tak z tymi ofertami. Została ona zarejestrowana w Berlinie. Rejestracji dokonała mało znana firma prawnicza z Berlina zajmująca się głównie sprawami rozwodowymi i podobnymi bzdetami. Udziałowcy tej spółki, którzy zlecieli dokonanie tych wszystkich czynności prawnych, nie zamieszkiwali pod podanymi adresami. Spółka nie podjęła żadnej działalności gospodarczej, a jej jedyną czynnością było złożenie oferty do gminy za pośrednictwem tej samej firmy prawniczej, która dokonała rejestracji i występowała w ich imieniu. To już nie mógł być przypadek. Komuś widocznie zależało na w miarę legalnym zaistnieniu na terenie Kopacza. Tym bardziej, że widać było pewną konsekwencję i celowość w postępowaniu ze strony niemieckiej.

Pierwsza oferta dotycząca założenia filii firmy i hurtowni artykułów chemicznych mogła nie być interesująca dla władz gminy, ale druga tak. Złożono ją po upływie ośmiu miesięcy, gdy na pierwszą nie było żadnego odzewu. Proponowano w niej zbudowanie i prowadzenie domu spokojnej starości dla kilkuset osób. Sugerowano, że duża część pensjonariuszy będzie pochodzić z Niemiec. Taka inwestycja dla

gminy oznaczała, że zatrudnienie znajdzie tu 200-300 osób. Na taką ofertę nie można nie odpowiedzieć. Niemcy nie przewidzieli jednak, że urzędniczka w gminie włoży ich oferty do szuflady i znikną tam one na dobre. Jeżeli istniała tu jakaś prawidłowość, to sądząc po datach ofert można się było spodziewać, że w najbliższym czasie powinna się pojawić następna. Dlaczego akurat teraz Niemcy zaczęły interesować się Kopaczem?

Zamiar poszukiwań był nadal tajemnicą. Tak przynajmniej to wyglądało z ich punktu widzenia w dniu dzisiejszym. Warto by się dowiedzieć, co było tego przyczyną. Chyba nie to, że Polska w niedługim czasie stanie się członkiem Unii. Jeżeli tak, to musieli się pośpieszyć ze swoimi poszukiwaniami. Wizja nieznannej konkurencji ze strony Niemców mogła być groźna. Oni zapewne wiedzieli, gdzie i czego należy szukać. Jeżeli pamiętali o tym tyle lat, to tym bardziej należało ich uprzedzić. Tajemnica skrywana przez zamek Lutzow musiała być ważna i istotna nawet po tylu latach. Wyglądało na to, że czas stawał się towarem deficytowym w tej sprawie.

Dzwonek telefonu oderwał Marka od tych rozważań. Michał wyraźnie zadowolony meldował, że właśnie skończyli pierwszy etap i ma nawet wyprzedzenie w harmonogramie robót. Sadzonki, z których miała powstać ściana do sterowania pogodą, przywieźli i są już posadzone. Jeśli ma chwilę czasu, to może przyjechać z wizytą. Jak na koniec maja to tempo robót było imponujące. Marek obiecał, że będzie w najbliższych dniach.

Dziesiątego maja wieczorem podjechał pod dom w Kopaczu. Pilot zadziałał i brama się otworzyła. Wyciągnął swoje bagaże. Tym razem miał z sobą dwie torby z rzeczami osobistymi. Gdy z bagażem dotarł do drzwi wejściowych, te otworzyły się i pierwszy jak zwykle podał łapę do przywitania Baca. Michał był drugi w kolejce. Weszli do środka. W salonie stanął jak wryty. Michał mówił, że znalazł stare meble i oddał je renowacji. To, co widział teraz, ustawione w salonie mogło raczej sugerować, że jakieś muzeum podzieliło się eksponatami.

– To jest wspaniałe! – nic więcej nie przyszło mu na myśl na widok tego, co miał przed oczami.

– Wiedziałem, że ci się spodoba. Ja też nie spodziewałem się takiego efektu. Chodź na kolację. Właśnie zamierzałem ją zrobić jak przy-

jechałeś.

W kuchni Michał zaczął opowiadać co zaszło w ciągu jego nieobecności. W sprawie budowy padło tylko stwierdzenie: „Na temat budowy porozmawiamy jutro, jak zobaczysz, co zostało zrobione.” Na nic się zdały podchody Marka, żeby już teraz dowiedzieć się czegoś więcej. Temat był zamknięty do jutra i kropka.

– Pewnie pamiętasz – ciągnął Michał – jak Borowski powiedział nam, że zapoczątkowaliśmy rewolucję pałacową. Otóż jest jeszcze gorzej. Gówno wpadło w wentylator i nam się też dostało. Jesteśmy teraz postrzegani jako stronnicy burmistrza. Po tej babie, co ją wywalił z hukiem, to jeszcze znalazł sześć osób, które brały pieniądze i nic nie robiły. Odesłał je na zieloną trawkę, a z zaoszczędzonych etatów dał podwyżki tym, co naprawdę pracują. To chyba jeszcze nie koniec czystek w przechowalni, jaką była administracja gminy. Ktoś oczywiście wpadł na pomysł, że to poniekąd nasza wina, bo gdyby nie ta inwestycja, to wszystko byłoby po staremu i nikomu by się krzywda nie stała. Teraz musisz uważać z kim i o czym rozmawiasz.

– Czy to znaczy, że masz już jakieś kłopoty ze strony burmistrza? – zaniepokoił się Marek

– Wręcz przeciwnie! Ostatnio podpisałem umowę z gminą na roboty interwencyjne. Co trzy miesiące 112 osób znajduje u nas zatrudnienie. Będą trzy tury. W ten sposób część tych ludzi odzyska uprawnienia do zasiłków i innych form pomocy, na którą gmina miała fundusze, ale do tej pory wracały one do budżetu jako niewykorzystane. Urzędnicy w gminie się tym po prostu nie interesowali. Teraz to wszystko się zmieniło. My też na tym skorzystamy, bo mamy tanią siłę roboczą.

– Czyli inaczej mówiąc to w przyszłym roku musimy pomóc burmistrzowi w wyborach – Marek zastanawiał się, jak to wszystko może wpłynąć na losy inwestycji i poszukiwań.

– Pewnie tak – ton głosu Michała wskazywał, że jest o tym przekonany – i jak się utrzyma ten trend poparcia ze strony zwykłych ludzi, to wybory wygra w cuglach. Oni po prostu zaczęli wierzyć, że znalazł się człowiek, który chce zrobić coś pożytecznego dla szarego obywatela, a nie tylko chronić przyspawany do własnej dupy stołek.

– No cóż. Zdaje się, że samo życie podjęło za nas decyzję – powiedział spokojnie Marek. – Będziesz musiał teraz trzymać rękę na pulsie i być

na bieżąco kto z kim i po co.

– Spoko, dam sobie radę i nie pozwolę, żeby jakiś polityczny kacyk próbował się nam wpięprzyć do interesu – Michał powiedział to niby żartem, ale ci którzy go znali, mogli tylko współczuć takiemu osobnikowi, gdy wszedł mu na szypę. - Przeczytałem też dokładnie ten niemiecki przewodnik turystyczny z 1939 roku, który mi zostawiłeś. Aż się wierzyć nie chce, ale w 1939 roku było tu ponad 800 miejsc noclegowych w małych hotelikach i pensjonatach. Przyjeżdżały tu wycieczki szkolne i bogaci turyści.

– Czyżbyś chciał poszerzyć front inwestycji? – Marek zaczął się uśmiechać.

– No, może nie tak od razu, ale warto się nad tym zastanowić.

– Też już o tym myślałem, ale do tego tematu wrócimy później. Jeżeli na jutro masz w planie pobudkę o 6. rano, to ja idę spać. Skinienie głowy Michała wystarczyło za odpowiedź.

*

Brzęczenie budzika wyrwało Marka ze snu. Wydawało mu się, że dopiero co się położył. To było dobre miejsce do spania. Z tą myślą wszedł pod prysznic. Golenie i ubranie się to były kolejne minuty. Punktualnie o 6.15. był na dole. Śniadanie już czekało. O wpół do siódmej byli już w samochodzie Michała i wyjeżdżali z domu. Po chwili Marek zorientował się, że jadą drogą w stronę przyszłej trasy narciarskiej. W miejscu, gdzie kiedyś musiał zostawić samochód, gdy był tu po raz pierwszy z Wieśkiem, była teraz szeroka na 5 metrów droga. Kawalek dalej drogę przegradzała brama, która teraz była otwarta.

– Od tego miejsca zaczyna się nasz teren – wyjaśnił Michał. Dojechali do miejsca, które zostało przez nich poprzednio wytypowane jako wejście do podziemnej restauracji. Teraz był tutaj plac o średnicy około 20-25 metrów. Michał zaparkował na poboczu i gdy wysiedli, wskazał na widoczne w zboczu wejście.

– Tutaj znajduje się wejście do podziemnej restauracji. Nie pozwoliłem tego dalej odgruzować, bo pamiętałem o tym, co mówiłeś. Podobnie zresztą jak i te dwa wejścia do kopalnianych chodników położone za zakrętem drogi.

– Nic o tym nie mówiłeś – Marek był zaskoczony.

– To miała być właśnie niespodzianka. Potwierdza to zresztą two-

je domysły.

Szli dalej szeroką i uprzątniętą teraz drogą, po której mogły swobodnie jechać samochody. Gdy minęli zakręt, Marek stanął zdumiony. Cały gruz skalny pokrywający poprzednio zbocze stoku zniknął. Na platformie widokowej stał kontener służący za zaplecze budowy. Pięć dużych betoniarek z hałasem mieszało już beton. Stojący obok kontenera generator prądu szumiał jednostajnie. Około dwudziestu ludzi zajętych było pracą. Ruszyli dalej i Marek dwukrotnie przystanął, aby obejrzeć odsłonięte teraz wejścia do chodników w zboczu góry. Podobnie jak w przypadku wejścia do podziemnej restauracji, tak i tutaj oczyszczono tylko pierwsze 1,5 metra w głąb, a resztę zostawiono zasypaną gruzem skalnym.

Dochodzili do kontenera, gdy w jego drzwiach pojawił się kierownik budowy. Skinał im głową i podszedł, aby się przywitać. Podali sobie ręce i kierownik powiedział z uśmiechem.

– Zapraszam na zakończenie pierwszego etapu budowy. Dzisiaj zaczynamy tutaj betonowanie i jak to skończymy, to góra będzie gotowa pod zainstalowanie wyciągu i całej reszty urządzeń. Marek był pod wrażeniem tego, jak poradził on sobie z problemem budowy na zboczu. To, że postawi na własne zasilanie prądem, było oczywiste, ale że znajdzie w pobliżu niewielkie źródło wody, podłączy się do niego długim węzłem i rozwiąże problem z wodą, to już wymagało nie tylko myślenia, ale i sporej dozy fantazji. Ze skalnym gruzem też poradził sobie w chytry sposób. Najpierw oszalaował cały teren przeznaczony do betonowania i wypełnił go odłamkami skalnymi zalegającymi na drodze. Tą operację zaczął od platformy widokowej i posuwając się w dół oczyścił sobie drogę dojazdową. W ten sposób, na spokojnie, w małych partiach wwiózł na górę potrzebny cement i żwir. Sam proces zalewania betonem też był pomysłowy. Nie mogąc zalać całości za jednym razem zastosował chemiczny środek, który powodował, że beton zaczynał dopiero wiązać się po 72 godzinach. Stojące na platformie betoniarki mogły dać potrzebną ilość betonu w ciągu 34 godzin. Miał więc nawet spory margines czasu na pokonanie nieprzewidzianych trudności, gdyby takie wystąpiły. Łebski facet – pomyślał.

– Proszę, niech pan zobaczy, jak to wygląda z góry – głos kierownika wyrwał go z tych pochlebnych rozważań myślowych o jego osobie.

Marek wziął podaną lornetkę i cieszył się, że nie zapytał na wstępie,

po co komu lornetka na budowie. Obecność radiotelefonu u pasa nie budzi już dziś zdziwienia, ale lornetka nie jest sprzętem, który spotyka się tam na co dzień. Spoglądając w dół widział dokładnie pracę sprzętu i ludzi. Dobry sposób na sprawdzenie, co kto robi, bez zwracania mu głowy zbędnym pytaniem przez radio. Powiódł lornetką po żółtych rurach sterczących z ziemi. Dokonał pełnego obrotu o 360 stopni. Ich teren został oznaczony i był przygotowany do ogrodzenia. Odał lornetkę i zapytał:

– Kto wymyślił żółty kolor na słupki ogrodzeniowe?

– Ja z prezesem. Siatka będzie w kolorze ciemnopomarańczowym.

– Chińczycy dwa razy żądali potwierdzenia, że taki ma być kolor sieci – wtrącił się Michał. – Wymiary przełknęli bez uwag, ale kolor im nie pasował i dopiero gdy drugi raz im potwierdziłem i powiedziałem, że będę łapał nie tylko ryby, to dali spokój. Jak dobrze pamiętam, to siatka za jakieś dwa tygodnie powinna trafić do nas i całość terenu będzie ogrodzona.

– Te dwa kolory są doskonale widoczne latem i zimą. – wyjaśnił kierownik. – A ten pański pomysł z ogrodzeniem z tworzywa sztucznego to był strzał w dziesiątkę. Jak zapowiedziałem, że na następny dzień będzie montaż konstrukcji pod ogrodzenie terenu to niektórzy robotnicy wyraźnie się ożywili. Gdy zobaczyli słupki z tworzywa i usłyszeli, że siatka też będzie z tego samego materiału, to nikogo to już nie interesowało.

– Odwalił pan kawał dobrej roboty – Marek odwzajemnił komplement.

– Myślę, że jak tak dalej pójdzie, to całość roboty zdaży pan wykonać zgodnie z terminem. Jest zupełnie możliwe, że już niedługo pomyślimy o poszerzeniu inwestycji i będziemy wtedy pamiętać o panu.

Kierownik skinął w podziękowaniu głową, a pożegnalny uścisk dłoni wydał się Markowi znacznie silniejszy niż ten z powitania.

*

Marek namówił Michała, żeby pojechał z nim do kamieniarza, zanim wezmą się za coś innego.

– O! Witam pana – kamieniarza trafili akurat na placu przed warsztatem. – Już myślałem, że pan o mnie zapomniał, a ja odszukałem ten pomnik.

Marek dopiero teraz zauważył, że po poprzednim bałaganie nie ma

nawet śladu.

– Nie było roboty, to kazałem ludziom zrobić porządku, żeby się nie nudzili – wyjaśnił widząc spojrzenie Marka błędzące po placu. – Tam leży ten pomnik – wskazał ręką narożnik placu.

Podeszli do wskazanego miejsca. Rzeczywiście było to, czego szukał. Napis wykuty w piaskowcu nie pozostawiał wątpliwości. To był pomnik, który kiedyś zamówił stary nauczyciel i kazał potem ustawić go na swoim grobie. Całość była złożona z trzech prostokątnych płyt o różnym odcieniu piaskowca połączona w jedną całość. Z prawej strony widniał ślad cięcia, kiedy próbowano odciąć ten kawałek.

– Ten ślad po cięciu to można elegancko zakleić i nie będzie nawet śladu – kamieniarz przygotowywał sobie teren pod negocjacje cenowe. Tak to też i odebrał Marek.

– To ile ma to kosztować?

– 1000 złotych! Przecież to jest zabytek po tym prekursorku. Sam pan przecież mówił.

– Ja mówiłem o prekursorze, a zabytek z tego to będzie za 1000 lat. Więc ile?

Wyraz skupienia na twarzy sprzedającego świadczył, że próbuje on wstrzelić się w cenę możliwą do zaakceptowania.

– No ! Niech stracę! 500 złotych.

– Poprzednio mówił pan o opiciu transakcji i coś o sprzątaniu.

– Ale z pana żyła. To ile pan da?

– Połowę z połowy.

– Połowę z połowy? To znaczy ile? – ten rachunek był chyba dla niego za trudny.

– 250 złotych.

– A bierz pan to w cholere! – zrezygnował z dalszych targów odbiegających formą od tych, do których był przyzwyczajony.

Marek zapłacił i pracownicy kamieniarza załadowali pomnik do bagażnika ich samochodu. Michał zawrócił i wyjechali z podwórza. Przez cały czas nie odzywał się ani słowem, ale widać było wyraźnie, że chętnie usłyszałby coś na temat sytuacji, której był świadkiem.

– Zjemy gdzieś po drodze obiad, a później pojedziemy do domu i pogadamy przy kawie – zaproponował Marek.

– Ze mną jak z dzieckiem. Za rączkę i do baru – żart Michała świad-

czył, że mu to odpowiada.

*

W domu za parzenie kawy wziął się Marek. Michał, wyczuwając wagę rozmowy, zrobił odstępstwo od swoich zasad i nalał po sporej porcji koniaku do kieliszków. W ciągu niespełna godziny poznał całą historię obecnej inwestycji.

– Rozumiem, że jest to oficjalne zaproszenie. Do „siedmiu wspańiałych” trochę nas brakuje, ale na „czterech muszkieterów” będzie w sam raz. – Michał przyjął propozycję. – Może moja wiedza i doświadczenie na coś się przyda. Zacznijmy od tego pomnika. Trzeba go dokładnie obejrzeć. Wjadę do garażu i tam zobaczymy, co za tajemnicę kryje w sobie ten sklejonny piaskowiec.

Michał poszedł po samochód, aby wjechać do garażu. Marek w tym czasie wszedł na górę do swojego pokoju i wziął aparat fotograficzny. Chciał zrobić parę zdjęć, aby później na spokojnie przyjrzeć się napisom u siebie w domu. Do garażu wszedł w momencie, jak Michał zamykał drzwi garażu. Wyładowali pomnik i dokładnie go obejrzel. Nie zauważyli nic szczególnego. Epitafium zawierało tylko imię i nazwisko oraz datę urodzin i zgonu. Kształt i wielkość liter też była normalna. Nie było tu nic na co można by było zwrócić uwagę. A jednak musiało tu coś być. Rozszyfrowany napis brzmiał – „, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt dobrze patrz w pomnik”. Oni może i w tej chwili patrzyli lepiej niż dobrze na pomnik, ale za cholerę nic mądrego nie przychodziło im do głowy.

– Słuchaj, a czemu on kazał patrzeć w pomnik a nie na pomnik? Przecież jako nauczyciel powinien wiedzieć, że patrzy się „na pomnik”, a nie „w pomnik” – Michał wyraził swoją wątpliwość na głos.

– Cholera, masz rację! – przyznał Marek, sam na siebie zły, że tego wcześniej nie zauważył.

– Skoro mamy patrzeć w pomnik, to szukajmy w pomniku – Michał ciągnął swoją myśl dalej.

– Myślisz, że trzeba to połupać na kawałki ? – Marek nie był tego pewien.

– Nie całość, a tylko trzecią część. Obowiązuje tu przecież jakaś zasada trójki. Ja zacząłbym od tej części co ją już napoczął kamieniarz. Licząc od lewej to jest trójka.

– Chyba to jedyne wyjście, – Marek zgadzał się na częściowe

zniszczenie pomnika – ale zanim to zrobimy, to trzeba to dokładnie zmierzyć i zrobić dodatkowe zdjęcia.

Zajął im to niecałe pół godziny i zaraz potem Michał wziął się za rozbijanie trzeciej części pomnika. Efekty tej pracy były co najmniej dziwne. Okazało się, że rozbita część pomnika była połączona ze środkową za pomocą trzech symetrycznie umieszczonych metalowych walców. Chcąc je wyciągnąć Michał rozbił część środkowej płyty. Mieli teraz w rękach trzy metalowe walce o długości 30 centymetrów i średnicy 25 milimetrów. Były koloru srebrzystego i gładkie jak szkło, a ciężar nie wskazywał na jakieś anomalie. Rozbicie do końca pozostałej części pomnika nic nie dało. Jego jedyną schowaną wewnątrz zawartością były trzy metalowe walce. Pomyśl, że mogą być metalową tuleją stanowiącą schowek, byli skłonni odrzucić. Dokładne oględziny pod szkłem powiększającym nie wykazały bowiem żadnego śladu łączenia. Stanęli przed kolejną zagadką. Wiedzieli, że mają w ręce ważną informację lub jej kolejny element, ale nie byli w stanie tego powiązać ze znanymi sobie faktami i przyjąć racjonalne wyjaśnienie. Kolejne, coraz bardziej fantastyczne spekulacje, mające na celu przyjęcie jakiegoś sensownego wyjaśnienia zagadki przeciął Michał mówiąc: - Sami nie damy rady. Trzeba to dać do zbadania. Niech to zmierzają, zważą, prześwietlą, określą skład chemiczny i zrobią wszystkie inne badania, jakie im przyjdą do głowy, to może wtedy uda nam się to do czegoś dopasować.

– Dobrze! – zgodził się Marek – Wezmę jeden walec i dam znajomemu z politechniki, żeby się temu przyjrzał.

Schował jeden walec do swojej torby podróżnej, a dwa pozostałe trafiły do pokoju Michała, bo a nuż ich bezpośrednio sąsiedztwo natchnie go jakimś pomysłem.

*

Marek po powrocie do domu szybko znalazł możliwość wykonania badań i oddał walec do zbadania. Zgodził się na pobranie próbki i ewentualne inne inwazyjne formy badania, jeżeli takie będą potrzebne. Potraktowano go trochę jak dziwaka, który sam nie wie, czego chce, ale skoro chciał za to płacić, to jego sprawa.

Została mu teraz do załatwienia sprawa sprzętu i osobistego ekwipunku dla każdego z uczestników poszukiwań. Będą wchodzić do sztolni i znajdą się pod ziemią. Nie ma znaczenia, ile metrów sześciennych skały

znajdzie się nad ich głowami. Czy będą to miliony ton czy tylko tysiące, to i tak znajdą się w kontakcie z żywiołem, jakim jest ziemia. Podobnie jak woda, ogień i powietrze rządzi się swoimi prawami, których część do dzisiaj stanowi tajemnicę dla człowieka. Każdy kontakt z żywiołem niesie z sobą ryzyko i nie można go uniknąć, bo jest to niemożliwe. Można to ryzyko tylko zminimalizować. Właśnie to chciał zrobić Marek.

Prawidłowy dobór wyposażenia i sprzętu pozwala na zmniejszenie ryzyka, gdy jest ono dobierane z uwzględnieniem utrudnień na jakie można się natknąć w trakcie poszukiwań. Tutaj będą mieli do czynienia ze sztolnią drażoną około sto lat temu i prawdopodobnie poszerzoną przed wojną. Trzeba się więc liczyć z naturalnymi obwałami, które są spowodowane wietrzeniem skał i działalnością wody. Trzeba także pamiętać o ewentualnym wpływie wybuchu maskującego z 1945 roku. Należy też uwzględnić możliwość, że założono tam pułapki minowe, aby skutecznie zniechęcić i uniemożliwić dotarcie do celu ewentualnym poszukiwaczom. Mając to wszystko na uwadze Marek zgromadził pokazną ilość sprzętu i indywidualnego wyposażenia. Zdawał sobie sprawę, że jest to zrobione znacznie na wyrost, ale znał dobrze zasadę, że jak coś ci będzie potrzebne, a nie będzie tego pod ręką, to na pewno okaże się to potrzebne. Jeżeli masz dodatkową rezerwę, to w większości wypadków nigdy nie jest ona potrzebna. Dlatego też lista była długa, a w miarę jak malała, zwiększała się objętość rzeczy do zabrania.

*

Telefon od docenta Henryka Zielińskiego z prośbą o spotkanie Marek odczytał jako zakończenie badań nad walcem. Tym chętniej zgodził się na zaproponowany termin. Spotkanie nie przebiegło tak, jak się spodziewał. Owszem wyniki badań były i dostał je do ręki, ale docent miał też sporo pytań. Z oględnych omówień badań przedstawionych przez docenta Marek zrozumiał w końcu jedną konkluzję.

Taki stop na Ziemi nie miał prawa istnieć. 23 procent jego składu chemicznego było niemożliwe do ustalenia. Pozostałą część stanowiły pierwiastki znane nauce. To, że nie można przy obecnym stanie wiedzy określić składu chemicznego jakiejś rzeczy, nie było według docenta niczym niezwykłym. Sam zna kilka przypadków, gdzie do dzisiaj nie udało się ustalić składu chemicznego ani wieku i faktycznego pochodzenia paru przedmiotów, a nauka po prostu przeszła nad tym do porządku dziennego. Ten walec też należy zaliczyć do takich przypadków.

Charakteryzuje się on też cechą, z którą się dotąd nie spotkał. Otóż okresowo generuje on słabe pole magnetyczne, a tego nie jest w stanie wytłumaczyć i to tym bardziej, że pole to zmienia swoją wartość. Prześwietlenie wykazało, że jest to jednorodna struktura i nie ma mowy, aby w środku znajdował się jakiś element, który by tym sterował. Wygląda to tak, jakby stop wiedział sam, kiedy i jakie pole magnetyczne ma uruchomić. Nie udało się ustalić, skąd czerpie do tego energię, a w ogóle to tę właściwość walca odkryto przez przypadek. Twardość stopu została wytłumaczona domieszką nieznanego pochodzenia, ale docent zastrzegł się, że może istnieć inne wytłumaczenie, gdyż stop ma twardość o jakiej nikomu się nawet nie śniło. Żadna próba mechanicznego uzyskania próbki się nie powiodła. Użycie lasera pozostawiło ledwo widoczny ślad na powierzchni stopu i tylko dzięki temu dokonano analizy chemicznej walca, gdy pozostałe znane metody zawiodły całkowicie. Dlatego docent chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o pochodzeniu walca, bo może dzięki temu uda mu się wyjaśnić część zagadki z nim związanej.

Marek starannie dobierał słowa, gdy mówił, że w chwili obecnej nie może spełnić jego prośby. Wyjaśnił, że gdyby powiedział prawdę, to mógłby mieć poważne kłopoty, a docent opierając się na tym, mógłby mieć przypiętą łatkę niezrównoważonego naukowca. Śmieszność w świecie nauki jest najgorszą rzeczą jaka może się przytrafić badaczowi, bo oznacza jego śmierć naukową i chyba ten ostatni argument był przekonujący, bo naukowiec zrezygnował z dalszych dociekań. Wymógł za to na Marku obietnicę, że jak tylko znajdzie on w tej sprawie coś nowego, to zgłosi się z tym do niego.

Wracając z wynikami badań Marek na poważnie zastanawiał się, dokąd to wszystko zmierza. Zamarzyło mu się na starość przeżyć przygodę z poszukiwaniem skarbów, a realizował teraz wcale niemałą inwestycję i był w posiadaniu trzech metalowych walców pochodzących nie z tej ziemi, albo wykonanych w technologii znanej tylko tym, którzy to stworzyli. Dodatkowo gdzieś na horyzoncie majaczyła III Rzesza i druga wojna światowa.

*

Marek był na bieżąco informowany przez Michała o postępie robót w Kopaczu. Sprzęt potrzebny do poszukiwań był już skompletowany i

spakowany. Po konsultacji z Wieśkiem i Andrzejem ustalili termin rozpoczęcia poszukiwań na 11. czerwca. Wiesiek miał zabrać Andrzeja i przyjechać do Kopacza 10. czerwca wieczorem. 8. czerwca załadował cały sprzęt do samochodu i w południe dotarł do Kopacza.

Michał czekał na niego w domu. Samochód wstawili do garażu i wnieśli cały sprzęt do jadalni. Michał po przejrzeniu sprzętu dokonał paru przeróbek. Mikrofon i odbiornik do komunikacji radiowej zamontował na stałe wewnątrz hełmów i na dwóch hełmach obok stałego źródła światła zamontował miniaturowe kamery telewizyjne. W ten sposób ci, co byli na zewnątrz, mogli widzieć to samo, co pierwsza dwójka widziała pod ziemią. Powiedział też, że jutro zmontuje osiem przekaźników sygnałów radiowych – telewizyjnych, aby zapewnić stałą łączność na znacznym odcinku pod ziemią. Wystarczy je położyć w suchym miejscu, a będą działać nieprzerwanie przez 70 godzin. Detektor metalu i elektroniczny analizator powietrza działały bez zarzutu. Maski gazowe i aparaty do oddychania w obiegu zamkniętym też były w porządku. Wszystko to sprawdzili doświadczalnie. Ryzyko jakie podejmowali wchodząc do nieznanych podziemi chcieli zminimalizować tak dalece, jak to leży w ludzkich możliwościach. Niebezpieczeństwa nie można było uniknąć całkowicie, ale wszelkie dostępne środki należało podjąć, aby je zredukować do minimum. Wydawało się, że wszystko to zostało zrobione.

*

Obiad zjedli w domu i usiedli w wiklinowych fotelach na tarasie, gdy zapiszczał przenośny monitor, który Michał przyniósł z sobą.

– To do ciebie – powiedział Michał patrząc na ekran. – Sąsiad stoi przed furtką. – Marek podniósł się z fotela i poszedł zobaczyć o co chodzi.

– O! Bardzo się cieszę, że pana widzę! Nie wiedziałem, że pan jest na miejscu – sąsiad był naprawdę ucieszony jego widokiem. – Ja przyszedłem się pożegnać i cieszę się, że mogę to zrobić osobiście i podziękować panu za to, co pan zrobił dla nas.

Marek poczuł się trochę głupio. Nie zrobił przecież nic specjalnego dla tego człowieka. Kupił od niego nieruchomość i pozwolił im mieszkać dalej tyle czasu, ile będzie potrzebne na likwidację wszystkich spraw na miejscu. Wydawało mu się, że tak postąpiłby każdy normalny człowiek. Widocznie nie było to tak oczywiste i sąsiad ocenił to

inaczej.

– Nie ma pan za co dziękować. Cieszę się, że udało się panu wszystko pozałatwiać. Życzę panu, aby u syna czuł się pan równie dobrze jak tutaj.

– Dziękuję! Wyjeżdżamy jutro o 10. rano i chciałem uzgodnić, co zrobić z kluczami.

– Jak nas nie będzie, to może je pan wrzucić do skrzynki na listy.

– Dobrze – sąsiad skinął głową i podał rękę na pożegnanie. Uszedł parę kroków, gdy coś mu się przypomniało i odwrócił się.

– A z tym co zostało w domu, to może pan zadysponować tak, jak uzna za stosowne.

Marek podniósł rękę na znak, że zrozumiał i patrząc na oddalającego się mężczyznę pomyślał, że on nie odważyłby się w jego wieku na zmianę kraju zamieszkania. Podobno starych drzew się nie przesadza. Z tą myślą w głowie wrócił na taras do Michała.

– Mamy teraz do dyspozycji drugi dom. Sąsiedzi wyjeżdżają na stałe jutro rano.

– No właśnie. Coś mi się przypomniało, jak zobaczyłem go u furtki – powiedział Michał. – Jak przeglądałem dokumenty dotyczące domu i działki to zauważyłem, że nie ma nigdzie zaznaczonej drogi, którą wjeżdżamy. Sprawdziłem to później w geodezji i faktycznie ta droga nie istnieje. Granica działki obejmuje również drogę. Przed wojną właścicielem całości była jedna osoba i dom został pobudowany na końcu działki. Po wojnie podzielono ten teren na cztery części i wjazd, z którego korzystał poprzedni właściciel, potraktowano jako drogę wjazdową i tak już zostało. Na dzisiejszych planach jest naniesiona jako ulica, ale od strony prawnej to jej nie ma. Ktoś czegoś nie dopilnował i mamy dom przy nieistniejącej ulicy.

– Sprawdzę to w papierach tych dwóch działek obok – Marek zastanawiał się jakim cudem taki błąd uchował się przez tyle lat i na głos wyraził swoją opinię. – Nawet jeśli to prawda, to nie będziemy tego prostować teraz. Tak mi się wydaje.

– Mnie tam ganc pomada – zamknął dyskusję na ten temat Michał.

Później opowiedział o dalszych porządkach, jakie porobił burmistrz w gminie i na jakim etapie są roboty przy wyciągu. Po kolacji Michał poszedł do swojego pokoju rozrysować schemat przekaźnika i przygoto-

wać listę części do kupienia, a Marek został na dole w salonie przy telewizorze. Chciał zobaczyć program publicystyczny o rabunku dzieł sztuki w czasie ostatniej wojny. Czyżby natura ciągnęła wilka do lasu?

*

Rano zjedli śniadanie i Michał pojechał do biura, a Marek wybrał się na wizję lokalną. Chciał sam zobaczyć, jak wszystko wygląda w terenie. Był zbudowany tym, co zobaczył. Wszędzie panował ład i porządek. Mimo, że zatrudniono ponad 100 osób, nie zauważył, żeby ktoś się objął. Wglądało na to, że trzeba będzie pomyśleć o premii dla kierownika budowy. Dziwne wrażenie robił teren ogrodzony żółtymi słupkami i pomarańczową siatką, ale tak już musiało zostać. Sadzonki posadzone przez Michała rosły w widocznym tempie i chyba do zimy faktycznie będą miały ponad dwa metry wysokości. Później pojechał obejrzeć zbocze góry, gdzie mieli od jutra zacząć swoją przygodę z poszukiwaniami. Drogę do ich terenu zamykała masywna brama, ale klucz jaki dostał od Michała pasował i podjechał aż do zakrętu drogi, skąd już było niedaleko do platformy widokowej. Doszedł do końca i teraz dopiero zobaczył, o ile zwiększyła się powierzchnia platformy. Teraz robiła imponujące wrażenie. Podszedł do kontenera i otworzył drzwi. W środku było prawie pusto. W kącie stało parę łopat i łomów, dwa kilofy i taczki. Agregat prądotwórczy był przykryty folią, a obok leżały dwa bębny z przewodem elektrycznym i lampy z końcówkami do podłączenia. Domyślił się, że to zostało na miejscu z polecenia Michała, bo mogło się przydać do poszukiwań. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że zrobiło się prawie południe. Wziął telefon do ręki i zadzwonił do Michała. Był w biurze i Marek zapowiedział się na kawę.

*

W ciągu pół godziny dojechał na miejsce i zaparkował przed biurem. Wszedł do pokoju Michała, a ten sięgnął od razu do telefonu i poprosił o przyniesienie dużej kawy.

– Popatrz! Ci idioci z rządu to niedługo opodatkują nawet gówno w sroczu!

– O co chodzi? – Marek był trochę zaskoczony takim stwierdzeniem.

– O te proponowane stawki VAT-u. Przecież te przepisy podatkowe tworzą chyba totalne przygłupy, którzy życie gospodarcze znają chyba tyl-

ko z teorii albo z filmów w telewizji.

Marek pomyślał, że od tej pory nie będzie już musiał dyskretnie chronić go przed popełnieniem błędu. Skoro doszedł sam do tak zdrowych poglądów, to teraz da sobie radę bez niczyjej pomocy. Michał musiał jeszcze dokupić brakujące mu detale do przekaźników, bo nie dostał wszystkiego co było mu potrzebne i na Marka spadł obowiązek zrobienia większych zakupów, aby mieli co jeść, gdy przyjedzie Wiesiek z Andrzejem. Zrobił zakupy i w drodze do domu zjadł obiad w nowo otwartym barze. Czyżby to efekt nowej polityki burmistrza, którą sami zasugerowali na jednym ze spotkań? – przemknęło mu przez myśl.

Po przyjeździe na ich posesję, wziął się za planowanie jutrzejszych poszukiwań. Niedługo przyjechał Michał i zniknął u siebie w pokoju z przywiezionymi częściami. Wyglądało na to, że przygotowania do pierwszego starcia z tajemnicami III Rzeszy dobiegły końca.

*

O godzinie 18. przyjechał Wiesiek z Andrzejem. Po wypiciu kawy Michał zaczął demonstrować sprzęt, jaki został przygotowany do poszukiwań. Okazało się, że tylko Andrzej wymagał dłuższego instruktażu, a pozostali mieli już do czynienia z takim lub podobnym sprzętem i jego używanie nie stanowiło dla nich żadnego problemu. Wykrywacz metalu trafił pod opiekę Marka, bo miał największą praktykę w posługiwaniu się nim, a analizator powietrza dostał Wiesiek. Za komunikację radiową i przekaz z kamer odpowiadał Michał, a Andrzej miał mieć oczy szeroko otwarte i uczyć się. Marek przypomniał jeszcze raz wszystko, co do tej pory udało się ustalić i zweryfikować. Chciał, aby każdy powiedział, jak widzi prowadzenie poszukiwań mając na uwadze to, co wiedzą i uwzględnili w tym dane osobowe dotyczące SS-Standartenführera Franza Bredowa, które niedawno dostał i chciał teraz im przekazać.

*

SS-Standartenführer Franz Bredow urodził się 1907 roku. Członek SS numer 3867. Studia techniczne ukończył na Politechnice Berlińskiej. Do 1942 roku pełnił jedną z kierowniczych funkcji w Urzędzie Administracyjno – Gospodarczym SS (SS – Wirtschafts – und Verwaltungshauptamt, WVHA). Od 1943 roku zaczęto mu powierzać do wykonania „zadania specjalne” związane z realizacją szczególnie ważnych

projektów zbrojeniowych. Jego przełożeni oceniali, że podczas realizacji nałożonych na niego zadań wykazywał się „niezwykłą energią, przedsiębiorczością i bezwzględnością”. Brał udział w operacji „Rheinhenau”, „Erntefest” i innych, które wiązały się z zagrabionym mieniem znacznej wartości. Od czerwca 1944 roku był zastępcą Dowódcy Ewakuacji Specjalnych w okręgu „Południe”. W styczniu 1945 roku pojawił się tutaj. Tyle Marek mógł powiedzieć teraz.

– Te operacje „Rheinhenau” i „Erntefest” dotyczyły fizycznej likwidacji Żydów i grabieży ich majątków? – Andrzej chciał się upewnić, czy dobrze pamięta te nazwy. Marek skinął głową na znak potwierdzenia.

– Jako były wojskowy zrobiłbym tak – Wiesiek jako pierwszy przedstawiał swoją koncepcję.

– Mam do schowania ważne dokumenty i cenne wartości materialne. Dysponuję trzema schowkami. Muzeum w sztolni i prawie obok stary chodnik kopalniany oraz restauracja w zboczu góry. Zgodnie z zasadą, że nie chowa się całego transportu w jedno miejsce, to dzielę go na pół i chowam w starym chodniku i w sztolni, gdzie jest muzeum. Restaurację wykorzystuję do zlikwidowania więźniów, bo świadków nie mogę zostawić. Taki scenariusz jest zgodny z tym, co wiemy ze wspomnień sierżanta. Ładunek był noszony przez więźniów za zakręt drogi. To oznacza, że te dwa miejsca wykorzystano na schowanie ładunku. Co prawda, sierżant odjeżdża i nie widzi, co się stało z więźniami, ale z rozliczenia czasowego wynika, że Standartenführer miał dosyć czasu, aby zapędzić więźniów do restauracji w podziemiu i tam ich zlikwidować przez wysadzenie w powietrze wejścia. Potem mógł spokojnie dojechać na miejsce zasadzki. Pamiętajmy, że sierżant nie napisał nic o tym, że słyszał jakieś wybuchy, ale wiemy, że widział tam saperów z SS. To może oznaczać, że zaminowali oni obiekty przeznaczone do wysadzenia i Standartenführer włożył tylko klucz do zapalarki i go przekreślił. Na to nie trzeba dużo czasu. Ponadto sierżant widział, jak dowódca saperów odmeldowując się wręczył Standartenführerowi jakiś przedmiot. Według mnie to był klucz do zapalarki. Tyle mojej teorii. Przez długą chwilę wszyscy w milczeniu trawili usłyszaną wersję.

– W zasadzie jest to bardzo spójna koncepcja – odezwał się Michał – Dodałbym do tego jeszcze to, że zacząłbym poszukiwania od sztolni, gdzie było muzeum. Patrząc na to z punktu widzenia naszego bez-

pieczeństwa. Wiemy, że muzeum było czynne jeszcze w 1939 roku. Odwiedzały go liczne wycieczki, w tym także szkolne. Jeżeli były dzieci, to był i hałas. Wiadomo, że podziemia nie lubią hałaśliwych gości. Jeżeli Niemcy tam wpuszczali dzieci, to oznacza to, że obiekt ten był dobrze zabezpieczony i powinien być w znacznie lepszym stanie niż położony obok chodnik kopalniany.

Marek słuchał z zainteresowaniem i uwagą. Kiedyś z racji służbowych obowiązków dowiedział się, gdzie Michał odbył służbę wojskową i w jakiej specjalności. Nie było to wojsko polskie, a jego obowiązywały pewne zasady i ten fakt musiał pozostać tajemnicą dla pozostałych. Dlatego jego opinia była dla niego tak samo ważna jak i Wieśka.

– Nic dodać, nic ująć – Marek podzielał poglądy wygłoszone uprzednio. – Zdecydujemy na miejscu – zaproponował.

– Mnie tam mięta. Ja tylko obserwator – Andrzej zacytował zdanie z „Księgi urwisów” na znak, że też nie widzi, co można by dodać do tego, co zostało już powiedziane. – Pozostali skinęli głową na znak zgody.

– Skoro już nic nie wymyślimy, to bierzemy się za zrobienie kolacji – Marek zamknął naradę. – Dzisiaj kolację i jutro śniadanie przygotowuję ja z Michałem, a później wasz dyżur – Marek zwrócił się do Andrzeja i Wieśki. – Śniadanie jest o 6.30 i o siódmej wyjeżdżamy.

Mimo swobodnej rozmowy przy kolacji dawało się wyczuć pewien element napięcia i oczekiwania wiszący w powietrzu. Nikt nie miał ochoty na wieczornego drinka i wszyscy poszli wcześniej spać. To ciekawe jakie reakcje wyzwała w człowieku bliskość tajemnicy. Czterech facetów w sile wieku, na nieformalnych wakacjach, bez nadzoru małżonek, a nikt nie wypił nawet butelki piwa.

Rano wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Po śniadaniu zapakowali sprzęt na dwa samochody i ruszyli kusić los. Wjechali na górę i przenieśli sprzęt do kontenera. Przebrali się w robocze kombinezony i zabrali do fizycznej pracy, jaką było niewątpliwie odgruzowanie dostępu do wejścia do muzeum. Pierwszy hasło do odpoczynku dał Andrzej.

– Ja protestuję! Nająłem się do szukania skarbów, a zapieprzam jak fizyczny. Pot leje mi się po dupie i domagam się przerwy.

– Przerwa na papierosa – podchwycił Wiesiek. – Jako namiętny

palacz ochoczo korzystał z okazji na puszczenie dymka. Docenili teraz wygodę składanych krzesełek turystycznych, które Michał dorzucił do wyposażenia. Rozkładany stolik przydał się na postawienie kubków do kawy.

– Na razie to wygląda na biwak starszych panów, a nie na obóz poszukiwaczy skarbów – Andrzejowi wracał humor. – Ciekawe ile jeszcze metrów musimy się przekopywać?

– Nie sądzę, żeby było daleko – odezwał się Michał. – Boczne ściany i sklepienie są coraz równiejsze i wkrótce powinniśmy dojść do drzwi.

– Do jakich drzwi? – Andrzej był zdziwiony.

– Jeśli było tu muzeum, to chyba było zamykane w jakiś sposób, a nie stało otworem przez cały czas – wyjaśnił Michał.

– Faktycznie o tym nie pomyśleliśmy – zgodził się Wiesiek.

– Koniec przerwy – obwieścił Marek.

Rzeczywiście długo nie trwało, gdy odezwał się Wiesiek. – Chyba coś mam – w ręce trzymał kawałek starej deski. – Pod spodem jest coś co wygląda jak szyna kolejowa. Po godzinie wytężonej pracy wiedzieli już, o co chodzi. Szyny kolejowe przycięte na wymiar zostały oparte na skos przed drzwiami, a na nie położono grube deski, aby zabezpieczyć drzwi muzeum przed uderzeniem gruzu skalnego po wybuchu.

– Musieli mieć dużo czasu skoro mogli pomyśleć o takim zabezpieczeniu drzwi. Trzeba uważać, czy nie przyszykowali tu jakiejś wybuchowej niespodzianki – powiedział Wiesiek. – Drzwi nie wyglądały na uszkodzone. Były wykonane z dębu i wzmocnione metalowymi elementami. Wprawiony zamek był imponujących rozmiarów. Wyglądało na to, że pojawił się problem, o którym nikt nie pomyślał. Na głos obwieścił to Andrzej.

– Jak my to teraz otworzymy? – A może to jest otwarte?

Sięgnął ręką do klamki i nacisnął. Klamka ani drgnęła. Uwiesił się całym ciężarem ciała. Drgnęła i ze zgrzytem opuściła się do połowy i zatrzymała. Spróbował jeszcze raz. Efekt był taki sam.

– Poczekaj! Mam coś w samochodzie. Może to pomoże – odezwał się Michał.

Przyniósł dwa pojemniki z aerozolem. Spryskał wszystkie dostępne miejsca w zamku. Andrzej nacisnął ponownie. Zauważalnej różnicy chyba nie było, ale już nic nie zgrzytało.

– Spróbuj mocniej – poradził Wiesiek.

Andrzej położył obydwie ręce na klamce i uwiesił się całym swoim ciężarem. Klamka na moment zatrzymała się tam, gdzie poprzednio, a później coś trzasnęło i opuściła się do końca. Ręce Andrzeja ześlizgnęły się z niej i z całym impetem wylądował tylną częścią ciała na skalnym podłożu. Przez chwilę siedział nieruchomo, rozważając co się stało i powoli wstał, delikatnie rozcierając sobie tylną część pleców, gdzie traciła one swą szlachetną nazwę.

– O Jezu! Chyba sobie stłukłem dupę! – obwieścił zbolalym głosem.

– Ja już do tych drzwi nie podchodzę! Otwierajcie je sobie sami.

Salwa śmiechu skwitowała jego słowa. Obejrzeni dokładnie miejsce zetknięcia framugi z futryną. Wydawało się, że szpara jest minimalnie większa. Łom tu nie wejdzie, ale ostrze saperki może wejść. Wiesiek wsuwał saperkę u góry drzwi, a Michał z dołu. Marek starał się je popychać masą swego ciała do przodu. Po kilku próbach szpara zaczęła się pomału powiększać i w końcu ku ich zdumieniu drzwi z dużym oporem dały się otworzyć do końca.

– Widzicie! Gdyby nie ja, to nadal byście kombinowali, jak otworzyć drzwi, które nie są zamknięte – Andrzej stał w bezpiecznej dla siebie odległości od drzwi.

Stanęli twarzą w twarz ze swoją tajemnicą. Światło docierające z zewnątrz rozpraszało mrok panujący za drzwiami na krótkim odcinku. Dalej panowała intensywna ciemność. Markowi wydawało się, że na twarzy czuje ruch powietrza.

– Daj papierosa – poprosił Wieśka.

– Coś ty ! Przecież przestałeś palić! – ten zaprotestował bez przekonania i podał paczkę.

Marek zapalił i wydmuchał duży kłąb dymu do góry. Dym powoli, ale zdecydowanie popłynął do wnętrza tunelu. Ponowiona próba dała ten sam efekt.

– Wygląda na to, że system wentylacyjny działa do dzisiaj – Michał podsumował wykonaną próbę, bo szybko skojarzył, po co był zapalony papieros.

– No, to panowie, do roboty – Andrzej zacierał ręce.

Marek i Wiesiek założyli na siebie ekwipunek. Michał uruchomił system łączności. Działał bez zarzutu.

Obraz z kamer na kaskach był wyraźny na monitorze laptopa stojącego na rozkładanym stoliku, stanowiącym teraz ich „polowe” centrum dowodzenia tego etapu poszukiwań. Michał jeszcze raz sprawdził oporzędzenie, które mieli na sobie.

– No, teraz to wyglądacie jak prawdziwi poszukiwacze – ocenił ich wygląd Andrzej.

Rzeczywiście. W kaskach na głowie, z przytroczonym aparatem do oddychania i maską przeciwgazową na pasku oraz z małym workiem brezentowym w jednej ręce i latarką w drugiej mogli pasować do stereotypu poszukiwacza. Butów nie zmieniali na gumowe i zostali w wojskowym obuwiu, bo nie spodziewali się tutaj dużych ilości wody. Pierwszą parę stanowili Wiesiek z Markiem. Stanęli u wejścia i włączyli reflektory na kaskach.

– Odstęp od 4 do 5 metrów – powiedział Wiesiek, a Marek skinął głową. – Taka odległość dawała szansę, że w razie wypadku jeden może przyjść z pomocą drugiemu.

– Wchodzę! – Wiesiek ruszył naprzód.

Zrobił trzy kroki i stanął na granicy mroku. Powiódł promieniem latarki po ścianach i stropie. Podszedł bliżej do ściany korytarza i przyjrzał się jej uważnie. Wyciągnął nóż i delikatnie nacisnął. Spod pyłu błysnęła jasna smuga. Obok wisi lampa ze stłuczonym kloszem i zbitą żarówką. Dotknął nożem izolacji instalacji oświetleniowej. Parę kawałków skruszonej izolacji opadło na dół. Poskrobał mocniej nożem. Goły przewód zaśnił kolorem miedzi.

– Wygląda na to, – zaczął swoją relację – że Niemcy zastosowali tu coś w rodzaju obudowy górniczej. Ściany i strop są tak zabezpieczone. Część nosi ślady malowania pod kolor naturalnej skały, a na części jest tynk imitujący skałę. Widać wyraźne ślady korozji, ale pod spodem jest zdrowy metal. Nie widać śladów pęknięć i wybrzuszeń. Instalacja oświetleniowa jest wykonana w miedzi, ale izolacja jest zmurszała i nie da się jej wykorzystać. Nie widać wilgoci, ale są ślady po zaciekach. Na podłodze dużo pyłu i kurzu. Nie ma wcale żadnych odłamków skalnych, a tylko odpryski z tynku. Szerokość korytarza około 3,5 metra, a wysokość mniej niż 3 metry. Kontrolka powietrza świeci na zielono.

– Zrozumiałem – głos Michała brzmiał czysto i wyraźnie. Skład powietrza w normie. Temperatura 7,2 stopnia. Wilgotność 92% – dane od-

czytał ze swojego monitora.

– Niech Marek weźmie z sobą przewód i rozwija go za sobą, to podłączymy swoje oświetlenie. Ja idę dalej.

Marek potwierdził i wziął od Andrzeja zwinięty przewód. Teraz widać było, jak przydaje się bezpośrednia łączność między nimi. Wiesiek zbliżał się powoli do końca pierwszego odcinka korytarza, który powoli zaczynał wykręcać w prawo. Światło latarki wyrwało z mroku zarys wagonika do wywozu urobku. Czyżby pierwszy eksponat? – taka myśl pojawiła się u niego na ten widok. Wagonik stał po lewej stronie korytarza przed samym zakrętem. Podszedł bliżej i oświetlił go. Może to i był eksponat, ale jego obecność w tym miejscu była co najmniej dziwna. W tyle obok leżała jakaś szmata czy coś podobnego.

– Marek! Chodź tu z przewodem. Trzeba włączyć nasze oświetlenie. I musisz to zobaczyć. Coś mi tu nie pasuje.

Marek ruszył w jego kierunku. Złapał się na tym, że podświadomie stawia kroki w ślady pozostawione w tyle przez buty Wieśka. Doszedł do niego i położył niesiony przewód po drugiej stronie korytarza. Podłączył jedną lampę, którą dostał od Andrzeja wraz z przewodem i poprosił o włączenie generatora. Halogenowa żarówka zaświeciła ostrym, białym światłem. Mrok zniknął jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki. Odwrócił się i podszedł do Wieśka, który wyjmował z worka szeroki pędzelek. Wzrokiem wskazał mu coś leżącego obok wagonika. Faktycznie wyglądało to jak kupka porzuconych szmat. Z pędzelkiem w ręce klęknął obok i delikatnie zaczął usuwać pył, który to pokrywał. Razem z pyłem odrywały się płatki czegoś podobnego do zgniłej tektury. Jeszcze parę ruchów i zobaczyli co było pod spodem.

– Walther – ocenił Marek. Mimo kilku plam rdzy broń wyglądała zupełnie dobrze.

– Tak. P – 38. Tylko czemu leży akurat tutaj? – Wiesiek miał wątpliwości.

Marek zastanowił się. Faktycznie. Gdyby nie gruba warstwa kurzu i pyłu z leżącymi w nim kawałkami tynku można by powiedzieć, że niedawno ktoś tutaj sprzątał. Leżący tu pistolet zupełnie do tego nie pasował.

– Myślisz, że to wabik?

– Sprawdzimy – Wiesiek zaczął dalej operować pędzelkiem.

Oczyszczone pole wokół pistoletu zaczęło się powiększać.

– Widzisz? – wskazał na rdzawy ślad biegnący w kierunku wagonika.

Marek kiwnął głową. Posuwając się rdzawym śladem dotarli do koła wagonika. To, co wydawało się im klinem pod koło, okazało się drewnianym pudełkiem z pokrywą. Wiesiek podniósł się z kolan i powiedział.

– Pułapka jest prosta i skuteczna. Ktoś niewtajemniczony wchodzi do środka. Widzi leżący pistolet i odruchowo go podnosi. Cieniutki drut żelazny przymocowany do broni wyciąga zawleczkę i zwalnia napiętą iglicę, która pod wpływem sprężyny uderza w spłonkę inicjującą, a ta z kolei powoduje zapłon spłonki detonującej i wybuch materiału wybuchowego. Mając tylko do dyspozycji światło latarki nie jesteś w stanie tego dostrzec. Podnosisz broń i bum! To właśnie jest w tym pudełku.

– Wewnątrz wagonika też coś jest – Marek stał obok i świecił latarką do jego wnętrza.

Wiesiek podszedł i trzymanym w ręku pędzelkiem odgarnął zalegający kurz i nagle się spocił.

– O kurwa mać! To jest wypełnione trotylem! Tego jest z kilkadziesiąt kilo. Jak to pierdolnie, to nie zostanie z nas nawet mokra plama.

– To co robimy?

– Daj mi się zastanowić – Wiesiek już trochę ochłonął po zaskakującym odkryciu.

– Proponuję, żebyście zostawili to tak jak jest i wyszli na zewnątrz – usłyszeli w słuchawkach głos Michała.

Popatrzyli na siebie i Wiesiek odpowiedział: – Dobra, już wracamy. – Z widoczną ulgą zdjęli hełmy i usiedli na składanych krzeselkach. Z wdzięcznością przyjęli kubki z kawą od Andrzeja.

– Wy sobie odpocznijcie, a ja pójde zobaczyć, jak to wygląda – Michał spojrział na Marka i na potrzeby pozostałych obecnych dodał: – Miałem z tym do czynienia w wojsku i znam się na tym. Wziął swój hełm i poszedł. Wrócił po chwili, która wydała się im krótka. Zaskoczył ich swoim zamówieniem.

– Potrzebuję długi płaski śrubokręt, nóż o wąskim ostrzu, kombinierki i kawałek drutu o średnicy takiej jak w spinaczu biurowym. Pierwsze trzy pozycje znalazły się bardzo szybko, ale trochę dłużej trwało znalezienie drutu. Andrzej chciał towarzyszyć Michałowi, ale spotkał się

ze stanowczą odmową. Nie było go teraz przez dłuższą chwilę. Wyłonił się z tunelu trzymając w jednej ręce drut, na końcu którego wisiało coś zbliżone kształtem do ołówka, a w drugiej trzymał sprzęt, który zabrał z sobą.

– Zrobione! – zakomunikował. – To jest zapalnik od miny typu Schutzenmine – 42 w bardzo dobrym stanie. Trzeba teraz wynieść cały trotyl na zewnątrz, aby nie kusić losu.

– Niepotrzebnie tak ryzykowałeś – powiedział Wiesiek z wyrzutem i podziwem zarazem.

– Nie aż tak bardzo. Najpierw dokładnie wszystko sprawdziłem. Gdyby zapalnik był wkręcony w metalową obudowę, to bym go nie wykręcał. Proponuję zabrać się za wynoszenie trotylu, bo pomału zacznie nam brakować czasu, żeby zobaczyć co jest na końcu tunelu.

– Po co mamy go wynosić? To może być niebezpieczne! – Andrzej nie miał żadnego doświadczenia wojskowego, bo nawet na studiach udało mu się skutecznie uniknąć kontaktu z wojskiem.

– Żeby to spalić i to jest bezpieczne – Michał jednym zdaniem wyjaśnił jego dwa zastrzeżenia.

– Czyś ty zwariował? Przecież to jest materiał wybuchowy! – wzrokiem szukał poparcia u pozostałych i potwierdzenia dla swojej tezy o chwilowej dewiacji psychicznej Michała.

– Chyba jest to najlepsze rozwiązanie. Zgłosić tego nie możemy, a pozostawić samopas też nie można. Jak zaczniemy sami to detonować, to zleci się z pół Polski – Wiesiek wypowiedział swoją opinię: – Jestem za.

– Wam wszystkim chyba rozum odjęło! Dotknęła was całkowita aberracja umysłowa! Będę wam tak wymyślał dalej, dopóki mi nie powiecie, o co tu chodzi – Andrzej stanowczo domagał się wyjaśnień w nieznaną mu dziedzinie.

– Trotyl jest względnie bezpiecznym materiałem wybuchowym. Można go kroić i rzucać o ziemię i nie wybuchnie. Przynajmniej nie powinien. Jak go podpalić zapałką, to będzie się spalał jak łój czy parafina – Wiesiek z poważną miną udzielał wyjaśnień.

– To ja to cholerstwo spale! – zadeklarował się odważnie Andrzej.

Wagonik został opróżniony z zawartości i Andrzej dokładnie pouczony co i jak należy robić, zabrał się do spalania trotylu. Wiesiek z Mar-

kiem założyli kaski i ruszyli z powrotem do tunelu. Doszli do miejsca, gdzie korytarz zaczynał skręcać w prawo i Marek został na miejscu, a Wiesiek ruszył dalej. Oddalił się od Marka na parę kroków, gdy ten usłyszał głos Michała w słuchawkach.

– Nie mam obrazu z kamery Wieśka i nie słyszę jego oddechu w mikrofonie.

– Ja go widzę i słyszę.

– To dobrze, ale zatrzymaj go i uruchom jeden z przekaźników.

Marek kazał się zatrzymać Wieškowi i wyjął ze swojego worka przekaźnik i włączył go. Zielona kontrolka na obudowie zapłonęła kolorem jasnej zieleni. Położył przekaźnik na podłodze korytarza w miejscu, gdzie zaczynał się zakręt.

– W porządku. Wszystko działa, jak trzeba – głos Michała słyszeli obydwaj, bo Wiesiek podniósł kciuk do góry i ruszył do przodu. Po dłuższej chwili odezwał się: – Przeszedłem jakieś 30 metrów i po lewej mam szerokie wejście, a korytarz biegnie dalej po lekkim łuku. Niech Marek przyjdzie tu ze światłem.

Marek doszedł z przewodem i podłączył lampę, którą zabrał z sobą, jak wchodzili drugi raz do korytarza.

Pomny na poprzednie doświadczenie wyjął przekaźnik i gdy kontrolka zaświeciła na zielono, położył go na ziemi przy ścianie. Jaskrawe światło rozpraszało mrok na tyle, że można było dostrzec, iż za wejściem po lewej stronie mającą jakieś kształty. Spojrzał na Wieśka i widząc jego przyzwalające skinienie postąpił naprzód i minął wejście. Stał w pomieszczeniu i powierzchni około 40-50 metrów kwadratowych. Światło z jego hełmu i latarki wyrzywało z mroku stosy skrzyń ustawionych jedna na drugiej wzdłuż ścian.

– O rany! – wyrwało mu się mimowolnie. – Znalazłem te skrzynie! Jest tu tego cały stos.

Wiesiek dołączył do niego i w milczeniu wodził snopem światła swojej latarki. Zrobiło się jaśniej. Snop światła powędrował do góry i w jednym miejscu znieruchomiał.

– Popatrz ! Tu jest otwór wentylacyjny. Spotkałem już takie w korytarzu – odezwał się Wiesiek do Marka i zaraz dodał: – Michał! Daj Andrzejowi drugi przedłużacz, dwie lampy i niech z tym przyjdzie do nas!

Czekając na Andrzeja w milczeniu przyglądali się skrzyniom zalegającym w pomieszczeniu. Na tych po lewej stronie można się było dopatrzeć hitlerowskiej wrony i widać było symbole namalowane farbą. Dodatkowo ujednociony format skrzynek pozwalał się skłonić ku przypuszczeniu o ich wojskowym pochodzeniu. Te stojące na środku i po prawej stronie miały różne formaty i były w różny sposób zabezpieczone na czas transportu czy też składowania. Wyglądały po prostu na bardziej cywilne. Doliczyli się łącznie 44 sztuk. Usłyszeli idącego Andrzeja i za chwilę pojawił się on sam we własnej osobie. Przedłużacz zwiślał mu na ramieniu, a w każdej ręce miał po jednej lampie. Minę miał jakąś niewyraźną.

– Co ci jest? – Wiesiek pierwszy zdążył zapytać o powód jego niepewności na twarzy.

– Jak pomyśle, że tyle ton mi wisi nad głową to aż mnie ciarki przechodzą. Nie wydaje się wam, że tu jest duszno? Wiesiek spojrzał na kontrolkę analizatora powietrza. Spokojnie świeciła na zielono.

– Andrzej zostaw te klamoty i wracaj do swojej roboty – głos Michała zabrzmiał tonem polecenia. – Dane powietrza praktycznie bez zmian – to była wiadomość dla nich.

Widzieli, jak Andrzej z widoczną ulgą kładzie na ziemi to, co przyniósł i szybko wraca. Spojrzeli na siebie. Czyżby zapowiedź przyszłych kłopotów? Klaustrofobia nie jest pożądaną cechą dla poszukiwań pod ziemią. Zdaje się, że pomyśleli o tym samym. Nie padło jednak żadne słowo komentarza. Szybko podłączyli lampę i teraz dokładniej było widać wszystkie szczegóły. Na niektórych skrzyniach dopiero teraz uwidoczniły się napisy wykonane na nich. Marka aż korciło, aby otworzyć pierwszą z brzegu, ale udało mu się powstrzymać od tego i zaproponował Michałowi, że zmieni go na jego stanowisku, a on niech tu przyjdzie i sprawdzi, czy nie ma tu jeszcze jednej niespodzianki.

Zamienili się miejscami i Marek obserwował teraz na monitorze poczynania Michała i Wieśka. Najpierw sprawdzili, co kryje dalsza część korytarza. Okazało się, że kolejne parę metrów jest zastawione różnego rodzaju przedmiotami, które niewątpliwie były wykorzystywane jako eksponaty w muzeum. Ślepa ściana zamykała koniec korytarza. W tym momencie nie można było określić, czy jest to natural-

ne zamknięcie korytarza, czy też wykonał to człowiek. Wrócili do pomieszczenia ze skrzyniami. Michał dokładnie i długo je badał. Doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku i otworzyli pierwszą skrzynię z tych stojących po lewej stronie. Marek nie mógł dokładnie określić na monitorze marki broni, ale na pewno były to pistolety maszynowe. Zresztą usłyszał za chwilę głos Michała w słuchawkach.

– W skrzynce jest 5 sztuk Schmeisserów i dodatkowe magazynki. Stan bardzo dobry. – Kolejna też zawierała broń i została szybko zidentyfikowana przez Michała:

– W tej są dwie sztuki MG-42 i dodatkowe pojemniki na taśmy naboju. Stan jak poprzednio.

Okazało się, że skrzynki stojące po lewej stronie w ilości 16 sztuk zawierają broń i amunicję. W skrzynkach stojących po prawej stronie znaleźli szkice, rysunki techniczne, odręczne notatki i masę kartek pokrytych pismem maszynowym. Wyglądało to na jakąś dokumentację techniczną. Ich zawartość mieściła się w 16 skrzynkach. To, co ich interesowało najbardziej, znaleźli w środkowej grupie skrzynek. W pierwszej otworzonej były wazony z porcelany, a w drugiej obrazki wyjęte z ram i ustawione w pozycji stojące. Tych skrzynek było najmniej, bo tylko 12 sztuk. Wyglądało na to, że ktoś celowo dokonał takiego ustawienia. Z lewej broń i amunicja, pośrodku cenne rzeczy, a po prawej dokumentacja.

– Nic tu więcej nie wymyślimy – zabrzmiał w słuchawkach głos Michała. – Wychodzimy i trzeba pogadać.

Usiedli na krzeselkach i podzielili się resztką kawy, jaka została w termosie.

– Nie mamy szans, żeby to dzisiaj stąd zabrać – Michał był konkretny. – Drzwi muszą być zamknięte. Wezmę samochód i pojedę kupić dwa zamki. Przywiozę też wiertarkę i wiertła.

Marek podniósł rękę, aby zwrócić uwagę Michała, który zbierał się do wyjazdu – Może uda ci się dobrać jakieś dwie ozdóbki pasujące do tych co są na drzwiach i wtedy przykryjemy nimi nowo wprawione zamki.

– Dobry pomysł. Znajdę coś odpowiedniego – widać było, że się spieszy, żeby zdążyć z zakupami.

– Co z bronią? – zastanowił się na głos Wiesiek. – To jest mały arsenał i wygląda na zdatny do natychmiastowego użycia. Stan techniczny jest

wręcz idealny.

– Oddać do muzeum – z Andrzeja przemówił historyk.

– A masz przygotowaną szczoteczkę do zębów i piżamę? – zainteresował się Marek.

– A po co? – zdezorientowanie i zdumienie były aż nadto widoczne na twarzy Andrzeja.

– Nielegalne posiadanie broni, w tym maszynowej. Udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Może nawet zamiar obalenia siłą istniejącego ustroju. To jest od 15 lat do dożywocia – ton wypowiedzi Marka był poważny, ale w oczach skrzyły mu się diabelskie chochliki.

– O czym ty mówisz?

– O tym, jak może być zakwalifikowana twoja darowizna.

– Nie pomyślałem o tym. No to co z tym zrobimy?

– Może mógłbym rozwiązać ten problem, ale musiałbym zadzwonić.

– To dzwoń! – Andrzej wskazał na telefon komórkowy.

– Z budki lepiej słychać.

– Ja przed chwilą dzwoniłem do żony i jest doskonała słyszalność.

Wiesiek z uśmiechem wtrącił się do tej konwersacji mówiąc do Andrzeja: – Daj spokój! Jak ma możliwość sensownego załatwienia sprawy, to niech to robi. Nas przy tym nie ma i nie było – próbował wyjaśnić sytuację Andrzejowi.

– No tak! – teraz dotarło do niego dlaczego słyszalność z budki jest w szczególnych wypadkach lepsza niż z komórki.

– Niedługo wróci Michał – zaczął Wiesiek – i trzeba tu trochę posprzątać. Ja zajmę się sprzętem. Andrzej niech dokończy sprawę tytułu, a Marek niech wybierze parę skrzynek, które będziemy mogli zabrać. Miejsce będzie, bo zostawiamy przywieziony sprzęt.

– Tak jest! – Markowi bardzo spodobał się pomysł wybrania paru skrzynek z cenną zawartością.

Wrócił do podziemnej komory i z zastanowieniem spojrzął na stos skrzyń. Będzie miał do dyspozycji bagażnik Skody i Jeepa Michała. Powinny więc zmieścić się cztery skrzynki i to nie największych rozmiarów. Postanowił zabrać dwie z dokumentacją i dwie ze środkowej części, a kryterium wyboru miała być ich wielkość. Z tymi od doku-

mentów nie miał specjalnych kłopotów, bo akurat pierwsze dwie z brzegu miały małe rozmiary i odłożył je zaraz na bok. Wśród tych z potencjalnie cenną zawartością wypatrzył dwie z szarego metalu w środkowym rzędzie. Upaprał się jak nieboskie stworzenie, bo sam nie bardzo mógł sobie poradzić ze skrzynią stojącą na wierzchu, która w dodatku jeszcze złośliwie zaczepiła się o coś i przez długi czas nie dawała się ruszyć. Przez to szarpanie zarysował wierzch jednej z tych, które chciał wyciągnąć. Przyjrzał się uważnie powstałej rysie. Stwierdził, że obudowa tych jakby metalowych walizek – dopiero teraz mógł w miarę dokładnie ocenić ich kształt – jest wykonana z aluminium. Szary kolor to efekt utleniania się metalu. Przypomniał mu się również fragment wspomnień sierżanta, w którym pisał on o srebrzystych pojemnikach. Faktyczne w 1945 roku te walizki mogły być koloru srebrzystego. To też przyczyniło się do tego, że uparł się zabrać właśnie te dwie sztuki. Wytaszczył je wreszcie ze stosu i postawił na boku. Nie były specjalnie ciężkie i miały uchwyt do niesienia jak prawdziwa walizka. Wziął więc po jednej do każdej ręki dla lepszej równowagi i ruszył do wyjścia z tunelu. Wychoząc stanął w promieniach zachodzącego słońca, które teraz oświetlało tę stronę zbocza.

– Rany boskie! Co ci się stało! – przechodzący akurat obok Andrzej stanął jak wryty.

– Mnie? – Marek spojrzał w dół na swoje ręce i buty. Były pokryte szarym pyłem. Spodnie też, ale nie widział w tym nic dziwnego. Wywołany ich głosami w drzwiach kontenera stanął Wiesiek i zaczął dziwnie podrygiwać.

– Daj, daj mu lusterko! – wreszcie wykrztusił i ryknął śmiechem.

Wygląd Marka mógł zadziwić i zaskoczyć niejednego. Wyglądał jak niedokończony Murzyn. Twarz pokryta szaro-czarnym pyłem w której jasnym blaskiem świeciły tylko białka oczu, wyglądał groźnie i komicznie zarazem. Rozmazana czarna smuga na policzku podobna była do strasznej poszarpanej blizny co jeszcze potęgowało niesamowitość w wyglądzie twarzy. Obciągnięta w dół kurtka odsłaniała teraz pasek jasnej skóry przy szyi, co mogło przywołać myśl, że przez pomyłkę ktoś osadził czarną głowę na niewłaściwym białym korpusie.

– Postaw te walizy na ziemi – Andrzej też radośnie rechotał – i chodź ze mną. Potrzymam ci baniak z wodą i chociaż trochę się umyjesz. Teraz

nie poznałaby cię nawet rodzona matka.

W trakcie, gdy Marek próbował się umyć resztką wody z baniaka, którą Andrzej ostrożnie polewał mu na ręce wrócił Michał. Przywiózł wszystko, co było potrzebne i zaraz zabrał Wieśka do pomocy przy zakładaniu nowych zamków. Brakowało jeszcze dużo do zmierzchu, gdy wszystko pochowali i zamknęli. Wybrane przez Marka skrzynki weszły na styk do bagażników. Ruszyli do domu.

*

Samochody wprowadzili do garażu. Pierwszą czynnością jaką wszyscy z przyjemnością zrobili, to było wzięcie prysznic. Marek wziął samochód i pojechał do budki telefonicznej zadzwonić, a pozostali w tym czasie wzięli się za szykowanie spóźnionego obiadu. Gdy wrócił, trafił na moment, gdy w jadalni Andrzej rozkładał talerze i sztućce. Obiad zjedli w ekspresowym tempie i pewnie nawet nie poczuli jego smaku. Ciekawość gnała ich do skrzynek, które czekały w piwnicy. Cierpliwość całego towarzystwa została wystawiona na jeszcze jedną próbę, bo Michał zdecydowanie zażyczył sobie sprzątnięcia i umycia zastawy po obiedzie.

W piwnicy szybko oczyścili i umyli wszystkie cztery skrzynki i przynieśli je do jadalni. Na stole położyli dwa koce i jako pierwsza na stół trafiła duża aluminiowa walizka. Zamknięta była na dwa zwykłe zamki. Wiesiek przyniósł ze swojego pokoju małe skórzane etui, którego zawartość okazała się kompletem wytrychów godnym zawodowego włamywacza. Trochę trwało, zanim dwa trzaski obwieściły, że obydwa zamki są odblokowane. Wiesiek spojrzał na nich i powoli otworzył górną pokrywę walizki. Wszyscy stali jak wmurowani. Panująca cisza zdawała się być wręcz namacalna. Panujące napięcie było tak gęste, że wydawało się, iż można je kroić nożem.

– Ktoś się nie bał i zajebał taką kasę – głos Michała przywrócił ich do życia.

Walizka szczelnie wypełniona była paczkami banknotów. Banderoles na paczkach pochodziły z niemieckiego banku. Sądząc po kolorze i wielkości banknotów znajdowały się tu waluty różnych państw.

– W swoim życiu nie widziałem takiej kupy forsy! – poważnie powiedział Andrzej. – Ciekawe, ile tego jest?

– Chcesz policzyć? – odezwał się Marek.

– Nie. Lepiej zobaczymy, co jest w pozostałych.

Otwarcie drugiej aluminiowej walizki poszło Wieškowi już sprawniej. Trudno powiedzieć, czego się tu spodziewali, ale ich miny świadczyły o rozczarowaniu. Większą część wypełniały klasery filatelistyczne i jakieś papiery, a na samym wierzchu leżała kabura z pistoletem. Wszystko to było zapakowane w folię z tworzywa sztucznego.

*

Wbrew obiegowym opiniom to właśnie Niemcy w okresie przed i w czasie drugiej wojny światowej przyczynili się do znaczącego postępu w dziedzinie tworzyw sztucznych. Znany nam z lat sześćdziesiątych gremialny wysyp przedmiotów codziennego użytku z tworzyw sztucznych i związana z tym mała rewolucja we wzornictwie przemysłowym wcale nie była zasługą nauki z tych lat. Te „nowości” pochodziły z rewolucyjnych osiągnięć nauki i techniki z drugiej wojny światowej, w których wiodącą rolę odgrywali wtedy Niemcy. Znany wszystkim nylon, który zrobił zawrotną karierę i zapadł wszystkim w pamięć dzięki wykorzystaniu go na modne pończochy bez szwu jest przypisywany amerykańskiemu koncernowi Du Pont. Nie wszyscy zaś wiedzą, że w czasie wojny Niemcy produkowali już nylon w kilku odmianach. Niewykluczone, że to właśnie zarekwirowana i wywieziona za ocean dokumentacja naukowo-technicznych badań prowadzonych przez Niemców zbudowała potęgę niektórych amerykańskich firm. Podobno zwycięzców się nie sądzi.

Otwarcie dwóch pozostałych skrzynek nie przyniosło żadnej niespodzianki. Były wypełnione karkami maszynopisu, rysunkami technicznymi i szkicami, a nawet widać było odręczne pismo na niektórych kartkach papieru. Wszystko w języku niemieckim. Z Andrzeja wyszedł historyk i zainteresował się papierami. Michał i Wiesiek byli wyraźnie zainteresowani banknotami, więc dostali je do przeliczenia.

Markowi przypadła mniejsza walizka. Kaburę z bronią odłożył na bok. Wziął do ręki pierwszy klaser i rozciął folię. Otworzył go i znieruchomiał. Po chwili przewrócił następną kartę i jeszcze jedną. Wydało mu się, że śni sen szalonego filatelisty, któremu spełniło się marzenie życia. Widział znaczki, o których można było tylko przeczytać w fachowej literaturze i miał je przed sobą! Chociażby te dwa Mauritiusy. Wiedział, że do tej pory wiedziano oficjalnie o 26 sztukach, które się zachowały. Ocalało 14 sztuk

1-pensowych i w tym tylko dwa nieużywane, sześć było stemplowanych, a sześć było stemplowanych na kopertach. Z 2-pensowych zostało 12 sztuk, w tym cztery nieużywane, pięć stemplowanych luzem i pięć stemplowanych na kopertach i jeden na wycinku. Samo ich pojawienie się w obiegu też było spowodowane splotem dziwnych okoliczności i przypadków.

*

W 1847 roku władający tą wyspą w imieniu królowej Wiktorii, gubernator Sir Gomm, postanowił spełnić życzenie swojej żony. W dniu 30. września mieli oni wydać uroczysty bal i żona zażyczyła sobie, aby zaproszenia do miejscowych notabli zostały wysłane w kopertach ofrankowanych znaczkami z wizerunkiem królowej Wiktorii. Taki zwyczaj panował w metropolii londyńskiej, a ona nie chciała być gorsza.

Gubernator nie miał pod ręką potrzebnych znaczków i ich sprowadzenie z Londynu na czas było nierealne, ale dysponował potężną władzą. Nakazał więc poczmistrzowi wyspy, panu J.S. Brownriggowi wykonanie stosownej ilości znaczków. Ten z kolei powierzył ten obowiązek grawerowi, jubilerowi i zegarmistrzowi w jednej osobie – Józefowi Branard.

Nie miał zresztą specjalnego wyboru, gdyż był on jedyną osobą na wyspie, która mogła wykonać takie zlecenie. Ten wygrawerował na miedzianej płycie wzory 1 i 2-pensowego znaczka z podobizną królowej Wiktorii, ale w trakcie wykańczania płyty nie mógł sobie przypomnieć treści jednego z napisów, jaki miał zamieścić na znaczku. Nie bardzo uśmiechało mu się pójście do poczmistrza, bo ten doskonale wiedział o jego skłonności do nadużywania alkoholu. Bez wątpienia dostałby solidną reprimendę, gdyby przyszedł z pytaniem o zapomniany napis.

Czas jednak upływał, a pamięć nie chciała podpowiedzieć treści zapomnianego napisu. Przemógł się i poszedł. Dochodząc do budynku pocztowego doznał olśnienia. Widział tam szyld z napisem Post Office. To było właśnie to. Ten napis. Tak przynajmniej myślał wtedy Józef Branard. To, kiedy był bardziej pod „dobrą datą”, pozostanie już na zawsze jego tajemnicą. Wtedy, gdy przyjmował zlecenie czy wtedy, gdy doznał olśnienia. Jednak ta decyzja zapisała go na stałe w historii filatelistyki.

Uzpełnił napis na płycie i wydrukował łącznie 1000 sztuk znaczków 1-pensowych w kolorze pomarańczowym i 2-pensowych o barwie błękitnej. Kiedy gotowe znaczki przedstawiono gubernatorowi wybuchł niemal skandal. Zgodnie z ustaleniami znaczki miały nosić napis – Post Paid czyli opłata pocztowa uiszczona, a nie Post Office czyli po prostu urząd pocztowy. Brak czasu nie pozwolił na żadne korekty. Część znaczków zużyto na listy z zaproszeniami, a pozostałe przeznaczono do normalnej korespondencji.

To jaką mogą teraz przedstawiać wartość niech świadczy fakt, że 21. października 1968 roku na aukcji w Nowym Jorku oryginalna koperta ofrankowana dwoma pomarańczowymi „Mauritiusami” osiągnęła cenę 380 000 dolarów. Te dwie sztuki z tego albumu pochodziły prawdopodobnie ze zbiorów Państwowego Muzeum Poczтового w Berlinie, gdyż dwa takie właśnie egzemplarze zniknęły stamtąd w czasie drugiej wojny i ich los nie był znany do dzisiaj.

Ciekawa była również historia związana z karminową 1-centówką z Gujany Brytyjskiej, która zajmowała honorowe miejsce na drugiej stronie klasera. Powstanie tego znaczka do dzisiaj jest w zasadzie okryte tajemnicą. Wiadomo, że w lutym 1856 roku poczmistrz Gujany Brytyjskiej w Demerara, obecnie znana nazwa to Georgetown, niejaki E.D. Wight stwierdził, że zapas znaczków maleje z dnia na dzień. Obiecywana dostawa z Londynu wciąż się opóźniała. W tej sytuacji postarał się on o zezwolenie na wydrukowanie niewielkiej liczby znaczków własnymi siłami. Mały to być znaczki prowizoryczne, które po dostarczeniu znaczków z Anglii miały być natychmiast wycofane z obiegu.

Zgodnie z obowiązującymi wówczas opłatami pocztowymi wydrukowano wówczas dwa znaczki niezabkowane. Jeden o wartości 1 centa w kolorze ciemnoniebieskim do opłaty druków, a drugi o wartości 4 centów w kolorze karminowym do opłaty listów. Wielkość nakładu nie jest znana, ale wiedząc, że było to działanie doraźne, to nakład był raczej bardzo mały. Jak wiemy, sprawa drukowania znaczków w tych latach nie była wcale prostą sprawą.

Tego zadania podjęła się jedyna w Demerara niewielka drukarnia „Baum and Dallas” drukująca dla potrzeb urzędowych dziennik „Official Gazette”. Drukarnia posiadała kliszę z wizerunkiem statku żaglowego i wykorzystano ją do wydrukowania znaczka. W ramce dodano na-

pis : BRITISH GUJANA, a po bokach napisy POST AGE ONE CENT lub FOUR CENT w zależności od nominału. Na znaczku umieszczono też łacińskie słowa : Damus Petimus Que Vicissim (Dajemy i prosimy nawzajem). Kto i po co je tam umieścił, to też nie zostało wyjaśnione do dzisiaj. Następnie znaczki trafiały do poczmistrza, który atramentem nanosił na nie swoje inicjały : E.D.W. Całość może była i prymitywna, ale swoją funkcję zapewnienia ciągłości opłat pocztowych spełniła.

Jakim cudem wśród znaczków 1-centowych w kolorze ciemnoniebieskim znalazł się egzemplarz wydrukowany na tle karminowym, pozostaje tajemnicą do dzisiaj. Tym bardziej, że nikt nie ma pojęcia, ile takich znaczków mogło być w ogóle wydrukowanych. Pierwszy taki znaczek znalazł w 1873 roku Vernon Vaughan i sprzedał go za 6 szylingów!

W 1970 roku na aukcji w Nowym Jorku zapłacono za niego 280 000 dolarów. Nabywcą był Amerykanin, Irvin Weinberg. Sprzedał go 5 kwietnia 1980 roku na aukcji w Hotelu Waldorf-Astoria za 850 000 dolarów. Nabywca pozostał anonimowy. Jest to jedyny znaczek, którego brakuje w kolekcji British Museum liczącej ponad cztery miliony znaczków. Na dodatkową ironię zakrawa fakt, że jest to znaczek z dawnej kolonii brytyjskiej.

Rozpoznał w przeglądanych klaserach pierwsze znaczki Rumunii z 1858 roku – słynne „mołdawskie żubry”. Zauważył też pierwsze znaczki Brazylii z 1843 roku zwane „wolimi oczami”. Jednego odkrycia był pewien na 100 procent. Czysty 2-centowy znaczek z Wysp Hawajskich z 1851 roku był drugim egzemplarzem na świecie! Wiedział dokładnie, że do dzisiaj zachowało się tylko dziesięć tych znaczków, z czego tylko jedna sztuka nie była stemplowana. On miał przed sobą drugą sztukę! To byłoby duża sensacja gdyby, to opublikować.

Marek odłożył na bok dziesiąty klaser i wziął do ręki papiery, które leżały przedtem na wierzchu. Wszystko po niemiecku. Jakies pokwitowania i zestawienia. Wrócił myślą do znaczków. Żeby to dokładnie przejrzeć i wycenić, to było zajęcie na wiele tygodni i trzeba to zrobić na spokojnie i bez pośpiechu. Zlecić tego komuś obcemu nie można i musiał to zrobić sam. Trzeba wszystko zabrać do domu i znaleźć na to czas. Spojrzał na zegarek i zdumiał się. Minęły ponad trzy godziny od chwili, gdy wziął do ręki pierwszy klaser. Spojrzał na pozostałych.

Przed Andrzejem piętrzył się pokaźny stos kartek i właśnie teraz coś zapisywał w swoim notatniku. Wiesiek z Michałem opróżnili do końca swoją walizkę i coś sumowali na kartce.

– Idę zrobić kawę! Kto reflektuje? – ku jego zdziwieniu wszyscy byli chętni, a nie powinien się być dziwić. Kto pyta, nie błądzi – tak brzmi stara maksyma, ale często pytający dostaje fuchę, która nie zawsze jest przedmiotem jego marzeń. Zaparzył dzbanek kawy i wrócił do jadalni.

– Proponuję krótką przerwę na małe podsumowanie! – wszyscy zgodnie skinęli głowami.

– Ja chyba zacznę pierwszy, – odezwał się Andrzej – bo będzie to trwało krótko. – Przeczytałem i przerzuciłem pobieżnie sporo tych papierów. Mogę powiedzieć, że rozumiem, co czytam, ale nie pojmuję sensu całości. Na przykład przetłumaczyłem wyrażenie „magnes trzyczęściowy”. Wiem, co to jest magnes. Dla mnie to oznacza kawałek metalu, który generuje pole magnetyczne i ma dwa bieguny. Żeby był „trzyczęściowy”, to tego już nie pojmuję. Te dokumenty dotyczą badań i doświadczeń z dziedziny fizyki, o której nie mam zielonego pojęcia. Dodatkowym utrudnieniem dla mnie jest to, że używany jest tu żargon naukowy całkowicie mi nieznanym. To musi trafić do naukowca z wykształceniem politechnicznym, a najlepiej do fizyka. Ja nie mogę tu nic więcej pomóc.

– Nam poszło znacznie lepiej – zaczął Wiesiek. – W tej walizce były tylko same banknoty. Policzyliśmy to wszystko i to jest zestawienie:

- 580 tysięcy i jeden dolar w walucie amerykańskiej
- 950 tysięcy marek niemieckich
- 235 tysięcy funtów brytyjskich
- 421 tysięcy franków szwajcarskich

– Nominały tych pieniędzy są tak różne, że wydaje się, iż było to przygotowane na wypłatę dla wielu ludzi. Na sporej części paczek z banknotami były banderole niemieckich banków z Wrocławia i Berlina, a reszta miała papierowe banderole bez napisów. Jaka jest tego wartość to trzeba by przeliczyć po obecnym kursie.

– Nie trzeba nic przeliczać! – zdecydowanie powiedział Marek. – To jest dokładnie warte tyle, ile jest dolarów. Resztę trzeba po prostu spalić!

– Rany Boskie! – Andrzej aż podskoczył. – Wy chyba macie jakąś odchyłkę z tym paleniem. Najpierw Wiesiek każe spalić trotyl, a ty chcesz teraz palić pieniądze. Chyba powinniście odwiedzić psychiatrę!

– Nie jest tak źle – zaczął Marek z uśmiechem. – Zaraz to wyjaśnię. Marki niemieckie to makulatura z czasów wojny i tu chyba nie ma żadnych wątpliwości. Wartości numizmatycznej też nie mają żadnej. Brytyjczycy i Szwajcarzy już dawno wycofali swoje banknoty z obiegu z tych starych emisji z czasów wojny. Można by spróbować i zapytać, czy istnieje możliwość ich wymiany na będące w obiegu. Nasza próba ich spieniężenia może jednak spowodować, że zaczną się różne pytania i sprawdzenia. Może się po prostu zrobić niepotrzebny szum i smród. Tym bardziej, że z funtami może być zadyma zaraz na wstępie i zaraz to wyjaśnię.

*

Niemcy w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, we wschodniej części Niemiec, prowadzili operację pod kryptonimem „Bernhard”. Obóz koncentracyjny liczył 30 tysięcy więźniów. Na potrzeby operacji wydzielono blok 18. i 19. i dodatkowo odizolowano je od pozostałej części obozu. Było to więc jakby więzienie w więzieniu. 142 więźniów, którzy się tam znaleźli, nie zostali wpisani do stanu obozowego. Dla swoich bliskich zaginęli oni po prostu bez wieści. Mieli zakaz komunikowania się z kimkolwiek, a kara za nieprzestrzeganie zakazu była tylko jedna – kula w łeb. Profesja zgromadzonych w ten sposób więźniów była dosyć nietypowa. Wszyscy byli wysokiej klasy fałszerzami, których Niemcom udało się wyłapać w podbitej Europie. Dowódcą operacji był SS-Sturmbannführer Bernhard Kruger i chyba jasne jest, skąd się wziął kryptonim tej operacji. Jego samego więźniowie nazywali uśmiechniętym mordercą. To, co tam robiono, miało pozostać tajemnicą i Niemcy postawili tam swojego człowieka, który miał im to zagwarantować. Zgodę na uruchomienie operacji podpisał osobiście sam Adolf Hitler. Nie ma zresztą w tym nic dziwnego. Głównym celem operacji było bowiem fałszowanie funtów brytyjskich, a później dolarów amerykańskich i innych dokumentów. Chciano w ten sposób zniszczyć gospodarkę brytyjską i zmusić Brytyjczyków do podpisania jakiegoś porozumienia czy rozejmu, które by pozwoliło Niemcom walczyć tylko na jednym froncie, w Rosji.

Operację rozpoczęto w 1942 roku i do chwili jej zakończenia Niem-

cy podrobili brytyjskich banknotów na sumę około 3 miliardów funtów. Funtów fałszowali tam tak dobrze, że był nawet przypadek, gdy niemiecką podróbkę uznano za prawdziwą, a poddano w wątpliwość prawdziwość autentycznego banknotu 5 funtowego. Tą opinię wydali Szwajcarzy, a więc ludzie uznawani za autorytet w tym czasie. Gdyby taką ilość pieniędzy udało się im wprowadzić do obiegu, to Brytyjczycy mogliby mieć poważne kłopoty i końcowy wynik wojny mógłby wyglądać inaczej niż ten, który znamy z historii.

Po pewnym czasie Anglicy zorientowali się w co jest grane i postarali się o zminimalizowanie tych skutków. Odgryźli się zresztą Niemcom w podobny sposób, ale w innej dziedzinie i jest to temat na oddzielne opowiadanie. Niemcy nie mieli żadnych problemów z wykonaniem matryc do druku. Kluczem był tutaj papier, na którym Brytyjczycy drukowali swoje banknoty. Papier ten był wytwarzany ręcznie. Używane szmaty lniane były rozcierane na pulpę i z tego materiału był wytwarzany papier na banknoty. Tego Niemcy nie wiedzieli i na początek użyli do tego celu świeżo wyprodukowanego materiału lnianego. Ku ich zaskoczeniu, ich banknoty wydrukowane z takiego papieru były jakościowo lepsze od brytyjskich i to w widoczny sposób. Znak wodny na banknotach też wychodził im wyraźniejszy niż na oryginalnych. Trochę czasu zajęło im znalezienie odpowiedzi na to, o co tutaj chodzi i w końcu wpadli na właściwe rozwiązanie. Jak na to wpadli, to mieli już z górki. Ich wytwórnia papieru koło Hannoveru zaczęła dostarczać właściwy rodzaj papieru. Brytyjczycy byli po prostu oszczędni i używali surowca wtórnego, jak to dzisiaj byśmy określili. Tak na dobrą sprawę, to Anglicy nigdy nie dowiedzieli się, jaka ilość fałszywych funtów trafiła do obiegu i to mimo olbrzymich starań z ich strony w trakcie wojny i po jej zakończeniu.

My nie mamy żadnej pewności czy w tej walizce nie są przypadkiem „oryginalne” falsyfikaty. Jest jeszcze jedna rzecz. Gdy likwidowano drukarnię w obozie, to w niewyjaśnionych okolicznościach zaginęło parę płyt, na których drukowano dolary i funty. Wiadomo, że żadne państwo nie toleruje fałszowania pieniędzy i ściga te przestępstwa z bezwzględnością i konsekwencją większą niż inne nawet największe zbrodnie. Informacja o tych płytach na pewno nie poszła do archiwum i nasza próba wymiany tyłu starych franków i funtów może

gdzieś uruchomić alarmowy dzwonek. A jeszcze nie daj Boże, gdyby się okazało, że te funty, co je mamy, były właśnie wydrukowane w obozie, to mamy więcej niż kłopoty. Jedynie Amerykanie honorują wszystkie swoje banknoty bez względu na rok wydania. Stare wycofują, jak trafią do ich banków i na ich miejsce wprowadzają nowe. Połowę z tych dolarów trzeba wymienić w kantorach, gdzie walutę kupują Rosjanie. Tak na wszelki wypadek. Gdyby tu było coś trefnego i wyłapią je w Polsce i Rosji, to za cholerę nie znajdą źródła pochodzenia. Dlatego ponawiam swoją propozycję spalenia pozostałych banknotów.

– No cóż! Spalenie znowu wygrało! – Andrzej kręcił głową. – Do psychiatry też nie musicie iść – łaskawie wycofał swoją poprzednią propozycję. – Trochę tego szkoda, ale trudno. A swoją drogą to ciekaw jestem, co zaproponujecie trzecim razem do spalania?

– Nie bądź takim pesymistą – Marek sięgnął po klaser. – Popatrz! Tutaj jest znaczek wart ponad 1 miliona dolarów.

Andrzej wziął klaser do ręki i z niedowierzaniem spojrzął na Marka. Wiesiek i Michał pochylili się żeby też spojrzeć.

– To brzydactwo jest tyle warte? Wiem, że się na tym znasz, ale to chyba niemożliwe?!

– Jak najbardziej możliwe. Może nawet znacznie więcej. Trudno mi w tej chwili oszacować wartość tych znaczków, ale to może być kwota rzędu paru milionów dolarów. Żeby to ocenić, to trzeba na to sporo czasu i spokoju. Postaram się to zrobić jak najszybciej, ale trochę to potrwa.

Andrzej z szacunkiem spojrzął na pozostałe klasery, ostrożnie oddał ten trzymany w ręce i spytał: – Czy sprzedaż tego może być też niebezpieczna?

– Niebezpieczna to chyba nie, ale sensacji nie da się uniknąć. Cały światek filatelistyczny będzie huczał. Mając trochę czasu można to załatwić bez specjalnych komplikacji.

Marek dosiadł swego starego hobby i pozostała trójka została zmuszona do wysłuchania, co się znajduje w klaserach i co jeszcze może tam być. Usłyszeli parę ciekawych opowieści związanych z niektórymi znaczkami, ale był to temat dla nich zupełnie nowy i w pewnym momencie zaczęli tym tracić zainteresowanie. Dla nich znaczki pełniły rolę użytecznej rzeczy. Nakleić na kopertę czy kartkę pocztową i wrzucić do skrzynki. Pierwszy z grona słuchaczy wyłamał się Andrzej.

VENI,VIDI,VICI*(łac.) – przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem

– Ja wiem, że mógłbyś jeszcze opowiadać i pół nocy, bo tyle o tym wiesz. Ale ja jestem po prostu głodny – poskarżył się.

– No tak! Przepraszam. Zapędziłem się. – Marek powoli wracał ze świata filatelistyki do rzeczywistości. – Ale jak dobrze pamiętam to dzisiejsza kolacja i jutrzejsze śniadanie to twoja broszka i Wieśka?

– Tak jest! Idziemy! – Andrzej spojrzął na Wieśka i zgodnie pomaszrowali do kuchni.

Marek wziął do ręki odłożoną poprzednio na bok kaburę z pistoletem.

– Spokojnie – powiedział, widząc niespokojne spojrzenie Michała. Wyciągnął pistolet i lufa powędrowała w kierunku okna. Nacisnął przycisk zwalniający magazynek i wyciągnął go. Odciągnął zamek do tyłu. Komora zamkowa była pusta. Nacisnął spust i suchy trzask obwieścił, że mechanizm jest całkowicie sprawny. Naboje wyłuskane z magazynka były zmatowiałe, ale bez śladów rdzy.

– Ktoś tu lubił Walthery P-38. Jeden jako pułapka, a drugi tutaj razem ze znaczkami. – Marek pakował z powrotem broń do kabury. Naboje wyspał luzem i podał Michałowi.

– Znasz lepiej dom, to weź to na chwilowe przechowanie. Później pomyślimy, co z tym zrobić.

Michał kiwnął głową i wyszedł z bronią. Wrócił po chwili z pustymi rękami.

– W życiu nikt tego nie znajdzie. Jest tu takie miejsce, że nikt nie wpadnie na to, że tam może coś być schowane. Później ci pokażę.

Kolację zjedli w kuchni. Okazało się, że talenty kulinarne dzisiejszych kucharzy są na takim poziomie, że nie grożą wytruciem osób, które je degustują. W tym czasie, gdy „personel kuchenny” zajęty był zmywaniem, Marek z Michałem spakowali wszystko z powrotem do skrzynek i upchnęli pod stołem w jadalni, a na końcu przykryli to wszystko kocami ze stołu. Zmęczenie i emocje całego dnia wzięły górę i zgodnie pomaszrowali do łóżek.

*

Ranek przebiegał tak jak poprzedni. Wczesna pobudka i narzekania Andrzeja, że to zbrodnia, aby wstawać w środku nocy. W dodatku musiał jeszcze brać udział w przygotowaniu śniadania. Tym razem pojechali w innym składzie. Michał pojechał sam do firmy, aby wziąć na

dzisiejszy dzień do swojej dyspozycji ciężarowego busa, a oni jego jepelem bezpośrednio na miejsce poszukiwań. Używali samochodu Michała, bo ten wrósł już w tutejsze otoczenie i nikt się nim zbytnio nie interesował. Był traktowany jako miejscowy, a oni nie chcieli przecież zwracać na siebie żadnej uwagi. Miało się jednak okazać, że nie było to tak całkiem do końca skuteczne. O tym mieli się jednak przekonać dopiero później.

Andrzeja zostawili przy wyciągniętym stoliku z kontenera ze szklanką kawy w ręce, aby po jej wypiciu zaczął w końcu normalnie funkcjonować. Sami podłączyli prąd i weszli do tunelu. Marek chciał wyjaśnić zagadkę mikroklimatu panującego wewnątrz pomieszczeń byłego muzeum. Było prawie nie do pomyślenia, że po tylu latach na broni prawie nie było widać śladów korozji, a kartki papieru były suche. Wszystko to leżało przecież ponad pół wieku w zamkniętej na głucho sztolni wewnątrz góry. Wilgoć obecna w każdym chodniku w kopalni powinna przecież dać znać o sobie. Tu jednak tak nie było.

Zaczęli szukać kamionkowych rur, które Wiesiek widział już przedtem. Przy trzeciej z kolei dym z papierosa Wieśka zamiast płynąć do góry zaczął się rozpraszać na boki. Ta rura tłoczyła powietrze do wewnątrz! Znaleźli jeszcze osiem takich samych. Jeżeli powietrze było tłoczone na dół, to musiało istnieć jakieś urządzenie, które napędzało wentylator albo sprężarkę, bo inaczej samo powietrze nie popłynie w ten sposób rurami w dół. Sama grawitacja nie wymusi tak dużego obiegu powietrza. Tutaj nie widzieli śladu takich urządzeń. Zresztą czym to mogło być zasilane? Żadnego źródła energii nie było. Rozwiązania zagadki trzeba było szukać na zewnątrz. Odmierzili odległość od pierwszej rury tłoczącej powietrze od wejścia do tunelu i wyszli na zewnątrz.

Powiedzieli Andrzejowi, co chcą zrobić i wspięli się na zbocze. Tak na dobrą sprawę to nie bardzo wiedzieli, czego mają szukać. W końcu uwagę Wieśka zwróciła goła skała, która znajdowała się mniej więcej w tym miejscu, gdzie powinien być wylot rury do tłoczenia powietrza, który odmierzyli na dole.

– Zobacz! Ta skała wygląda jakoś dziwnie – Wiesiek był co prawda amatorem geologiem, ale Marek zdawał sobie sprawę, że jego wiedza w tej dziedzinie jest naprawdę duża.

Przyjrzał się skale, która budziła jakieś zastrzeżenia kolegi. Nie wi-

dział nic szczególnego. Z dużego bloku skalnego wystawał mniejszy z dwoma wąskimi szczelinami. Jedyne co zauważył to to, że w pobliżu nic nie rośnie. Sam mech i jakieś karłowate krzaczki.

– Co masz na myśli mówiąc, że jest dziwna? – zapytał.

– Odnoszę wrażenie, że ten mniejszy kawałek wygląda jak przyklejony do tego dużego. Jeżeli to ma być jedna całość, to nie zgadza mi się geologiczne ułożenie warstw.

– Chcesz powiedzieć, że to jest sztuczna skała? Ta jakby przyklejona?

– Nie, nie aż tak. Ale, że to wygląda na sztuczny twór, to tak.

*

Marek wiedział, że powszechnie jest przyjęte iż zaprawę wapienną, czyli cement, zaczęto stosować około 200 roku p.n.e. w krajach strefy Morza Śródziemnego. Teraz akurat przypomniała mu się teoria znawcy starożytnych technik budowlanych, doktora Josepha Davidovitsa. Jest on założycielem i dyrektorem Institute for Applied Archaeological Sciences z siedzibą w pobliżu Miami na Florydzie. Przedstawił on ją na jednym z kongresów American Chemical Society. Powołał się przy tym na tekst zwany „Stelą Głodową”, który został znaleziony ponad 100 lat temu na wyspie pobliżu Elefantyny w Egipcie. Zawiera on ponad dwa i pół tysiąca hieroglifów, z których sześćset pięćdziesiąt zinterpretowano jako instrukcję wytwarzania syntetycznego kamienia. W instrukcji wymienia się dwadzieścia dziewięć minerałów, które łączy się w procesie przetwórczym z wapniem i innymi naturalnymi kruszywami. Otrzymuje się w ten sposób syntetyczny kamień służący do budowy piramid i świątyń. Składniki mieszano z wodą i wlewano do drewnianych form przypominających współczesne. Cement dodawany do bloków kamiennych wiązał chemicznie kruszywo i inne składniki w procesie podobnym do tego, który powoduje naturalne wiązanie się kamieni.

Cement portlandzki powoduje natomiast mechaniczne, a nie molekularne, wiązanie składników. Dlatego kamienie użyte do budowy piramid niezwykle trudno jest odróżnić od kamieni naturalnych. Davidovits utrzymuje też, że „cement egipski” może przetrwać tysiące lat, podczas gdy zwykły cement portlandzki pozostaje trwały tylko przez 150 lat. W blokach Wielkiej Piramidy znaleziono zresztą włókna lnianych tka-

nin, które przez przypadek dostały się do takiej mieszaniny surowców w trakcie wytwarzania bloków kamiennych. Niemcy musieli coś na ten wiedzieć, bo po wojnie natknięto się w znalezionej niemieckiej dokumentacji technicznej na ślady wiodące w tym kierunku. Ponadto już po wojnie okazało się, że niektóre budowle umocnień Wału Atlantyckiego zostały przez nich zbudowane z cementu, którego wytrzymałość rosła z upływem lat, a nie malała jak to jest w przypadku zwykłego cementu portlandzkiego. Powiedział o tym Wieśkowi.

– Nic o tym nie wiedziałem – przyznał się ten szczerze. – To zmienia postać rzeczy. – Zaczął myszkować w miejscu, gdzie stykały się obydwie skały.

Marek bezmyślnie wpatrywał się w jedną ze szczelin, która coś mu przypominała, ale nie mógł tego na razie z niczym skojarzyć.

– Mam! – okrzyk Wieśka wyrwał go z zadumy. – Podeszedł bliżej i spojrzał na to, co wskazywała ręka Wieśka.

– To jest ślad po wiertle! Tutaj było coś wiercone. Nie mam teraz wątpliwości, że ten kawałek skały doklejono i to chyba przy zastosowaniu metody, o której mówiłeś.

– A mnie te szczeliny w skale kojarzą się z silnikiem odrzutowym.

– Że jak? – Wiesiek podniecony dokonaniem odkrycia teraz zamarł ze zdumienia. Porównanie silnika odrzutowego ze szczeliną skalną było co najmniej dziwne.

– Może to przesada, ale chodzi mi o zasadę – Marek z namysłem dobierał słowa. – Ta szczelina ma wyjątkowo gładkie ściany i zwęża się do środka skały. To jest jakby komora sprężania. Zbiera powietrze pchane przez wiatr i gdy powietrze przejdzie przez otwór na końcu zwężenia to ma na pewno o wiele większą prędkość niż na początku. Tam wpada na turbinę, a ta z kolei obraca śmigła wentylatora. To wszystko może być zmontowane na jednej osi. Dopóki wieje wiatr to powietrze jest tłoczone do wewnątrz góry. Takie małe „perpetuum mobile” i to w dodatku bezobsługowe. A te dwie szczeliny wzajemnie się uzupełniają. Zbierają wiatr z okręgu o promieniu ponad 200 stopni i jeżeli są dobrze zorientowane do róży wiatrów tu wiejących, to urządzenie pracuje prawie cały czas. Gdy wiatr wpada przez jedną szczelinę, to otwór w drugiej może wspomagać przepływ powietrza na zasadzie podciśnienia.

– No, no! Nieźle to sobie wykombinowałeś. Ale możemy to zaraz namacalnie sprawdzić.

– Jak? – teraz Marek był zdumiony możliwością natychmiastowej weryfikacji jego tezy.

– To proste. Jak byśmy mieli świecę dymną, to postawilibyśmy ją przed szczeliną, do której wieje wiatr i jak dym by się pokazał na dole w tunelu, to mamy odpowiedź. Dymić tu nie ma czym, więc zrobimy to inaczej. Zostawisz mi swoją kurtkę i zjedziesz na dół. Jak będziesz na dole przy rurze to twoją kurtką zatkam jeden wlot szczeliny a swoją drugi. Sprawdzisz wtedy, czy powietrze nadal płynie w tych kamionkowych rurach. Później odetkam otwory i zobaczysz, czy powietrze płynie ponownie. Metoda była prymitywna, ale się sprawdziła. Marek miał rację.

Do wyjaśnienia zagadki braku widocznych śladów wody w tunelu nawet nie podchodzili, bo busem przyjechał Michał i wszyscy znaleźli zajęcie jako tragarze. Jako pierwsze załadowali skrzynki ze „skarbami” jak to określił Andrzej, a na końcu te z dokumentami. Ta kolejność załadunku wynikała z ich decyzji, że dokumenty zostaną odłożone na bok do czasu znalezienia osoby, której będzie można powierzyć ich odczytanie. Czyli tu musiały być ładowane jako ostatnie, aby w domu można je było odstawić na bok w pierwszej kolejności. Wbrew ich obawom całość ładunku weszła za jednym razem. Pozbierali cały swój poprzednio przywieziony sprzęt z jednym wyjątkiem. Na wyraźne życzenie Marka w kontenerze pozostał generator i instalacja oświetleniowa, którą założyli w tunelu. Ponadto zabrał też dwa komplety kluczy do wszystkich zamków, jakie tu były. Wszystko zostało zamknięte i ruszyli do domu.

*

Wyładunek skrzynek poszedł im sprawniej niż poprzednie ładowanie. Przydały się teraz wolne i wysprzątane piwnice w domu. Marek zabrał się z Michałem, żeby zadzwonić z budki, gdzie lepiej słychać i Andrzej już nie pytał, czemu nie korzysta z komórki. Pozostała dwójka obarczona dodatkowym obowiązkiem, jakim było zrobienie obiadu, wzięła się do roboty.

Zdążyli wszystko przygotować, gdy Michał wrócił z Markiem. Stanęli na wysokości zadania. Obiad był naprawdę dobry. Filet z indyka jako kotlet, ziemniaki i zielony groszek z marchewką z dodatkiem masła

i odrobiny cukru składały się na naprawdę dobrą całość. Do tego lampka czerwonego wina dla każdego dopełniały obrazu prawie profesjonalnego obiadu. Na deser podali lody i kawę.

– Proponuję dyplom uznania i stały angaż – wyraził swoje uznanie Marek, a Michał gorąco przytaknął.

– Zobaczmy, jak wam pójdzie jutro – odgryzł się Andrzej. – Przy kawie zapadła decyzja, że wszystkie obrazy i wyroby z porcelany zostaną sfotografowane i później po dorobieniu stosownej legendy pokaże się fotografie fachowcom, aby ocenili, z czym mają do czynienia. Akurat na antykach i malarstwie nie znał się nikt z nich.

Jako pierwsze zaczęli rozpakowywać skrzynki o najłżejszej wadze. Założyli, że w nich będą schowane obrazy i mieli rację. Każdy obraz był wyjmowany i fotografowany, a dodatkowo filmowany z kamery. Gdy na skrzynce były jakieś oznaczenia, to też były fotografowane.

Gdzieś w połowie roboty Marek wpadł na pomysł, że można przecież zamówić nowe ramy podrabiane na stare i zawiesić obrazy w domu, żeby trochę „pooddychały” jak się wyraził. Jak już będą wisiały na ścianach w takich nowych ramach podrabianych na stare, to zostaną potraktowane jako podróbki. Fachowca to nie oszuka, ale postronnego obserwatora powinno. Już sfotografowane obrazy wyjęto ponownie i zmierzono.

Jak skończyli z resztą, to doliczyli się, że mają 27 sztuk obrazów na stanie. Robiło się późno, a że zajęcie było w sumie nudne, postanowili skończyć na dzisiaj i resztę wieczoru spędzić przy kominku.

Michał rozpałił w kominku, a Wiesiek z Andrzejem poszli zrobić kawę i herbatę. Marek wyciągnął z barku butelkę czystej wódki i butelkę koniaku. Jak wszystko znalazło się na stole to wygodnie rozsiedli się w fotelach, a Andrzej zainteresował się dużą foliową torbą leżącą przy jego fotelu, którą przedtem położył tam Marek.

– Co to jest?

– Prezent dla ciebie żebyś się nie nudził – wyjaśnił uprzejmie Marek.

Andrzej sięgnął po torbę, a pozostali pytająco spojrzeli na Marka, a ten tylko podniósł palec do ust.

– No nie! Chyba nie myślicie, że mnie do tego namówicie! – w ręce trzymał paczkę marek niemieckich.

– Czemu nie. Będziesz miał co opowiadać na starość, że siedziałeś

przy kominku z kieliszkiem koniaku w ręce, w doborowym towarzystwie i paliłeś pieniędzmi w kominku.

Uśmiechy Wieśka i Michała świadczyły, że nie mają nic przeciwko temu.

– Chociaż, czemu nie – Andrzej podjął decyzję. – Jak do tej pory to nic mi się nie zgadza z tym, co czytałem o poszukiwaczach skarbów. Ja do tej pory to tylko stłukłem sobie dupę, robiłem za tragarza i kucharza. No i przeczytałem parę stron niemieckiego tekstu, z którego nic nie rozumiem. Nie ma tu nic do opowiadania, ale jak dodać do tego palenie pieniędzy, to może to stać się ciekawe – wrzucił pierwsze banknoty w ogień na kominku.

– Zapewne zauważyliście na niektórych skrzyniach napis „Lutzow” – zaczął Marek. – Z tego, co już widać, to mamy całkowitą pewność, że w zamku była składnica zwiezionych i zrabowanych cennych rzeczy, a i zapewne niemieckich depozytów. Dodatkowo wiemy, że prowadzono tam jakieś wysoce zakamuflowane badania naukowe. Co robimy z tym dalej?

– Jeżeli tu znaleźliśmy tyle wartościowych rzeczy, to grzechem by było zostawić tamto odłogiem – Andrzej mimo zajęcia z paleniem banknotów słuchał uważnie tego, co się mówi.

– Od kiedy to stałeś się takim materialistą? – wtrącił z uśmiechem Michał.

– No może nie o to mi dokładnie chodziło, ale uważam, że warto tam poszukać.

– Ja też tak uważam, ale trzeba pamiętać, że to będzie o wiele trudniejsze i na pewno nie obędzie się tak bezboleśnie jak do tej pory. – Marek przypominał im o poprzednich swoich zastrzeżeniach.

– Wszyscy widzieliście, jaka tam jest kupa gruzu – Wiesiek był konkretny. – Samo jego usunięcie to olbrzymia praca do wykonania. Poza tym więcej niż pewne, że spotkam tam się z terenem zaminowanym. To będzie olbrzymi koszt i trzeba na to poro czasu.

– Jak już jesteśmy przy finansach, to pieniędzy nam wystarczy. A na prywatne zasilenie proponuję po dziesięć tysięcy dolarów na głowę jak tylko wymienię te stare dolary na nowe – zaproponował Marek.

– Dlaczego akurat po 10 tysięcy? – chciał wiedzieć Andrzej.

– To proste. Suma nie jest oszałamiająca. Część każdy wyda na po-

trzeby domowe, a znając życie to druga część pójdzie na męskiego zakórniaka i takie wydatki nie zwrócą niczyjej uwagi.

– Cholera! – Andrzej kręcił głową. – Odkąd ciebie znam, to zawsze myślałeś o krok na przód.

– Czyli rozumiem, że wszyscy są za i jest zgoda na moją propozycję. – pytające stwierdzenie Marka zawisło w powietrzu. Kolejne skinienia głowy zebranych jednoznacznie to potwierdziły.

– To proponuję, aby każdy się przespał z myślą, co i jak dalej robić i jutro dogadamy to do końca. Sprzeciwów nie było, a dyscyplina wprowadzona przez Michała od samego początku, że sprząta się po sobie od ręki, zadziałała i teraz. Posprzątali i poszli śnić o kolejnych skarbach.

*

Rano Marek miał ochotę schować budzik pod poduszkę i przewrócić się na drugi bok. Jazgot dzwonka przypominał jednak, że trzeba wstać i zabrać się za przygotowanie śniadania, bo dzisiaj była jego i Michała kolej.

Praca w piwnicy posuwała się naprzód sprawniej niż wczoraj. Zaczynało to bardziej przypominać inwentaryzację i wcale nie wyglądało na to, że ma to coś wspólnego z poszukiwaniami skarbów. Nawet wyciążenie ze skrzynki przez Andrzeja okazałego złotego pucharu wysadzanego chyba szlachetnymi kamieniami nie wzbudziło specjalnej sensacji.

Gdzieś koło godziny dziesiątej zadzwoniła komórka Marka i ten po chwili bardzo lakonicznej rozmowy powiedział im, że musi ich teraz przeprosić, bo ma coś pilnego do załatwienia na mieście. Jak było to do przewidzenia zabrał w tym celu samochód Michała. Nie było go ponad trzy godziny. Wrócił wyraźnie zadowolony i zastał ich w trakcie liczenia 100 gramowych sztabek złota z jednej ze skrzynek. Ich zaś ucieszyły cztery olbrzymie pizze, które przywiózł z sobą. To w zupełności wystarczyło zamiast obiadu. Po tej smacznej namiastce obiadu Marek oddał klucze, które poprzednio wziął od Michała i poprosił, żeby razem z Wieśkiem pojechali do sztolni skąd przywieźli skrzynki i sprawdzili czy wszystko jest, jak trzeba. On został z Andrzejem przy sztabkach ze złota.

*

Wiesiek z Michałem pojechali sprawdzić, jak się mają sprawy na zbo-

czu góry. Podjechali do bramy i Michał wysiadł, aby otworzyć kłódkę. Wracając do samochodu patrzył na drogę, którą przyjechali. Zatrzymał się przy drzwiczkach samochodu i kiwnął ręką na Wieska, aby ten wysiadł.

– Popatrz do tyłu i powiedz, co widzisz.

– Ślady opon naszego samochodu.

– No właśnie! A gdzie są te ślady z naszych poprzednich przyjazdów i odjazdów?

– Faktycznie! Masz rację. Ktoś tu ładnie pozamiatał. – Spojrzał do przodu - Przed nami droga też jest zamieciona.

Pokiwali głowami i wsiedli do samochodu. Dojechali do końca i już wysiadając mieli wrażenie, że czegoś im brakuje. Nie było widać drzwi do tunelu. Podeszli bliżej. Zniknęły też pocięte kolejowe szyny, które sami odkładali na bok.

– Teraz już wiesz, po co Marek mierzył szerokość i wysokość wejścia? – ni to stwierdził, ni zapytał Michał.

– Tak. To byli fachowcy, a wymiary desek dostali od Marka. Przyjechali, zabrali co mieli zabrać i dokładnie posprzątały po sobie. Szyny ustawili tak, jak to zrobili poprzednio Niemcy. Położyli na to deski i ułożyli na tym maskowanie z odłamków skalnych. Może to i dobrze, że te drzwi są z powrotem niewidoczne. Nawet jak ktoś wtajemniczony tu przyjdzie, to nie zwróci uwagi, że się tu coś działo.

– Pewnie o to chodziło Markowi, gdy nas posłał, żebyśmy zobaczyli czy tu wszystko w porządku. Wracamy! – Michał wzruszył ramionami i ruszył do samochodu. – Nic tu po nas!

*

Andrzej coraz bardziej nerwowo macał się po kieszeniach. Zajrzał pod stół i w końcu bezzradnie rozłożył ręce.

– Jasna cholera! Nie mam tej karteczki!

– Jakiej karteczki? – Marek widząc te poszukiwania przerwał liczenie kolejnej ilości złotych sztabek i z zaciekawieniem obserwował jego taniec świętego Wita.

– No tej, gdzie zapisywałem, ile już jest sztabek.

– O cholera! – teraz zaklął Marek i spojrzał na okazały stos sztabek leżący pod ścianą.

– Ale pamiętasz ostatnią zapisaną ilość? – czepiał się jeszcze nadziei,

że nie trzeba będzie tego liczyć ponownie.

– No niby tak. Jakies osiemset ileś – odpowiedź wcale nie była budująca.

– Gdyby to były orzechy, to pal diabli. Parę w tą, parę w tamtą, to żadna różnica. Ale taka jedna sztabka to prawie tysiąc dolarów albo i więcej – wypowiedział się Marek.

– Ale ja tą karteczkę gdzieś mam! – zapewnienie Andrzeja było szczere i gorące.

– Wcale w to nie wątpię, ale to nie kartofle i musi to być dokładnie policzone. Chodźmy do kuchni zrobić sobie kawy. Może ci się akurat przypomni i nie będziemy musieli drugi raz tego liczyć. – Właśnie w kuchni zdybali ich Michał z Wieśkiem.

– Ci twoi fachowcy to są lepsi niż UFO. Przyjechali, zabrali i razem z nimi zniknęły nawet nasze ślady.

– Dziękuję – Marek docenił usłyszany ton szacunku w głosie Wieska.

– Ale czemu siedzicie w kuchni i się objacie zamiast liczyć złote precjoza? – to chciał wiedzieć z kolei Michał.

Obydwaj ochoczo dosiedli się do dzbanka z kawą i nalali sobie do filiżanek.

– Andrzej szuka kartki z zestawieniem sztabek złota – wyjaśnił Marek.

– W kuchni?! – zdziwili się obydwoje.

– Ja tą kartkę na pewno mam, ale gdzieś ją wcięło i chyba trzeba na nowo to wszystko policzyć – Andrzej nawet nie próbował się usprawiedliwiać.

– Wiecie co! – Michał spojrzał na nich z błyskiem w oku. – W łazience na górze mamy wagę łazienkową.

Jak ją się wytaruje na 10 sztabkach, to będziemy mieć dokładnie wagę jednego kilograma i możemy spokojnie wszystko zważyć, a i tak będziemy wiedzieć, ile to jest sztuk.

Pomysł był dobry i sprawdził się w praktyce. Mogli podsumować swoją zdobycz. Tym razem zestawienie precjozów trzymał w ręce Michał i wyglądało ono tak:

110 kilogramów złota w sztabkach 100-gramowych

20 kilogramów złota w sztabkach 50-gramowych

21.2 kilograma różnych złotych monet

21.3 kilograma złotych i pozłacanych pater, tac, pucharów i innych podobnych

27,1 kilograma złotej biżuterii

Z posumowania wynikało, że jest tego dokładnie 201,6 kilograma. Znali już zawartość wszystkich skrzyń i trzeba było zdecydować, co i jak zostanie zagospodarowane. Zgodnie z sugestią Marka, z którą się zgodzili, wszystkie dotychczasowe opakowania w postaci skrzynek miały być pocięte i spalone.

Sprawa obrazów została chwilowo rozwiązana poprzez wykorzystanie pomysłu z ich zawieszeniem na ścianach. Część porcelanowych bibelotów już zużyli do udekorowania salonu i jadalni. Złoto w sztabkach i klasery ze znaczkami miał zabrać Marek i wymienić na „normalne” pieniądze. Reszta miała zostać na miejscu pod opieką Michała.

Trochę dodatkowej roboty czekało ich dzięki uporowi Andrzeja. Stanowczo zażądał, aby wszystkie dokumenty ze skrzynek przepakować do pojemników z tworzywa sztucznego z zachowaniem kolejności ich przekładania i oznaczenia kolejnymi cyframi poszczególnych pojemników. Uszanowali jego wiedzę o zasadach pracy nad dokumentami archiwalnymi. Jak dobrze pójdzie, to jutro byłby koniec z porządkami.

*

Poranek przebiegł w ustalonym rytmie. Później Michał z Wieśkiem pojechali zamówić ramy do obrazów i kupić pojemniki na przełożenie dokumentów. Marek z Andrzejem wzięli się za cięcie niepotrzebnych już skrzynek na mniejsze elementy nadające się do spalenia i wynosili już pocięte na ogród, gdzie wieczorem miały zostać zużyte na ognisko połączone ze smażeniem kiełbasek i degustacją odpowiednich do tego trunków. Prawie się z tym uporali, gdy wróciła pozostała dwójka z zakupami. Pora była na tyle późna, że zdecydowali się zjeść obiad na mieście, żeby nie tracić czasu.

Po powrocie Michał wziął się za zrobienie kompletu odbitek z materiału, który nakręcili kamerą i zapisali w pamięci aparatu cyfrowego. Pozostała trójka przepakowała dokumenty i pocięła do końca skrzynki. Po godzinie siedemnastej przenieśli się do ogrodu i zaczęli uroczyste podsumowanie pierwszego etapu poszukiwań. Leżaki pełniły funkcję wygodnych foteli, a przenośny stolik udawał bufet z zakąskami, wód-

ką i sokami.

– Otwieram uroczyste posiedzenie ekipy poszukiwaczy skarbów, którym udało się coś znaleźć, ale o czym nikt nie będzie wiedział! – Michał jako gospodarz podłożył zapalną pod przygotowane szczapy na ognisko. Ogień strzelił do góry jasnym i równym płomieniem.

– VENI,VIDI,VICI* - Andrzej wstał i wzniósł toast. Uronił kroplę wódki nad ogniskiem i jednym haustem opróżnił kieliszek. – Pozostali zaskoczeni tym gestem też posłusznie wstali i powtórzyli jego gest.

– To jakaś tradycja? – zapytał siadając Wiesiek.

– Nie! Tak mi tylko wpadło do głowy – zabrzmiała uprzejma odpowiedź.

Zgodny wybuch śmiechu potwierdził, że dowcip został kupiony.

– A swoją drogą to jest zupełnie bez sensu, że musimy się chować z tym, co znaleźliśmy – Andrzej nadal nie mógł zrozumieć bezsensu krajowych przepisów obowiązujących poszukiwaczy zaginionych dóbr materialnych.

– A na jaką partię głosowałeś w ostatnich wyborach? – zapytał Wiesiek.

– Na żadną. Tu nie ma na kogo głosować. Wszystko to same oszołomy.

– No widzisz! Hasła demokracji i gadka o państwie prawa to tylko slogany wyborcze. Sam doskonale wiesz, że jak obraduje parlament, to nasze życie i mienie jest w niebezpieczeństwie. Nigdy nie wiadomo, co tym palantom wpadnie do głowy. Przecież już niewiele brakuje, aby gazety zamieściły cennik, ile kosztuje uchwalenie ustawy zgodnej z życzeniem sponsora.

– Obydwaj macie rację, ale nie o to chodzi – Marek wszedł w rolę mediatora. – Zastanówmy się raczej jak będziemy to robić dalej w ramach tego, co obowiązuje teraz. Pieniądze mamy. Projekt na przykrycie poszukiwań będzie, bo poszukam czegoś u siebie w firmie i przerobię to na nasze potrzeby. Wystarczy mi na to dwa tygodnie. Potem siądziemy razem i zaplanujemy wszystkie detale tak jak w operacji wojskowej, bo tylko wtedy możemy mówić o powodzeniu. – Jego słowa zostały przyjęte bez komentarza.

Reszta wieczoru minęła na różnych wspominkach i na pewno nie o wszystkich wspominanych zdarzeniach wiedziały ich żony. Dopiero

chłód wieczora i brak drewna do dalszego podsycania ogniska wygnał ich do domu i zapędził do łóżek.

*

Po raz pierwszy od paru dni Marek nie życzył niczego złego mechanizmowi swojego budzika. Słyszał, jak o szóstej rano wstawał Michał, ale on faktycznie musiał być na siódmą w pracy. On tylko przewrócił się na drugi bok i spał dalej. Jak wstał, to i tak okazało się, że jest pierwszy w kuchni do parzenia kawy. Gdy był w połowie swojej porannej kawy, dołączył do niego Wiesiek. Właśnie wtedy zostało uzgodnione, że pojedzie do swoich dawnych kolegów z wojska i sprawdzi, jak załatwić sprawę uczestnictwa wojskowych saperów przy rozminowaniu terenów zamkowych.

Kiedyś sprawa była oczywista. Każde zgłoszenie o niewybuchach traktowano niezwykle poważnie i nie miało znaczenia, kto zgłaszał ten fakt. Wojsko było utrzymywane z pieniędzy podatników i nikt nie miał żadnych wątpliwości, że jego podstawowym zadaniem jest ochrona własnych obywateli i sprawa rozminowania w sposób oczywisty spoczywa na barkach państwa. Teraz sprawa ta nie była już tak oczywista. Kolejni cywilni szefowie Ministerstwa Obrony znajdujący wojsko ze zdjęć i filmów o tematyce wojennej wprowadzili do tego resortu modne pojęcie komercjalizacji i prywatyzacji. Efekty oczywiście były i to znacznie większe niż mogli się tego spodziewać ich twórcy. W wojsku zapanowała totalna rozpierducha. Dowódca jednostki liniowej zamiast szkolenia bojowego żołnierzy zajmował się teraz głównie sprawami ekonomicznymi. Inaczej mówiąc oszczędzał na szkoleniu bojowym żołnierza i próbował zarabiać pieniądze, bo to teraz stało się miernikiem jego pracy. Oczywiście było parę wyjątków, gdzie wszystko odbywało się prawie tak jak w normalnym wojsku, ale to było tylko na pokaz, żeby zatuszować przed społeczeństwem prawdziwy stan armii.

Marek pamiętał jeden przypadek, gdy sprzedano prywatnemu właścicielowi tereny wojskowe, na których kiedyś był poligon i władze cywilne nałożyły na niego obowiązek rozminowania na własny koszt. Wartość tej usługi wyliczona przez wojsko przewyższała cenę nabycia gruntu, a „szczęśliwy” nabywca ledwie uchronił się od plajty. Nie chciał, aby ich spotkała podobna przygoda i stąd była konieczność rozeznania sytuacji przez Wieska.

Andrzej przyszedł do nich zbyt późno, aby skorzystać z pierwszego zaparzonego dzbana kawy i teraz mruczając coś pod nosem zaparzał nowy. Żeby mu poprawić humor, zrobili śniadanie i dla niego. Andrzej już po pierwszej kawie i zjedzonym śniadaniu zaczął normalnie funkcjonować. Pozwolił sobie na uwagę, że zdjęcia obrazów, które dostał od Michała wcale nie są idealne. Widząc ich sceptyczne miny poszedł i przyniósł je, aby udowodnić swoje racje. Zdjęcia były doskonałe. Widoczne były wszystkie szczegóły i detale na fotografowanych obrazach. Jedyne zastrzeżenia można było mieć do tła fotografii. Na każdej było inne i nie przedstawiało nic ciekawego. Tak jednak miało być. Marek sam poprosił o to Michała, aby ten pozmieniał niektóre elementy w fotografiach w taki sposób, żeby nie można było skojarzyć, że zostały one zrobione w jednym miejscu i w tym samym czasie. Technika cyfrowa kolejny raz zdała egzamin.

Wiesiek z Andrzejem poszli się spakować, bo mieli do południa wyjechać. Akurat gdy skończyli, to przyjechał Michał i zdążył się z nimi pożegnać. Marek zostawał do jutra. Rano pojechali z Michałem odebrać ramy do obrazów i do późnego popołudnia zeszło im na oprawianiu obrazów i ich zawieszaniu na ścianach. Te dwadzieścia parę obrazów to było zbyt wiele nawet na tak duży dom, ale udało się im zmieścić je w miarę sensownie.

Marek zapakował dwie metalowe walizki do samochodu i zabrał ze sobą jedną 100-gramową sztabkę złota na wzór i komplet fotografii obrazów zrobionych przez Michała. Dołożył do tego trochę niemieckiej dokumentacji. Późnym wieczorem był siebie w domu. Samochód zaparkował w garażu i z jedną walizką w rękę i z kwiatami w drugiej schowaną za plecami stanął w drzwiach wejściowych swojego domu.

– Wprowadzasz się z powrotem? – żona chyba była nastawiona bojowo.

– Jak pozwolisz kochanie to tak – odparł i wręczył jej kwiatyzymane dotąd za plecami.

Cały bojowy nastrój emanujący z małżonki uszedł z niej jak powietrze z nakłutego balonika. Szarmancki pocałunek złożony na policzku do końca rozładował sytuację i zażegnał ewentualny konflikt, który zdawał się wisieć w powietrzu.

Wrócił się jeszcze raz do garażu i przyniósł drugą metalową walizkę.

Postawił ją obok pierwszej w swoim gabinecie. Po kolacji wrócił jeszcze na chwilę do swojego pokoju i sięgnął po niemiecki katalog obejmujący stemple i znaki probiercze stosowane na całym świecie do oznaczania zawartości złota. Odnalazł stempel widniejący na 100-gramowej sztabce złota. Był to symbol czeskiej mennicy używany przez nią w latach 1929 – 1944. Czyżby zaczynały się sprawdzać jego przypuszczenia dotyczące tego nietypowego transportu w ostatnich dniach wojny z Czech do zamku Lutzow? Czyżby było to związane z zaginięciem 10 ton czeskiego złota? – Z tą myślą położył się spać.

VENI,VIDI,VICI*(łac.) – przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem

ROZDZIAŁ V

Rano Marek zjawił się w swojej firmie i sekretarka naprawdę się ucieszyła, że jest na miejscu. Miała odłożone dwa pisma, na które powinien odpowiedzieć osobiście. Zaczął od przeglądu całej korespondencji przychodzącej i wychodzącej z firmy. Cała korespondencja była skanowana przez sekretarkę i wprowadzana do jego komputera. W ten sposób bez zawracania głowy pracownikom firmy był na bieżąco zorientowany w tym, co się dzieje w firmie. Napisał odpowiedzi na dwa pisma i oddał je do wysłania. Zadzwoił w dwa miejsca i umówił się na spotkanie. Pierwsze było w sprawie wymiany starych banknotów dolarowych na aktualnie będące w obiegu. Podjechał i zaparkował na jednym z dwu miejsc zarezerwowanych dla właściciela kantoru.

Miejsce było idealne na tego typu działalność. Sąsiedztwo Targów Międzynarodowych i w dodatku w pobliżu dworca głównego. Jeszcze zanim zdążył wysiąść, z drzwi kantoru wyszedł ochroniarz i rażno zmierzał w jego kierunku. Marek postanowił zepsuć mu zabawę w dniu dzisiejszym. Miejsc do zaparkowania w tym miejscu było rzeczywiście jak na lekarstwo i nieraz już widział, jak ochrona bawiła się kosztem osób próbujących zostawić samochód w tym miejscu

– Tu nie wolno parkować! Zarezerwowane! – autorytatywnie zakomunikował napakowany byczek w przyciasnym garniturze.

– To dobrze! Właśnie kupiłem ten kawałek ulicy – dobrze wiedzieć, że ktoś dba tu o porządek i pilnuje miejsca dla mnie – Marek poważnym tonem wygłosił swoją kwestię.

– Że jak? - ochroniarz stracił pewność siebie i podejrzliwie spojrzął na niego.

Przyzwyczajony był do tego, że każdy kierowca złapany na próbie parkowania w tym miejscu zaczynał od próby wytłumaczenia się i wytargowania chwili na zostawienie samochodu. Teraz ten stały element zabawy został na wstępie pominięty i miał do czynienia z nową sytuacją. Musiał coś zrobić i Marek czuł na sobie jego taksujący wzrok. Oceniał fizyczny potencjał Marka, obejrzał samochód. Po wyrazie twa-